MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ŚLĄSK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425–3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 5 (308) • ROK XXVI • MAJ 2021

OGRODY PAMIĘCI

ISSN 1425-3917 05
9 771425 391707

fot. Marek Borawski KPRM

2 maja miały miejsce uroczyste obchody setnej rocznicy III Powstania Śląskiego. W uroczystościach wzięli udział przedstawiciele najwyższych władz państwowych, z premierem Mateuszem Morawieckim oraz prezydentem Andrzejem Dudą na czele. Towarzyszyli im m.in. marszałek województwa śląskiego Jakub Chełstowski i przewodniczący Sejmiku Jan Kawulok.

Szczegóły str. 4

fot. Zbigniew Lubowski

Karol Kóska, rzeźbiarz z Kaniowa (Śląsk Cieszyński), wyróżnia się niebywałą kreatywnością artystyczną. Od ponad 30 lat wyczarowuje z drewna lipowego ramy portretów znanych osób. Rzeźbi swoje kunsztowne dzieła w skromnej pracowni stolarskiej, która mieści się w starej stodole. To jedyny tego typu twórca w Polsce. Piszemy o nim w artykule „Królestwo rzeźbiarskie w wiejskiej stodole".

Szczegóły str. 32

fot. Edward Wieczorek

Trójstyki – miejsca zejścia się granic trzech państw, od zawsze pobudzały wyobraźnię – dla jednych są unikatowe ze względu na swą specyfikę, dla innych to ciekawe z geopolitycznego punktu widzenia przygraniczne rejony. Województwo śląskie jest pod względem takich miejsc unikatowe – mamy nie tylko aktualny trójstyk granic Polski, Czech i Słowacji, ale także historyczne miejsce, gdzie do 1914 roku spotykały się granice cesarstwa niemieckiego, monarchii austro-węgierskiej i imperium rosyjskiego. Na zdjęciu obelisk pamięci podziału Europy w trójkącie Trzech Cesarzy.

Szczegóły str. 49

fot. Tomasz Bienek

Kolejne lata upływające od chwili zakończenia II wojny światowej coraz bardziej oddalają ten konflikt w powszechnej świadomości. Odchodzą ostatni świadkowie, blakną relacje i wspomnienia, jednak pamięć o wydarzeniach z zimy i wiosny 1945 jest tak samo utrwalona na murach domów w centrach miast jak i zauważalna w peryferyjnych dzielnicach. W województwie śląskim relikty z końca wojny jest łatwo znaleźć. Na zdjęciu niemiecki bunkier z 1945 roku pod Żywcem.

Szczegóły str. 5

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ŚLĄSK

Nr 5 (308). Rok XXVI. MAJ 2021

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

Biblioteka Śląska

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelny

ANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktora

MARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktora

TOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcji

MARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztuka

Stali współpracownicy:
EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
JAROSŁAW KAPSA
KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI
WIESŁAWA KONOPELSKA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
JOANNA WAROŃSKA
EDWARD WIECZOREK
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

ADRES REDAKCJI
40–036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.pl

DTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61–065 Poznań tel. 61 633 71 65

Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty:
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU"
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk"
40–036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłat należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk"
BGŻ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532–87–31
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425–3917 Nr indeksu: 33328X

Egzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258–07–56

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny"
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1700 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

4 *Zespół* W SETNĄ ROCZNICĘ ZRYWU
8 *Krystyna Heska-Kwaśniewicz* KS. KAROL WOŹNIAK – KAPELAN POWSTAŃCZY
12 *Ks. Henryk Pyka* O OGRODACH PRAWIE WSZYSTKO
16 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE *Jarosław Kapsa* O KROK OD ZBRODNI
26 *Agnieszka Zielińska* KRAINA CYNKU I OŁOWIU
28 *Michał Spurgiasz* MASKA W TEATRZE GRECKIM I AZJATYCKIM
36 *Alojzy Czech* ŚP. MACIEJ GŁOWACZEWSKI (1953-2021) – FOTOGRAF
38 *Andrzej Jarczewski* SZKOŁA PONIENORMALNA (2)
42 *Marian Kisiel* HUMANIŚCI NA ŚLĄSKU – PROFESOR BEATA NOWACKA
45 *Katarzyna Szkaradnik* DWOJE „KSIĘGOLUBÓW"
49 *Edward Wieczorek* MAGIA TRÓJSTYKÓW
52 *Tomasz Bienek* BETONOWE SMOKI SZCZERZĄ KŁY
54 *Stefan Gierlotka* UZDRAWIAJĄCE ZIOŁA O. EDMUNDA SZELIGI
56 *Eugeniusz Rączka* MUZEUM HUTNICTWA POWSTAJE W CHORZOWIE
58 *Antoni Wilgusiewicz* JESTEM Z GALICJI
60 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* KWARTET NABOKOVA: OD DARU DO ADY

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

32 *Zbigniew Lubowski* KRÓLESTWO RZEŹBIARSKIE W WIEJSKIEJ STODOLE
68 SZTUKA W PANDEMII: OBRAZY JOANNY STYRYLSKIEJ-GAŁAŻYN
69 GALERIA – JOANNA STYRYLSKA-GAŁAŻYN, MALARSTWO

POEZJA I PROZA

2 WIERSZ NA OTWARCIE *Mirosław Bochenek* ISTOTA
14 *Mirosław Bochenek* WIERSZE
20 *Barbara Romer Kukulska* NA KOSZUTCE cz. II

FELIETONY

10 *Natalia Wilczek* MIĘDZY POLITYKĄ A IDEOLOGIĄ
19 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA. *Jan Miodek* POCHOP DO SPOCHOPIENIA
24 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* TRIUMF TEATRU WIELKIEGO W ŁODZI
25 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* KOMPOZYTORKA SAMOTNA
37 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* ETNOLOGIA I WOJCIECH KORFANTY
40 BŁYSKI I ZAPATRZENIA *Marian Sworzeń* SVEN LINDQVIST, „WYTĘPIĆ CAŁE TO BYDŁO"
66 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* KTOKOLWIEK ZNA, KTOKOLWIEK CZYTAŁ. POWSTAŃCZE ARCHIWALIA

KSIĄŻKI

48 KSIĄŻKI NADESŁANE
62 *Grzegorz Sztoler* KOSĄ NA MITY
63 *Andrzej Juchniewicz* NIEPOCHWYTNA GINCZANKA
64 *Tomasz Pyzik* KU SYTUACJI GRANICZNEJ
65 *Piotr Skowronek* CO... ? PSIŃCO!

Na okładce:
Joanna Styrylska-Gałażyn, Sen Picassa

Pismo wspierane finansowo przez:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Śląskie.

Istota

Co dzień czekam, co wieczór
czekam w nocy, od rana
zawieszony w powietrzu
rzucony na kolana.

Jestem gotów na wszystko
by znów tobą oddychać
najpotężniejsza z istot
choć bezbronna i cicha.

Bo ty jedna, jedyna
choć czas z rąk świat wytrąca
wciąż ten świat w rękach trzymasz
jesteś ze mną, do końca.

Kiedy bezduszni milkną
bo w myślach już truchleją
ja uśmiecham się tylko
wiem, że wrócisz – nadziejo.

Mirosław Bochenek (ur. 1960) poeta, felietonista, autor tekstów piosenek dla m.in. Ryszarda Riedla i zespołu DŻEM, Mirka Breguły i duetu UNIVERSE, Sebastiana Riedla i zespołu CREE oraz zespołów EASY RIDER, REBELIANCI. Autor ośmiu zbiorów wierszy: *Zasłonięty obłokiem* (1979), *Msza na Wilczym Groniu* (1985), *Zapach głodu* (1985), *Irma i parę innych mądrych opowieści* (2006), *Podwórko* (2008), *Karkosz. Zbiór wierszy beskidzkich* (2010), *Stare Miasto* (2012), *Pod dziką czereśnią. Wiersze i piosenki o miłości* (2018). Mieszka w Bielsku-Białej.

fot. Paweł

Obchody wybuchu III Powstania Śląskiego 2/3 maja 1921 – 2 maja 2021

W setną rocznicę zrywu

Główne uroczystości rocznicowe zorganizowano przy pomniku **Czynu Powstańczego na Górze Świętej Anny** – tu Prezydent RP złożył wieniec w imieniu Narodu.

Na ręce Starosty Strzelec Opolskich Prezydent RP przekazał też pierwszą ze 100 tablic upamiętniających miejsca związane z historią trzech powstań śląskich.

W uroczystościach wzięli udział m. in. marszałek województwa śląskiego Jakub Chełstowski i przewodniczący Sejmiku Jan Kawulok.

Wieczorem na fasadzie **Pałacu Prezydenckiego** została wyświetlona okolicznościowa iluminacja.

Wybrane fragmenty przemówienia Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy wygłoszonego w niedzielę 2 maja 2021 przy Pomniku Czynu Powstańczego na Górze Św. Anny.

(...)

Wszyscy Szanowni Państwo!

(…)

Chcę to z całą mocą podkreślić (...) że te obchody stanowią ważny element stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości.

(…)

Dlatego trzeba było odzyskiwać potem i Górny Śląsk. Nie w jednym powstaniu, tylko w trzech zrywach powstańczych po to, by ziemia, na której zamieszkiwali ludzie mówiący mową polską, gwarą śląską, stała się częścią odradzającej się Rzeczypospolitej.

(...)

Bowiem o ile pierwsze i drugie (powstania – przyp. red.) były odpowiedzią na niemieckie prześladowania wobec tych, którzy mówili polską mową, jak powiedziałem, gwarą śląską, wobec tych, którzy chcieli do Polski, wobec tych, którzy za Polską tęsknili i opowiadali się za nią; o ile tamte były odpowiedzią na prześladowania, na poczucie niesprawiedliwości – o tyle trzecie powstanie miało już sensu stricto międzynarodowy charakter; międzynarodowy także w znaczeniu międzypaństwowym, albowiem chodziło o ukształtowanie granicy. Było głębokie poczucie skrzywdzenia i niesprawiedliwości tym, co wówczas po plebiscycie zostało zaproponowane mieszkającym tu Polakom i tym, co chcieli do Polski.

Te 25 proc. obszaru, w dodatku nisko uprzemysłowione, przede wszystkim terenów rolniczych nie było tym, o co starano się, ubiegano, o czym marzono i o co walczono, choć jeszcze nie z bronią w ręku. Ale ta właśnie propozycja sprawiła, że za broń chwycono. Chwycono po to, by werdykt uzyskać sprawiedliwy, chwycono po to, by rozstrzygnięcie było uczciwe.

To miejsce, Góra Świętej Anny, ma dla tamtych wydarzeń znaczenie szczególne. To o Górze Świętej Anny i o walkach, które tutaj w tamtych dniach się toczyły, powstały pieśni, opowieści i legendy chwały. To tutaj

fot. Marek Borawski KPRM

100. rocznica wybuchu III powstania śląskiego na Górze św. Anny

fot. Marek Borawski KPRM

100. rocznica wybuchu III powstania śląskiego na Górze św. Anny

toczono najcięższe walki. To tutaj własną piersią powstańcy śląscy osłonili tamtą część, którą chcieli, aby została wcielona do Polski. Mieli nadzieję oczywiście, że uda im się także Górę Świętej Anny i przyległe do niej tereny obronić i zachować dla Rzeczypospolitej. Nie udało się, znalazły się poza granicą. Ale i tak to, co udało się uzyskać w wyniku powstania śląskiego było dla odradzającej się Rzeczypospolitej wielkim skarbem, który w ogromnym stopniu pozwolił na jej dynamiczny rozwój. Pozwolił jej stawać się nowoczesnym państwem ówczesnej Europy, tą II Rzeczpospolitą, o której tak bardzo często z dumą mówimy.

(…)

Ale ja – jako Prezydent Rzeczypospolitej – przybyłem tutaj przede wszystkim po to, by złożyć hołd moim rodakom, by złożyć hołd tym wszystkim, którzy za Polskę i o Polskę tutaj walczyli. I mogę z tego miejsca zadać pytanie, co było w tej Polsce i tej polskości, że mimo że tej Polski tu, na tej ziemi nie było przecież od ponad 600 lat – bo Śląsk od ponad 600 lat nie był polski, był czeski, był austriacki, był pruski. Tak jak powiedziałem, różnie przebiegała tutaj historia i zmieniały się granice panowania. To takie bardzo specyficzne miejsce, a jednak przez te wszystkie lata, a już nie wspomnę o tych ponad 146, przez które Polski w ogóle w okolicy nie było, bo nie było jej na mapie. Przez cały czas polskość w tych ludziach trwała. Przez cały czas tej polskości chcieli.

Przecież Alfons Zgrzebniok, dowódca dwóch powstań śląskich, żołnierz Rzeczypospolitej, który urodził się niedaleko stąd, koło Koźla, żeby mógł chodzić do szkoły i do gimnazjum, musiał się specjalnie uczyć niemieckiego, bo go nie umiał na tyle. Tak go w domu wychowano. W takiej mowie, w gwarze śląskiej zapewne, ale w gruncie rzeczy mowie polskiej.

Taka była silna ta tradycja polskości i takie było pragnienie Polski, że ci ludzie gotowi byli iść i oddać życie, walcząc przecież jako ochotnicy z regularnymi oddziałami wojska, które przyszły tutaj, by umocnić i bronić tego rozstrzygnięcia plebiscytowego, by walczyć przeciwko polskiemu żywiołowi, który tutaj dążył do odradzającej się Rzeczypospolitej. Jako Prezydent tej dziś istniejącej Rzeczypospolitej – która tak silnie na tamtej wielkiej tradycji bazuje, tej Rzeczypospolitej, dzisiejszej, współczesnej, która tak bardzo by chciała, aby tak właśnie była wychowywana młodzież, w takim poczuciu przywiązania do ojczyzny, w takiej woli stania za Nią i dla Niej z gotowością nawet oddania własnego życia – składam dziś głęboki hołd powstańcom śląskim. Chłopcom ze śląskich miasteczek, ze śląskich rodzin, ze śląskich chałup, ze śląskich domów, co szli dla Polski i do Polski. Co o niej marzyli, co jej pragnęli, i co dla niej ten Górny Śląsk odzyskali, często płacąc za to krwią, a nawet życiem.

Cześć i Chwała Bohaterom!

(…)

Wieczna pamięć wszystkim, którzy zginęli, wszystkim, którzy spoczywają w tej ziemi, wszystkim za których dzisiaj my się modlimy, tak jak w 1983 roku tutaj modlił się Ojciec Święty Jan Paweł II. Wspominając wielki czyn powstańców śląskich, On – syn polskiej ziemi, Małopolski, tak mocno w polskość wpisanej – mówił o modlitwie, mówił o wspólnocie, mówił o ojczyźnie, o wspólnej Polsce, o wspólnym kraju.

(…)

Niech żyje Polska! Niech żyje Śląsk!

(Fragmenty przemówienia Pana Prezydenta Andrzeja Dudy zacytowano z tekstu opublikowanego na stronie: www.prezydent.pl; wyboru fragmentów dokonała Redakcja miesięcznika)

Obchody rozpoczęły się Mszą Św. w bazylice św. Anny Samotrzeciej na Górze Św. Anny. Mszy przewodniczył abp Wiktor Skworc, metropolita górnośląski. Koncelebrowali biskup opolski Andrzej Czaja i biskup gliwicki Jan Kopiec. W modlitwie wziął udział także bp Marian Niemiec, zwierzchnik diecezji katowickiej Kościoła ewangelicko-augsburskiego.

Katowice pamiętają i nie zapomną

W Parku Śląskim odbyła się uroczystość upamiętniająca 100. rocznicę III Powstania Śląskiego.

W obchodach wziął udział premier Mateusz Morawiecki, który w Dniu Flagi Rzeczypospolitej Polskiej przyjechał z wizytą na Śląsk.

Prezesa Rady Ministrów na stacji kolejki linowej „Elka" przy Stadionie Śląskim przywitał **Jakub Chełstowski**, marszałek województwa śląskiego, **Jarosław Wieczorek**, wojewoda śląski oraz Agnieszka Bożek, prezes Parku Śląskiego.

Przygotowano tutaj mobilną wystawę „Ex Silesia Lux" (Światło ze Śląska) upamiętniającą wydarzenia sprzed 100 lat. Zaprezentowano też gondole kolejki linowej, które gościom Zielonych Płuc Śląska przypominać będą o tamtym okresie.

Obchody główne zaplanowano na **Skwerze 100-lecia Powstań Śląskich.**

W trakcie uroczystości posadzono dąb papieski na wysokości bramy głównej Śląskiego Ogrodu Zoologicznego.

Wydarzeniom w Parku Śląskim towarzyszyła wystawa wozów bojowych i militariów przygotowana przez Muzeum Techniki Wojskowej w Zabrzu. Przed wizytą w Parku Śląskim premier Mateusz Morawiecki złożył kwiaty pod **Pomnikiem Powstańców Śląskich** w Katowicach.

Podczas uroczystości premier Mateusz Morawiecki wygłosił przemówienie, mówiąc m.in.:

– Łatwo jest kochać ojczyznę, która jest wolna, bezpieczna, dostatnia i spokojna. Dużo trudniej jest kochać taką, która jest niespokojna, targana wieloma konfliktami, problemami, walcząca o wolność. Powstańcy śląscy kochali taką niepewną ojczyznę. Mieli wybór między pewnymi, dostatnimi jak na tamte czasy dużo silniejszymi Niemcami, a praktycznie rodzącą się dopiero i ciągle niepewną na mapie Europy Polską. Kiedy ogląda się zdjęcia z tamtych czasów, mężczyzn, młodzieży, chłopców – czasami bez mundurów, czasami bez broni – to widać, że łączy ich jedno – wola walki i przekonanie, że warto dla tej trudnej ojczyzny walczyć, a nawet jeśli trzeba to umierać.

(…)

– Żeby Polska wówczas stała się Polską, potrzebowała przyłączenia Śląska. Ale można powiedzieć i tak: żeby Śląsk mógł pozostać Śląskiem, potrzebował włączenia do Rzeczypospolitej. Ślązacy, Polacy, powstańcy śląscy doskonale o tym wiedzieli. Dlatego byli w stanie złożyć na ołtarzu historii swoją własną ofiarę. Byli w stanie świadczyć swoim własnym życiem, jakie są najważniejsze cele w życiu każdego człowieka. Dzięki ich staraniom przetrwała II Rzeczpospolita, dzięki ich staraniom my dziś tu jesteśmy. Ich wysiłek i wielki czyn doprowadził do tego, że te uprzemysłowione tereny bogate w zasoby naturalne, minerały, mogły należeć do Polski i stanowiły o podstawie gospodarczej II RP. Dziękujemy im za to i pamiętamy o ich przelanej krwi, odwadze, poświęceniu i wysiłku. Oni byli kontynuatorami dzieła w sztafecie pokoleń Polaków, Ślązaków walczących o wolność i niepodległość.

(...)

– Ksiądz Norbert Bończyk, ksiądz Józef Szafranek, Józef Lompa, Karol Miarka, to biografie, życiorysy wspaniałych Ślązaków i Polaków walczących przeciw germanizacji tych ziem. Walczących o ich polskość w dramatycznych okolicznościach zaborów. Dziękujemy także im, tym poprzednikom powstańców śląskich, za ich wiarę, trud, starania i wielkość.

(...)

– Wojciech Korfanty już po odzyskaniu niepodległości mówił, że nie jest to Polska dokładnie taka, o jakiej marzyliśmy, ale nie ustajemy w wysiłkach, żeby była coraz lepsza. To są słowa niezwykle inspirujące naszego śląskiego i polskiego bohatera. Słowa inspirujące do tego, żeby przeszłość była pielęgnowana i wielka, ale

fot. Śląski Urząd Wojewódzki w Katowicach

100. rocznica wybuchu III powstania śląskiego, pomnik Powstańców Śląskich

fot. Śląski Urząd Wojewódzki w Katowicach

100. rocznica wybuchu III powstania śląskiego, pomnik Wojciecha Korfantego

także, żeby wielka była przyszłość – Śląska i Rzeczypospolitej.

Samorządowcy złożyli hołd

W ramach obchodów złożono kwiaty pod **Pomnikiem Powstańców Śląskich w Katowicach** i pod pomnikiem **Wojciecha Korfantego na Placu Sejmu Śląskiego.** Okolicznościowe wieńce złożyli marszałek Jakub Chełstowski, wojewoda śląski Jarosław Wieczorek, członek Zarządu Województwa Śląskiego Beata Białowąs, prezydent Katowic Marcin Krupa, przewodniczący zarządu Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii Kazimierz Karolczak oraz minister – członek Rady Ministrów, Michał Wójcik.

„Świętujemy dziś rocznice dwóch ważnych wydarzeń, uchwalenia Konstytucji 3 Maja i stulecia wybuchu trzeciego Powstania Śląskiego. Ta zbieżność dat pokazuje, jak ważny wkład w rozwój Rzeczypospolitej włożyli śląscy powstańcy, oddając zdrowie i życie za powrót Śląska do Ojczyzny. Cieszę się, że świadomość znaczenia powstań śląskich jest coraz większa, o czym świadczy wizyta prezydenta Andrzeja Dudy na Górze św. Anny i premiera Mateusza Morawieckiego, podczas obchodów w Parku Śląskim. Walka Ślązaków o polskość tego regionu to część naszego wspólnego dziedzictwa i historii" – mówił marszałek **Jakub Chełstowski.**

W intencji bohaterów

Mszę świętą w intencji Ojczyzny w **Archikatedrze Chrystusa Króla** w Katowicach odprawił metropolita katowicki **abp Wiktor Skworc**. Mszę koncelebrowali biskupi pomocniczy oraz abp senior Damian Zimoń. W liturgii wzięli udział przedstawiciele władz państwowych i samorządowych.

W wygłoszonej homilii Ksiądz Arcybiskup powiedział m.in. „Jest naszym obowiązkiem pamiętać o losach naszej ojcowizny, to znaczy o ziemi naszych ojców i matek, rodziców, dziadków i pradziadków, którzy 100 lat temu stanęli, nie po raz pierwszy, do walki o to, by ich ziemia ojczysta znalazła się w odrodzonej Ojczyźnie, w Polsce".

Podkreślił, że „powstanie nie miałoby szans, gdyby nie oddolne poparcie za strony autochtonów, Górnoślązaków". To o nich pisał Wojciech Korfanty, że nie mogli znieść „poniewierania swej ludzkiej godności, gwałcenia swego sumienia, deptania jego praw przyrodzonych, odmawiania mu sprawiedliwości w ogóle, a sprawiedliwości społecznej w szczególności".

Zwrócił uwagę, że od młodości pasją Wojciecha Korfantego była Polska: „nie tylko o nią walczył, ale jako chrześcijański demokrata starał się ją współkształtować poprzez partię polityczną i płynącą z ewangelii katolicką naukę społeczną, której był znawcą i krzewicielem".

(…) Zwrócił uwagę, że najcenniejszym kapitałem, który wnosimy w nowe stulecie są mieszkańcy Górnego Śląska. To na nich spoczywa obowiązek przekazywania wartości i dóbr duchowych z pokolenia na pokolenie. Pomocą w tym działaniu poza rodzinami, są szkoła i Kościół. – Trzeba, aby trwała w nas świadomość tego niematerialnego bogactwa oraz wola jego przekazywania kolejnym pokoleniom, bo w tej transmisji wartości; etycznego kodu, przekazywane jest niejako zwycięskie dzieło powstańców, które służy Ojczyźnie – mówił abp Skworc. – Jako spadkobiercy powstańczego czynu bądźmy czujni i odpowiedzialni za losy naszej małej Ojczyzny. Potrzeba nam dziś mocnego poczucia identyfikacji z naszą małą Ojczyzną i budowania przyszłości ponad partyjnymi, związkowymi i wszelkimi innymi podziałami w oparciu o rodzimą tradycję, wartości równościowe oraz o mocną rodzinę, gwarantującą międzypokoleniową solidarność, która poddana próbie w pandemiczny czas, zdała egzamin.

(oprac. Zespół)

„Pieroński farosz”!
Ks. Karol Woźniak – kapelan powstańczy

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

„Od tyłu nabiegł zdyszany młody tęgi mężczyzna, o bujnej czuprynie, w szarym zniszczonym swetrze. Rzucił karabin, założył na szyję wyciągniętą z kieszeni stułę, pochylił się nad rannymi. Biegał od jednego do drugiego, dysponując na śmierć konających, ściągając lżej rannych w krzaki” – to Karol Woźniak (1893–1923), ksiądz major pochodzący z Roździenia – Szopienic, z zasłużonej patriotycznej rodziny, syn górnika Andrzeja i Franciszki z domu Habryka, w której panował rzetelny patriotyczny duch. Musiała jego postać urzec Zofię Kossak, gdyż w jednym z najlepszych opowiadań *Nieznanego kraju* zatytułowanym *Nad Odrą w 1921 roku,* wysunęła w opisie bitwy o Kędzierzyn jego postać na plan pierwszy. W krótkim fragmencie znakomicie została uchwycona dynamika działań kapłana, który wykonuje jednocześnie kilka czynności: gdy odkłada karabin, odciąga rannych z linii ostrzału w bezpieczne miejsce, zaraz potem wyciąga stułę – symbol kapłańskiej godności i zaopatruje umierających na drogę do wieczności. Po zejściu z pola walk odwiedza chorych w domach. Księdza Woźniaka cały czas widzimy w ruchu, a karabin i stuła nie wykluczają się wzajemnie lecz tworzą harmonię. To bardzo piękna, wyrazista kreacja, w kilku zdaniach kreśląca prawdę o dzielności i odwadze szopienickiego kapłana, którego widzimy w dwóch rolach: przywódcy walk oraz kapelana powstańców. W pozornie sprzecznych zachowaniach istnieje jednak jakaś spójność decydująca o bogactwie wewnętrznym tej postaci i prawdzie jej życia. Łączył on brawurę ze zdolnościami przywódczymi, skupienie wewnętrzne z żarliwością kapłańską i troską o człowieka, co zapewne zadecydowało o jego wielkiej popularności w środowisku powstańczym.

W czasie działań bojowych nie zwraca uwagi na polecenia – ppor. Fryderyka Woźniaka, (1895-?) z 4 baonu pułku katowickiego Walentego Fojkisa: „Karol, chowaj się! Karol, nie podłaź! – krzyczał dowódca, Fryderyk Woźniak. Ksiądz Woźniak nie zwracał uwagi na wołanie brata. Nie spoczął, póki nie uporał się ze wszystkimi rannymi” – i nie zaopatrzył na ostatnią drogę wszystkich umierających. Nie zważa na świszczące kule narażając dość beztrosko siebie, potem obchodzi wszystkich trafionych w walce, znajdujących teraz bezpieczne schronienie po domach, ponownie nakładając stułę… i ocierając pot z czoła. Widać jego zmęczenie, ale też siłę woli, która każe myśleć o innych. Zaraz po-

tem widzimy go znowu prowadzącego do ataku: „Ksiądz Woźniak sam prowadzi obok Grabowskiego. Krzyż w lewej, rewolwer w prawej ręce. Twarz uniesiona, zajadła. – Pieroński farosz! – mruczą z uznaniem powstańcy” – a i narrator pisze o kapłanie z wyraźną fascynacją, nie kryjąc podziwu. Jest faktem, że w walkach o Kędzierzyn, a zwłaszcza o zdobycie Kłodnicy wieczorem 10 maja 1921 roku ks. Karol Woźniak zasłynął z dzielności, o czym możemy przeczytać w jego wszystkich, zresztą bardzo lapidarnych, biogramach. To właśnie wówczas udało się odeprzeć ostatnie oddziały niemieckie za Odrę.

W opowiadaniu Zofii Kossak ksiądz major wydaje się wzorowany na postaci ks. Ignacego Skorupki, legendarnego kapelana bitwy warszawskiej, którego śmierć została utrwalona na obrazie brata stryjecznego pisarki, Jerzego Kossaka, zatytułowanym *Śmierć ks. Ignacego Skorupki* w 1930 roku, na którym widzimy ten moment, gdy kapłan w stule i z krzyżem w ręku prowadził wojsko do ataku. Ksiądz Skorupka poległ 14 sierpnia 1920 roku podczas bitwy pod Ossowem, a jego postać szybko przeszła do legendy, która zaowocowała licznymi realizacjami ikonograficznymi i opracowaniami literackimi.

Karol Woźniak był kapłanem o bogatym życiorysie, święcenia kapłańskie przyjął w Belgii w 1914 roku. Po wybuchu I wojny światowej, nie chcąc służyć w armii pruskiej, wyjechał do Stanów Zjednoczonych, ze służby w armii amerykańskiej wyszedł ze stopniem kapitana. Pod koniec 1918 roku zaciągnął się we Francji do powstającej właśnie armii gen. Józefa Hallera i wziął udział w wyprawie kijowskiej, po zakończeniu której odpowiadając na apel ks. Wincentego Rozmusa wzywający śląskich księży do powrotu na Górny Śląsk, wrócił by wesprzeć akcję plebiscytową, działając głównie w powiecie kozielskim. Podczas III powstania sformował baon w Katowickim Pułku Powstańczym im. Józefa Piłsudskiego. W działania powstańcze zaangażowała się właściwie cała jego rodzina. Kapelanem w pułku katowickim Walentego Fojkisa i w 1 Dywizji Wojsk Powstańczych był także jego brat – Henryk (?–1939), natomiast ks. Jan Wilhelm Woźniak (1886–1939), który przebył podobną drogę życiową jak młodszy brat, najpierw związany z duszpasterstwem polonijnym w Stanach Zjednoczonych, potem żołnierz gen. Hallera, był jedną z czołowych postaci przywódczych na Górnym Śląsku, kapelanem 1 Dywizji Wojsk Powstańczych, wysoko cenionym za postawę na froncie oraz przygotowania działań operacyj-

nych, kolejny z braci – Fryderyk (1895–?), również żołnierz gen. Hallera, podczas III powstania był dowódcą 4 baonu pułku katowickiego i specjalnie odznaczył się w walkach o Kędzierzyn. Jedyna siostra – Helena – organizatorka Towarzystwa Polek w roku 1923 została żoną wybitnego dowódcy powstańczego – Alfonsa Zgrzebnioka.

Ksiądz Karol po zakończeniu działań bojowych reprezentował dowództwo w kontaktach z komisją Międzysojuszniczą. Znalazł się na niemieckiej „czarnej liście" 29 księży zagrażających niemieckiemu stanowi posiadania na Śląsku, podburzających ludność przeciw proniemieckim duchownym, niechętnie też na niego spoglądali księża związani z Wydziałem Duszpasterskim Polskiego Komisariatu Plebiscytowego w Bytomiu.

Za zasługi otrzymał szereg ważnych odznaczeń: Krzyż Virtuti Militari, Krzyż na Śląskiej Wstędze Waleczności, Krzyż Zasługi I Klasy oraz Krzyż Walecznych. Po zakończeniu działań powstańczych krótko był wikarym w Dolnych Rydułtowach, w parafii pw. św. Jerzego, a następnie uczył języków obcych w Gimnazjum Komunalnym w Roździeniu, jednocześnie działając w Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół". Zmarł młodo, mając zaledwie 30 lat, a według niektórych źródeł przyczyniło się do tego wcześniejsze zaangażowanie w III powstaniu śląskim. Pogrzeb odbył się 9 grudnia w kwaterze powstańczej na cmentarzu przy ul. Brynicy, a we *Wspomnieniu pośmiertnym* pomieszczonym w redagowanej przez Henryka Sławika „Gazecie Robotniczej" napisano, że „przybrał on rozmiary olbrzymiej manifestacji powstańczej będącej wyrazem uznania dla niepospolitych zasług zmarłego. Śp. Ks. Karol Woźniak był jedną z tych cichych i jasnych postaci, które w ciężkiej służbie Ojczyźnie nie cofali się przed największymi ofiarami, które w dążeniu do urzeczywistnienia idei narodowych okazywały niezłomny hart, wolę i poświęcenie".

Jedna z ulic szopienickich nosi dzisiaj imię ks. majora Karola Woźniaka. O żywej pamięci świadczy zadbana mogiła i płonące znicze. Opiekują się nią harcerze z 10 Harcerskiej Drużyny Żeglarskiej im. Mariusza Zaruskiego, którzy też nakręcili krótki balladowy film *Ubodzy powstańcy, śląscy szeregowcy* konsultowany przez ks. prof. Jerzego Myszora, doskonale oddający dynamikę działań ks. Karola Woźniaka. Szopieniccy wodniacy posiadają bardzo dojrzałą świadomość historyczną, pełną wiedzę o znaczeniu miejsca, w którym znajduje się ich stanica. Wiedzą, że to w Szopienicach mieściła się siedziba Wojciecha Korfantego w III powstaniu, że tędy wjeżdżał do Katowic gen. Stanisław Szeptycki, ich drużyna bierze także udział w rekonstrukcjach historycznych. Reżyserem i scenarzystą był drużynowy dh Filip Bałazy. I tu zaczyna się ciąg dalszy dziejów tego wątku. Dh Filip – obecnie student Uniwersytetu Śląskiego na kierunku „Turystyka historyczna" – pochodzi z rodziny o pięknych tradycjach, jego pradziadkowie z obu stron brali udział w powstaniach śląskich, a drużynę przejął po ojcu – Adamie Bałazym. Film powstał jako zadanie na Wiosenny Spływ Odrzański w 2016 roku. Celem Spływu jest upamiętnienie powstań śląskich, posiada on trzy szlaki; pierwszy – Kanałem Gliwickim – nosi imię Roberta Oszka, drugi – rzeką Rudą – Stanisława Wolnego „Baranka", trzeci – rzeką Odrą – Konrada Wawelberga. Całość kończy się apelem przy pomniku upamiętniającym poległych powstańców na Górze św. Anny. Choć w filmie nigdzie nie pada nazwisko Zofii Kossak, nieodparcie odnosi się wrażenie jakby to jej opowiadanie (choć wiemy, że tak nie było) stało się inspiracją dla szopienickich druhów, gdyż kreacja postaci ks. Karola Woźniaka bardzo dobrze odpowiada wizerunkowi nakreślonemu przez pisarkę.

Pora wreszcie postawić pytanie, skąd autorka *Nieznanego kraju* mogła zdobyć taką wiedzę o walecznym i charyzmatycznym kapłanie, że oddała nawet szczegóły jego wyglądu, wszak bujną czuprynę istotnie oglądamy na wszystkich zdjęciach. Zofia Kossak osiadła na Śląsku Cieszyńskim w 1922, nie miała więc chyba okazji poznać osobiście ks. Karola Woźniaka, który rok później zmarł. *Nieznany kraj,* w skład którego wszedł omawiany tekst oraz jeszcze inny o tematyce powstańczej zatytułowany *U stóp św. Anny,* ukazał się dopiero w roku 1932 i był efektem wielu żmudnych lat zdobywania wiedzy o historii tej ziemi, w której pomagał drugi mąż pisarki, mjr Zygmunt Szatkowski, historyk wojskowości. We wstępie do pierwszego wydania książki pisał: „Wszystkie wydarzenia, wszystkie prawie postaci, całe tło, na którym rozgrywają się poszczególne wypadki są wiernym obrazem opartym na ścisłych studiach historycznych, są wreszcie owocem kilkuletniej pracy i gruntownej znajomości Śląska", a nieco dalej dodawał, że aby nie powiększać jeszcze bardziej objętości książki, autorka nie przytoczyła źródeł, z których korzystała, a które były bardzo liczne. Nie poznamy więc materiałów i dokumentów na podstawie których powstawał *Nieznany kraj,* a zwłaszcza tych związanych z opowiadaniem o księdzu Karolu Woźniaku; podczas okupacji niemieckiej archiwum autorki w Górkach Wielkich zostało kompletnie zniszczone.

Z pewnością przewodnikiem po zawiłych meandrach śląskiej przeszłości był znakomity historyk Franciszek Popiołek, pierwszy profesjonalny badacz dziejów regionu. Także wybitny polihistor cieszyński – Ludwik Brożek, często przyjeżdżający do Górek Wielkich, mógł wskazywać autorce różne materiały. Być może czytała pełne bólu nekrologi, które pojawiły się w prasie śląskiej („Górnoślązaku", „Gazecie Robotniczej"), ale to nie wyczerpuje zagadnienia. Tak sugestywnie nakreślona postać, żywa i barwna, porywająca, jakby rozsadzająca ramy tekstu nie mogła powstać tylko na podstawie kilku informacji. Wiemy też, że pisarka czytała *Wyrąbany chodnik* Gustawa Morcinka, że cieszyła się z przyznanej pisarzowi nagrody, z tematyką powstańczą miała więc wielorako do czynienia. Zresztą powróciła do niej jeszcze w świetnych reportażach poświęconych dziejom polskiego harcerstwa pt. *Laska Jakubowa*.

Kreacja postaci ks. Woźniaka pozostanie jednak tajemnicą warsztatu znakomitej pisarki, a film szopienickich harcerzy, tak bardzo komplementarny z opowiadaniem, wiąże wszystko we wzruszającą całość, potwierdzając starą prawdę, iż życie samo pisze najpiękniejsze scenariusze. ■

fot. Autorka

Między polityką a ideologią
„Powstaniec Śląski" (1927–1936)

NATALIA WILCZEK

„Powstaniec Śląski" był czasopismem poświęconym sprawom organizacyjnym Związku Powstańców Śląskich (ZPŚl). Pośredniczył w komunikacji między Zarządem Głównym ZPŚl a poszczególnymi grupami miejscowymi. Był wydawany w Katowicach od listopada 1927 roku do grudnia 1936 roku.

ZPŚl był jedną z kilku organizacji powstałych po 1921 roku, której celem było zrzeszenie uczestników powstań śląskich. Członkami ZPŚl byli przede wszystkim powstańcy śląscy, ale także ich rodziny oraz inne osoby popierające powstania czy działania Zarządu Głównego ZPŚl. Został utworzony 25 lutego 1923 roku w Katowicach. Od początku swojego istnienia był polem walki różnych wpływów politycznych, pomimo tego że miał być docelowo kombatancką organizacją apolityczną i ponadpartyjną. Po przewrocie majowym w 1926 roku, chociaż nie od razu, związek poparł sanację i od tego momentu stał się główną organizacją prorządową w autonomicznym województwie śląskim, a jej dożywotnim honorowym prezesem był Michał Grażyński, wojewoda śląski.

Stosunek ZPŚl do Wojciecha Korfantego był, łagodnie mówiąc, negatywny, z kilku powodów. Po pierwsze część osób z największymi wpływami w ZPŚl, z M. Grażyńskim na czele, była skonfliktowana z W. Korfantym jeszcze od powstań śląskich, np. W. Korfanty nie popierał idei wybuchu powstania, zaś dowódcy Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska (POW GŚl), w tym m.in. M. Grażyński, chcieli walczyć, bo według nich tylko walką zbrojną można było przyłączyć ziemie śląskie do Polski. Oprócz tego nakładał się na to polityczny konflikt, gdyż W. Korfanty i Józef Piłsudski reprezentowali przeciwne sobie obozy polityczne.

Powstania śląskie

Mimo że na początku lat 20. XX wieku to W. Korfanty był najbardziej popularnym politykiem w województwie śląskim, mającym ogromny wpływ na przyłączenie części ziem Górnego Śląska do odradzającej się Rzeczypospolitej, to już pod koniec tych lat część mieszkańców województwa zmieniło nastawienie do niego, a ideę (czy ideologię, jak pisał ZPŚl) powstańczą ZPŚl zaczął łączyć z osobą J. Piłsudskiego, mimo że J. Piłsudski w czasie powstań był bardziej zajęty obroną państwowości polskiej niż Śląskiem. Niemniej jednak ZPŚl promował retorykę wedle której to J. Piłsudski zaczął być łączony z powstaniami: „A chociaż Marszałek Piłsudski bezpośrednio nie brał udziału ani w przygotowaniach, ani w samej walce powstańczej, to jednak z Jego osoby i Jego poprzedniego trudu legjonowego i peowiackiego czerpaliśmy jak ze źródła te natchnienia i bodźce do prac przygotowawczych" [pisownia oryginalna].

W początkowych numerach „PŚ" zwraca ogromną uwagę fakt, że prawie w ogóle nie występuje w tekstach nazwisko W. Korfantego, nawet w artykule „Rocznica III. powstania", gdzie wydawałoby się, że powinna znaleźć się jakaś wzmianka o dyktatorze powstania. ZPŚl zawsze bardzo celebrował wszystkie rocznice związane z powstaniami śląskimi, podkreślał, jak bardzo powstańcy poświęcili się, aby przyłączyć ziemie śląskie do Polski, jaki był to ogromny trud walki. Z związku z tym musieli znaleźć odpowiednie wyjaśnienie, jak czcić III powstanie śląskie, przy jednoczesnej pogardzie dla dyktatora tegoż. W związku z tym, od 1929 roku na łamach „PŚ" ukazało się kilka artykułów autorstwa M. Grażyńskiego, z których wynika, że to M. Grażyński i POW GŚl byli całkowicie odpowiedzialni za organizację trzeciego powstania. To właśnie Grażyński zaproponował Korfantemu, aby został dyktatorem, ponieważ był „najbardziej znaną i popularną osobą". Korfanty początkowo się wahał, ale ostatecznie zgodził się. Jeszcze w tym samym artykule Grażyński stwierdził, że Korfanty pogardzał ich organizacją, nie rozumiał jej, nie wierzył w powstanie i to właśnie jego postawa jest przyczyną wszelkich niepowodzeń związanych z tym powstaniem.

Mieczysław Chmielewski napisał: „[Korfanty] Wierzył wyłącznie w organizację polityczną i dyplomację – i to jest jego winą, jego bardzo wielką winą!". W kolejnym artykule anonimowy autor zarzucił Korfantemu, że nie był przygotowany do walki: „Nie miał jednak ani departamentu skarbu, ani aprowizacji, ani szefostwa uzbrojenia. Do prowadzenia wojny są natomiast potrzebne: żywność, umundurowanie i uzbrojenie", pomimo tego że sami często podkreślali brak poparcia Korfantego dla wybuchu powstania. Korfanty obawiał się, że powstańcy nie będą mieli żadnych szans z regularnym wojskiem niemieckim, bo czym innym jest walka z bojówkami paramilitarnymi, a czym innym – z uzbrojoną i wyszkoloną armią. Grażyński napisał, że często musieli ukrywać swoje działania, czy przygotowania przed Korfantym, ale jednocześnie zarzucał mu, że w niczym im nie pomagał. Prawie zawsze pisząc o Korfantym zapisywali słowo „dyktator" w cudzysłowie, czasami nawet używali wyrazu „dyktatorek", by podkreślić swoją niechęć. Zarzucali mu też, że „czynił wszystko, co tylko mógł na jego miejscu robić agent Berlina lub Moskwy", kolejny raz pokazując, że nie rozumieli dyplomacji i działań W. Korfantego, bo wierzyli, że powstańcy są w stanie wygrać walkę zbrojną, a każda próba działań dyplomatycznych oznaczała dla nich zdradę, czy działanie na rzecz obcych państw.

Polityka

ZPŚl podkreślał bardzo często, że jest ponadpartyjną i apolityczną organizacją. Stosunek do rządu świetnie pokazuje tekst „Brześć" z 1931 roku, gdzie Stanisław Mastalerz napisał: „Wobec tak głośnych krzyków opozycji będzie na miejscu ustalić stan faktyczny według oświadczenia przedstawiciela Rządu". Obiektywną dla nich oceną działań rządu względem aresztowanych i umieszczonych w Brześciu osób było oświadczenie rządu na ten temat. Na łamach „PŚ" jawnie popierali listę BBWR w wyborach do sejmu, czy senatu. Ba! Wymuszali na swoich członkach głosowanie na sanację. Ale fakt, że byli apolityczni i ponadpartyjni oznaczał według nich, że wszystko, co głosili (w kontekście polityki) było słuszne i poprawne, ponieważ kierowali się interesem państwowym, a nie partyjnym: „Stanowisko ponadpartyjne pozwala nam zawsze w naszem działaniu wyczuć ogólno-narodowy interes i na jego linji zespolić solidarny wysiłek" [pisownia oryginalna]. Z resztą słowa „partia", „partyjny", „partyjniak" były jednymi z największych obelg, których używano względem przeciwników politycznych sanacji. Każdy, kto nie popierał J. Piłsudskiego (czy M. Grażyńskiego w województwie śląskim) był albo częścią „partii" (jakiejkolwiek) albo dawał się omamić partyjniakom, co oznaczało, że nie pracował w interesie państwa, albo nawet działał na szkodę państwa polskiego, czyli w konsekwencji na rzecz Niemiec. Zwycięstwo obozu związanego z J. Piłsudskim, zostało uznane przez nich za zwycięstwo „idei powstańczej". Początkowo na łamach „PŚ" nie

Instytut Myśli Polskiej
Wojciecha Korfantego

pisali wprost o Korfantym, jedynie ogólnie o wszystkich politykach przeciwnych Piłsudskiemu, jednak często słowa te, zwłaszcza obelgi, dotyczyły również Korfantego. Np. Sejm Rzeczypospolitej I kadencji nazwany został „wrzodem społeczeństwa" (W. Korfanty był posłem tegoż), a politycy byli „darmozjadami", którzy zamiast pracować, tylko „politykowali". To samo dotyczyło Sejmu Śląskiego (w którym Chrześcijańska Demokracja z Korfantym miała większość): „Dzieje pierwszego Sejmu Śląskiego to szczyt upadku i myśli politycznej i narodowej na Śląsku". Piłsudski był otoczony „gangreną polityczną", a gdy chciał się wycofać z polityki „to poczęła spółka piastowo-endencka, wśród której nie zbrakło Waszego osławionego Korfantego, hulać na swój sposób, eliminując z pracy państwowo twórczej element budowniczy, tj. legjonistów" [pisownia oryginalna]. Polityka była pełna „karjerowiczów, aferzystów". ZPŚl nie uznawał Piłsudskiego oraz obozu z nim związanego za „polityków", oni zajmowali się działaniami na rzecz rozwoju państwa, a „politycy" tylko je niszczyli. ZPŚl uważał, że politycy wykorzystują państwo oraz obywateli, by się wzbogacić ich kosztem. Zgodnie z tą myślą oznaczało to, że jeśli ZPŚl działał na korzyść państwa, to tak naprawdę politycy, zwłaszcza ci, których oni zwalczali, byli na usługach Niemiec.

Często też podkreślali, że walczą, by powstańcy zajęli należne im miejsce w państwie i w województwie (żeby mieli pracę albo zajmowali odpowiednie stanowiska), bo ziemia śląska „musi w pierwszym rzędzie dać byt tym, którzy za nią walczyli i cierpieli". Przy czym nie wspominają już, że za powstańców uznają tylko tych, którzy walczyli faktycznie w powstaniach i wstąpili do ich związku, a przecież nie byli jedyną organizacją kombatancką powstańców śląskich. Z tego też powodu, za każdym razem, gdy Korfanty zwraca się przeciwko ZPŚl, czy jego zarządowi, przedstawiali to jako atak na wszystkich powstańców.

Początkowo ZPŚl zarzucał również Korfantemu, że chciał zniszczyć autonomię śląską i podkreślał, że związek jest zwolennikiem autonomii. Z czasem jednak ich chęć obrony autonomii w takiej postaci, jaka była od początku w województwie zaczęła się zmniejszać, tzn. stali się przeciwnikami autonomii politycznej, chcieli zlikwidowania Sejmu Śląskiego, bo ten według nich walczył z rządem. Ostatecznie okazało się, że popierali tylko autonomię gospodarczą. Jednocześnie cały czas przedstawiali, że tylko oni bronią autonomii, bo Korfanty chce ją zlikwidować. W 1935 roku opublikowano anonimowy artykuł, w którym stwierdzono, że tak naprawdę powstańcy nie chcą autonomii i została ona im narzucona przez „sejm warszawski".

ZPŚl uważał, że „ideologja powstańcza najlepiej odpowiadała myśleniu szerokich mas narodowych i dlatego należało ustrój społeczny i polityczny województwa śląskiego tą ideologią przepoić", przy czym należy pamiętać, że „ideologia powstańcza" oznaczała politykę Zarządu Głównego ZPŚl. Chociaż jednocześnie winą za to, że w województwie śląskim nadal istniały tak duże podziały polityczne częściowo zrzucono na społeczeństwo, zarzucając mu „analfabetyzm polityczny" oraz ogłupienie przez partie.

Z każdym kolejnym numerem można dostrzec też, że walka z Korfantym staje się coraz bardziej agresywna, często można napotkać już bezpośrednie inwektywy w stronę dyktatora trzeciego powstania. Nazywany jest „hersztem politykierów", „fałszywym prorokiem", a decyzje, z którymi ZPŚl się nie zgadzał, „należy zrzucić na karb jego starczego uwiądu".

Wszystko, co Korfanty czynił (wg ZPŚl) było tak naprawdę podyktowane nienawiścią do Grażyńskiego i rządu. Wszystko, czego nie udało się zrealizować w województwie śląskim, było winą Korfantego, a analogicznie każdy sukces był zasługą Grażyńskiego. Samo obrażanie Korfantego przestało już wystarczać, w pewnym momencie S. Mastalerz w swoim artykule stwierdził: „Jak długo ten człowiek nie usunie się z życia politycznego, nie będzie zgody i spokoju wśród społeczeństwa polskiego na Śląsku. On jedyny jest tym człowiekiem, który jest przeszkodą, w dążeniu naszem do zgodnej i solidarnej pracy społeczeństwa śląskiego, owianem miłością bliźniego" [pisownia oryginalna], tylko usuniecie się Korfantego z polityki mogło przyczynić się do rozwoju życia w województwie.

We wszystkich tekstach „Powstańca Śląskiego" odzwierciedla się bezpardonowa walka polityczna, która była obecna w II Rzeczypospolitej. Czasopismo było tubą propagandową prosanacyjnego Związku Powstańców Śląskich, z związku z tym nie było szans, aby na łamach „PŚ" powstał jakikolwiek obiektywny tekst dotyczący osoby Wojciecha Korfantego. Powstańcy skupieni wokół ZPŚl byli często bezrobotni, sfrustrowani swoją złą sytuacją życiową. Pamiętajmy, że w XX-leciu międzywojennym miał miejsce ogromnym kryzys gospodarczy. Wierzyli, że jeśli to dzięki nim ta część Górnego Śląska znalazła się w granicach państwa polskiego, to nie może być tak, że nie mają pracy, albo nawet ją tracą za to, że byli powstańcami. W takiej sytuacji zawsze szuka się winnych, a odnoszący sukcesy na polu politycznym oraz finansowym Korfanty zwracał na siebie uwagę. A przyłączenie się ZPŚl po 1926 roku do obozu popierającego sanację tylko wzmocniło negatywną ocenę jego działalności. ■

O ogrodach prawie wszystko

Ks. HENRYK PYKA

Tęsknota za ogrodem, miejscem pierwotnej szczęśliwości, wpisana jest głęboko w europejską kulturę. Za sprawą Biblii, ale także przekazów mitologicznych, pamięć pokoleń przechowuje pragnienie zbliżenia się człowieka do miejsca wolnego od uczucia alienacji, od trosk doczesnych, cierpienia i śmierci. Bóg stworzył człowieka nie dla udręki, lecz dla radości. Autor natchniony podziwiając piękno stworzenia dochodzi do konkluzji, która sugeruje, że człowiek nawet wtedy, kiedy został pozbawiony bezpośredniego kontaktu ze źródłem piękna – swoim Stwórcą, nie jest pozbawiony warunków do życia. „Nie stworzyłeś ziemi bezładną – woła człowiek w mistycznym uniesieniu – lecz przysposobiłeś ją na mieszkanie" (Iz, 45,18). Czy na Ziemi, planecie ludzi, która, jak utrzymuje Biblia, stała się „miejscem wygnania", zachowały się jeszcze zakątki wolne od eksploatacji, cieszące nieskażonym pięknem? Przestrzeń stanu pierwotnego szczęścia opartego na zjednoczeniu ze Stwórcą i stworzoną przez niego naturą musi być przecież wolna od penetrującego ją krogulczego pazura ludzkiej pazerności.

Taką przestrzenią wolną od eksploatacji są jak na razie zdumiewające przestrzenie Kosmosu, dostępne dzięki coraz to bardziej precyzyjnym instrumentom badawczym. Są to miejsca niegdyś niedostępne ludzkiemu oku. Człowiek jednak zawsze spoglądał w gwiazdy, wypatrując w nich wysp szczęśliwych i jakiejś odpowiedzi na nurtujące go pytania. Patrząc w niebo dostrzegał także Kosmos (Porządek) w sobie. Współcześni, poszukujący, stając się uczestnikiem doświadczenia starożytnych autorów (Syr, 43; Hi 9,9) z wewnętrznym przekonaniem, którego nam dzisiaj brakuje, skłaniają się i dzisiaj ku dwu rzeczom, które napełniają duszę podziwem i czcią. Są nimi *niebo gwiaździste i prawo moralne.* Dla Immanuela Kanta niebo nad głową i ład wewnętrzny w człowieku *to dowody* – jak pisze – *że Bóg jest nade mną i Bóg jest we mnie.*

Instrumentalno-wokalna interpretacja eposu Johna Miltona, której Krzysztof Penderecki nadał monumentalną formę, fakturę i obsadę, powstała na zamówienie Lyric Opera w Chicago dla uczczenia 200. rocznicy powstania Stanów Zjednoczonych. Niestety po 200 latach Ameryka dla wielu nie jest już Wyspą Szczęśliwą i podróż do Nowego Świata nie wydaje się egzotyczną wyprawą po łut szczęścia skrytego w fałdach mitycznej Kolchidy.

„Raj Utracony" Johna Miltona w muzycznej oprawie Pendereckiego znalazł jednak pełne wybrzmienie w ekspresyjnej passacaglia, w której pojawia się stały temat, którego brakuje XVII-wiecznemu epickiemu poematowi angielskiego poety. Tym tematem powtarzanym w wielu wariacjach muzycznych jest obecna w końcowej frazie utworu nuta chrześcijańskiej Nadziei, która jest echem chorału Jana Sebastiana Bacha *O groβe Lieb*. Tak więc z Nadziei, która „poczęła się w Bogu, i z chaosu, wyłania się ów kształt wyspy szczęśliwej jako zrąb światła", Dla opisania tej wyspy Krzysztof Penderecki znalazł nie tylko formę muzyczną ale i pewien model przestrzenny. Jest nim jego ogród w Lusławicach. Sam kiedyś powiedział: gdybym nie uprawiał muzyki, uprawiałbym ogród, przechadzając się pośród niego jako fachowiec-dendrolog. Europejczyk przechadzając się po tym ogrodzie musi w końcu zrozumieć, że nie odnajdzie on siebie poza własną kulturą, z której się wcześniej wyalienował.

Ogrody Lusławickie prezentowałem w roku 2007 w Muzeum Archidiecezjalnym w Katowicach pod obecność Elżbiety Pendereckiej w odsłonie sosnowieckiego fotografika Marka Bebłota. Tej wystawie zawdzięczam osobisty wpis muzyczny Pendereckiego do dwutomowej publikacji, zawierającej rozmowę z kompozytorem Pasji wg świętego Łukasza i dokumentację fotograficzną. Z przekazu fotograficznego wyłania się bardzo osobisty stosunek Mistrza z Lusławic do tej wyspy ukształtowanej w tradycji dawnych mieszkańców lusławickiego dworku. Mieszkał w nim arianin Faustyn Socyn, a później znakomitego malarz Jacek Malczewski.

Ziemia ta odpowiednio uprawiona – pisze Penderecki – *stawała się gościnna, przyjmowała drzewa nie tylko stąd – domowe, krajowe: buki i klony, dęby i brzozy, cisy i modrzewie, ale także te zrodzone w innych stronach świata, od Hiszpanii po Koreę, od Kanady po Wenezuelę. Ich rejestr rósł wraz z każdą z kompozytorskich i dyrygenckich podróży.*

Jeśli istnieją dzisiaj ogrody na Ziemi, to są to najczęściej lunaparki, ogrody zapomnienia lub oderwania się od świata, wesołe miasteczka. Popkultura lubi takie miejsca. Z tych powabnych miejsc trzeba w końcu zejść na ziemię, miejsce „krzyku, płaczu i żałoby". W wołaniu dzieci Kościoła, które codziennie wieczorną godziną „na tym łez padole" śpiewają: „ad te clamamus exules, filii Heave", jest coś z platońskiej tęsknoty za ostatecznym wyzwoleniem. Dla Platona już nie tylko świat, lecz cała ludzka cielesność była więzieniem, w którym jak ptak tłucze się po mrocznych kątach ludzka dusza. Każdy żyje w swojej nocy, pisze Bernanos.

Małych ludzkich tęsknot można dopatrzyć się w obwarowanych miastach. Miastach idealnych jak Sabbioneta, Pienza, Stella Nuova, bliski nam Zamość. Jeśli nie było w nich wiszących ogrodów, to na pewno nietrudno było wypatrzeć tu kobiety podlewającej zwisające z okna na poddaszu pelargonie. Lubię malarstwo Carla Spitzwega. On umiał podpatrywać i przedstawiać takie sceny. Kapitan pustynnego fortu w relacji Exupery´go odmawia sobie wody, by podlać nią roślinę w donicy, a ściśnięty w swoim wielkomiejskim mieszkaniu bourgoi funduje sobie w salonie żardinierę, która daje złudzenie bezpośredniego kontaktu z ogrodem, miejscem wiecznie zielonym. Biskup koszaliński, urodzony katowiczanin Ignacy Jeż, kiedy ufundowano mu na starość fontannę w wykuszu jego mieszkania wyznał: teraz pod jednym dachem mam wszystko.

„Katowice – miastem ogrodów". Uczestniczyłem w sesji inaugurującej funkcjonowanie tego szyldu, który przypięto miastu. Namiastkę znajduję w rynku w postaci ciekawego łączenia jego architektonicznej zabudowy z miejską zielenią. W podtekście jednak jest coś więcej. Podtekst to wszystko, co stanowi o wyrazie miasta i jego życiu. To jego kultura. Kultura jest wyrazem człowieka. To te wszystkie barwne formy, przez które on się wyraża i w których się odnajduje. Skala szeroka: od uniwersytetu po kult religijny i piękną liturgię.

Koncepcja miasta ogrodu pojawiła się w 1898 roku w Anglii. Jej autorem był Ebenezer Howard, który opublikował ją w książce pt. *Garden Cities of Tomorrow*. Podług myśli Howarda zbudowano w granicach Katowic Giszowiec, osiedle, które łączyło w sobie zalety, jakie niesie ze sobą mieszkanie na wsi i korzyści, jakie płyną z mieszkanie w mieście. Zdrowe powietrze, kontakt z naturą, własne produkty codziennego spożycia, a przy tym dobre zarobki w pobliskiej kopalni, dostęp do szkół, dóbr kultury. Twórcy Giszowca nie byli bezinteresowni, wiążąc mieszkańców miasteczka-ogrodu z zakładem pracy. Cena eksperymentu była jednak wyważona. W Anglii takich miast-ogrodów powstało wiele. W Polsce jest tylko jeden, wzorcowy Giszowiec, niestety w PRL-u częściowo zabudowa-

ny czymś, w czym idea Howarda się zatraca – blokowiskiem. Giszowiec to też poniekąd „Raj utracony".

Według relacji biblijnej, Raj był miejscem wydzielonym przez Boga, był miejscem idealnym, nie istniał jednak w innym lepszym ze światów, lecz tu na Ziemi. Było to miejsce szczególnie chronione, strzegły go Kerubim i „połyskujące ostrze miecza". Osoby, które w nim przebywały, otrzymywały szczególne znamię wybrania, posiadały charakter sakralny. Uświęcało ich jednak nie tyle samo miejsce, lecz fakt bliskości Boga. „Bóg przechadzał się po Raju". W jego obecności wszystko posiadało swój właściwy wymiar. Dlatego mieszkańcy tego miejsca chodzą nago, czyli tak „jak ich Pan Bóg stworzył". Pismo święte mówi o takich, że „chodzą w prostocie swojego serca". Spoglądając na siebie wzajemnie poznają się w Prawdzie. Wolni są zatem od pokusy, by część siebie samych, własną powierzchowność, brać za całość. Mają przecież jeszcze w sobie cały swój wewnętrzny świat. Carl Gustaw Jung nie był aż tak przenikliwy w swej psychoanalizie głębi, by dotknąć człowieka u jego poczęcia w zamyśle Boga.

W biblijnym obrazie raju można szukać źródeł życia monastycznego. Klasztor jest miejscem wyłączonym – „claustrum", ogrodem otoczonym murem, dobrze strzeżonym. Wybrani mieszkańcy tego świata mają tylko jedno pragnienie: żyć w bliskości Oblubieńca i jego wyłącznie oczekiwać. Istota dziewictwa, trafnie i lapidarnie ujęta została w papieskim „Totus Tuus". Dziewictwo jako stan wyłączności wynikającej z miłości do Boga wysoko cenione w Kościele, ma stanowić drogę do szczęścia. Czy zawsze osiąganego?

W średniowiecznych przedstawieniach „paradisum voluptatis" przedstawia się święte dziewice w towarzystwie Matki Bożej. Rajskie ptaki na drzewach, prawie fantastyczne, zieleń rozległych łąk na których „kwiat nie więdnie i trawa nie usycha" sugerują jakąś nieziemską wizję ogrodu. Nie jest to już Eden, w którym szemrzą źródła czterech rajskich rzek. Jest to taki ogród, w którym „wszystkie rzeczy przeminęły i wszystko stało się nowe". Nie jest to ani „Magdalenaclaustrum", które widziałem w monachijskim Nymphenburgu, gdzie uciekało się po głupim dworskim życiu na chwile pustelniczej medytacji; nie jest to jakakolwiek chińska altana, czy pawilon w tym samym barokowym ogrodzie, gdzie wstępowało się w dobre towarzystwo na „five o'clock". Ogród mistyczny

Hieronim Bosch, tryptyk „Ogród rozkoszy ziemskich", lewy panel – „Raj"

jest Ziemią Obiecaną, do której idzie się z Nadzieją jak Mojżesz przez całe życie. I ogląda się tę Ziemię z daleka. W tęsknocie, w marzeniu. Bo przecież ludzkie oko, poddane prawom optyki, prawom fizycznym i fizjologicznym nie może zobaczyć tego „czego ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, co Bóg zgotował tym, którzy go miłują". Co widzi trupa wyszklona źrenica – pyta Słowacki.

W swoim czasie prezentowałem w Muzeum Archidiecezjalnym w Katowicach osobliwą urodę japońskich ogrodów. Pojawiająca się w Europie od czasu nawiązania kontaktów handlowych z Dalekim Wschodem moda na chińszczyznę i japońszczyznę wprowadziła do europejskich ogrodów egzotyczne akcenty. Była to jednak bardziej egzotyka jak filozofia, tak nierozłącznie związana z japońskim ogrodem. Filozofia japońskiego ogrodu wyraża się prostotą i umiarem służącym osiągnięciu wewnętrznej równowagi. Jej wyraz plastyczny określony jest kształtowaniem zamkniętej przestrzeni, owym znanym w kulturze europejskiej „claustrum", w którym dopuszcza się możliwość życia i współżycia w harmonii, pośród przeciwstawnych sobie żywiołów. Przestrzeni tej strzegą smoki, które – podobnie jak cheruby – strzegą wejścia do Ogrodu. Nie jest to obce najgłębszym warstwom duchowości chrześcijańskiej. Zgodnie z prawidłami chrześcijańskiej filozofii ducha, kontemplacja i wewnętrzna równowaga, które wydają się przeciwieństwem „actio", to w istocie jedno z dwu skrzydeł wznoszących człowieka ku Bogu. Kontemplacja, wyprzedzając akcję, jest fundamentem sprawiedliwych czynów, na których opiera się Miłość, ostateczny cel osiągany przez człowieka dążącego do pełnej harmonii. Tak patrząc na japoński ogród, spoza europejskiego parkanu, widzimy właściwie jedno i to samo dążenie właściwe dla wszystkich ludzi, właściwe wszystkim kulturom. Jest to dążenie do „Pełni", uwydatnienia siebie jako Człowieka.

Miłość w nas jest pięknym ogrodem. Święty Paweł odnosi ją do Chrystusa, mówiąc o pełni możliwej do osiągnięcia w Chrystusie (pawłowe „Pleroma Christi"). Pięknie rozprzestrzenia się ona w ludzkim wnętrzu i wylewa na zewnątrz, w spojrzeniu, w ludzkim słowie i czynie. To jakby kwiaty tego ogrodu: dobre słowa i spojrzenia, dobre intencje i zamiary, które wychodzą „poza parkan", za mury kościoła, czy jakiegokolwiek innego „claustrum". Łatwo podeptać tę uprawę, prawdziwie ludzką kulturę. Łatwo wyśmiać, zlekceważyć. Dlatego sami otaczamy ją parkanem. Jak klosz na kruchą roślinę, spuszczamy na nią rzęsy „wstydu panieńskiego". Czeka w nas Miłość na Oblubieńca. Pośród mirtów woła: „Przyjdź i zbliż się". ■

Kantyczka

Boga nie ma
dzisiaj w niebie.

Właśnie zjawił się
u ciebie.

Patrzy w cierpienie
głębokie, gęste.

I mówi: nie bój się –
jestem.

A ty się dziwisz
nie wiesz już nic…

Tak, musisz cierpieć
jeśli chcesz żyć.

Niezbędnik

Gdybym się tak zastanowił
rzucił w diabły tu i teraz

może wpadłby mi do głowy
pomysł, żeby się pozbierać

w jakąś całość, kształt, mechanizm
który służy czemuś, komuś

i w obsłudze jest dość tani
i niezbędny w czyimś domu.

O księżycu w listopadzie

Nie powiem o nim inaczej
to mój wierny przyjaciel.
Gdy przy mnie nie było nikogo
pilnował spraw siwą głową…

Jak on – jestem satelitą
cząstką światła od Boga odbitą.
Taki sam kosmos mam w genach
co Bóg, księżyc, ziemia…

Zaduszki

Moi bliscy umarli
leżą pod zwałem ziemi
niepewni czy na górze
coś się w ich sprawie zmieni.

Moi bliscy umarli
w tymczasowych mieszkaniach
co noc mówią o jutrze
co dzień mnożą pytania.

Stoję nad nimi teraz
uspokajam jak mogę
robi się coraz ciaśniej
między prawdą a Bogiem.

Trzy życzenia

Bardzo cię proszę moja głowo
myśl o mnie gdy coś robię.
Nie daj się skołować słowom
które puszczam w obieg.

Bardzo was proszę moje ręce
nie bierzcie nic pochopnie:
warto rzecz poznać mniej więcej
zanim się ją dotknie.

I jeszcze ciebie proszę sprycie
nie szukaj krótszych ścieżek...
Bo w to, że znasz się na życiu
nawet ja nie wierzę.

rys. Bogna Skwara

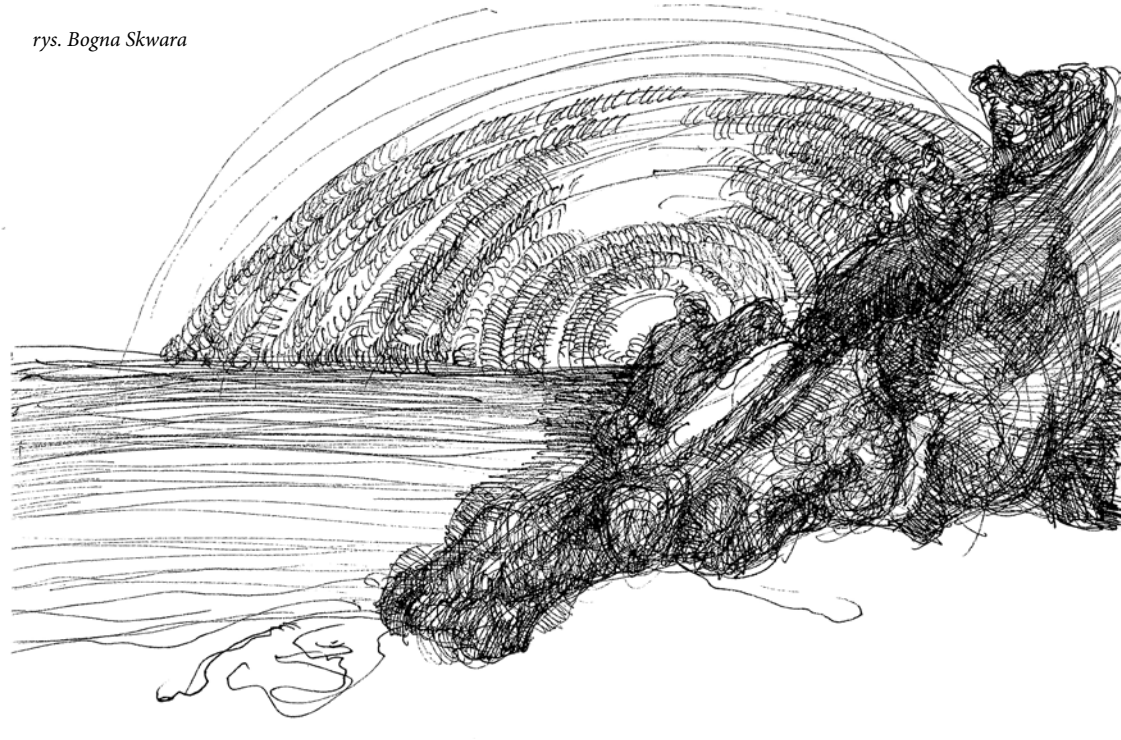

Ballada, której wierzę

Do dzisiaj ich spotykam
raz w kościele, raz w sklepie
on włos siwy, cień w oczach
ona też nie najlepiej.

A pamiętam jak za nim
wciąż wzdychały dziewczęta
w jej ramiona też jeden
skoczył z ósmego piętra.

Potem wyszli za siebie
jakoś tak, pod październik
mówiono o nich w mieście
młodzi, piękni i wierni.

Mieli biznes przy rynku
sklep na butach i szmatach
były z tego pieniądze
dom im wyrósł w trzy lata.

Ludzi kłuło to w oczy
donosili gdzie trzeba
ale tamtym wciąż szczęście
gęsto spadało z nieba.

Którejś wiosny się stało
to, co stać się musiało
roztrzaskali się autem
gdzieś pod Dąbrówką Małą.

I się już nie podnieśli
połamani, wciąż chorzy
lepiej gdyby tam wtedy
Bóg ich w ziemi położył.

Nikt już o nich nie mówił
bo o biedzie cóż gadać…
I mnie też z rąk wypada
przygaszona ballada.

Lecz gdy czasem ich widzę
jak szanują się szczerze
wierzę w miłość do końca
wierzę.

rys. Bogna Skwara

Szansa

Zawsze trzeba wierzyć, że da się
koniec świata wstrzymać na moment
i zrobić coś takiego w tym czasie
co odwróci kota ogonem.

Sama z siebie

Można w nią nie wierzyć
nawet gdy zjawią się obok
wpół objęci, przytuleni
czule zajęci sobą.

Można zabrnąć w nienawiść
obojętność, rozsądek
uciec w morza samotne
stać się bezludnym lądem.

Lecz nawet gdy się ją żywcem
na śmierć w myślach pogrzebie
miłość nie umrze
odżyje, sama z siebie.

O księżycu w sierpniu

Księżycu ech, księżycu
to ty trzymasz przy życiu
gdybym miał tylko Ziemię
zabiłoby sumienie.

Dobrze mieć na oku
ten twój srebrny spokój
popatrzy sobie człowiek
zrobi porządek w głowie.

O krok od zbrodni

JAROSŁAW KAPSA

Jeżeli się coś nie zdarzyło czujemy się uprawnieni by głosić: u nas nie mogło do tego dojść. Brzmi w tym swoisty egocentryzm, poczucie moralnej lepszości. 4 lipca 1946 r. doszło w Kielcach do zbrodni, rozszalały tłum zamordował 40 osób, zabijał ich w okrutny sposób, tylko dlatego, że byli Żydami. Popełniona rok po zakończeniu II wojny światowej, gdy żywa była pamięć o tragedii Zagłady, zbrodnia kielecka wydaje nam się dziś rzeczą moralnie niemożliwą. Naturalne wydają się próby szukania racjonalnych wyjaśnień, wskazywanie elementów świadomej prowokacji.

Trudno odmówić racji tej teorii. W prasie częstochowskiej znajdziemy bowiem opisy podobnych prób wywołania „gniewu ludowego", zgrupowane w jednym tylko czasie, w lipcu 1946 r. 6 lipca na Zaciszu znaleziono zwłoki kilkuletniej dziewczynki. Sprawca mordu – młody chłopak, rdzenny Polak – został ujęty przez mieszkańców. Mimo tego, w tłumie powtarzano pogłoski o podobnych zabójstwa młodych harcerzy, popełnianych przez Żydów. Komentarz „Głosu..." wskazywał „musimy zaznaczyć, że nie była to pierwsza i jedyna plotka o tym charakterze. Po wypadkach kieleckich w Częstochowie krąży wiele podobnych bredni". /„Głos Narodu" nr 158, 8.07.1946 r./ Kolejne incydenty opisuje głos kilka dni później, w tekście pod tytułem „Tłum staje się niebezpieczny" /„Głos Narodu" nr 167, 18.07.1946 r./. 12 lipca milicja zatrzymała pijanego mężczyzny częstującego dzieci cukierkami. „Zebrana przy tym incydencie publiczność z całą powagą wypytywała milicję „czy ten człowiek nie jest Żydem, bo jeśli tak, to na pewno dziecko chciał porwać – na macę". Ten sam tekst opowiada o incydencie 15.07. w dzielnicy Zawodzie, gdzie plotka o uprowadzeniu dziecka zgromadziła blisko 1000 osobowy tłum. „Jak się okazało, groźna postawa tłumu została wywołana tym, że jakiś nieznajomy, rzekomo Żyd, chciał uprowadzić 5-letnie dziecko do kamieniołomów w okolicy miasta. Po sprawdzeniu okazało się, że posądzonym jest Śpiewak Kazimierz, lat 37, rdzenny Polak, o wyglądzie semickim". Wymieniony wyszedł na spacer ze swoim siostrzeńcem. „Wypadek omal nie skończył się samosądem zebranego wkrótce tłumu, gdzie padały okrzyki „zabić Żyda". Jednocześnie wśród zabranych znalazła się niejaka (....), którą wzięto za Żydówkę i omal nie obito. Zajście zostało całkowicie zlikwidowane przez milicję". Kolejny wypadek miał miejsce 19 lipca, opis okoliczności prawie dokładnie powiela schemat, który stał się przyczyną pogromu w Kielcach przy ul. Planty. „Dnia 19 b.m. o godz. 16.00 do III Komisariatu M.O. w Częstochowie zgłosiła się niejaka Genowefa Jakubowska, zamieszkała przy ul. Berka Joselewicza 7 i złożyła zameldowanie o zaginięciu jej syna Edwarda lat 11. Edward Jakubowski wyszedł z domu rano o godz. 10-tej i nie powrócił. Nazajutrz, gdy zjawił się w domu, tłumaczył matce, że wraz z kolegą (nazwisko nieznane) został porwany przez Żydów, zamknięty w piwnicy na ul. Garibaldiego 28. Według relacji malca – związano im ręce i nogi, zakneblowano usta i wsadzono do worków. Mimo to zdołali się oswobodzić i uciec. Genowefa Jakubowska zaczęła ten fakt rozgłaszać na ulicy i zebrała wokół siebie poważną ilość przechodniów. Znamienne, że postawa tłumu ostatnio zaczęła ulegać zmianie. Zebrani ustosunkowali się bardzo sceptycznie do opowiadania Jakubowskiej. Padały zdania: „bzdury nam pani gada", „lepiej złoić chłopakowi skórę, a powie prawdę, gdzie był" itp. Zawiadomiona o zbiegowisku Komenda M.O. wysłała na miejsce swych funkcjonariuszy. Kobieta z dzieckiem jednak znikła. Gdy milicjanci udali się do jej mieszkania, zastali tam chłopaka, który, zatrzymany i badany, wyznał, że wraz ze swym kolegą spotkał na ul. Narutowicza dwóch mężczyzn. Mężczyźni wręczyli chłopcom pieniądze z poleceniem, aby noc spędzili w piwnicy domu nr 28 przy ul. Garibaldiego. Według polecenia chłopcy mieli rano rozgłosić, że porwali ich Żydzi. Zatrzymana następnie matka tłumaczy się, że uwierzyła w opowiadanie syna i dlatego starała się podburzyć tłum zebranych ludzi. Wszelkie komentarze wydają się tu zbyteczne. Pocieszającym jest tylko fakt, że ludność Częstochowy przestaje wierzyć w rozgłaszane bajki. W tym wypadku tłum zebranych wykazał wobec prowokacji postawę obronną" /„Głos Narodu" nr 171, 23.07.1946 r./.

Wszelkie komentarze wydają się tu zbyteczne... Po zbrodni kieleckiej próbowano tymi samymi metodami doprowadzić do zbrodni w Częstocho-

fot. Tomasz Bienek

Glinianka przy nieistniejącej cegielni Helmana przy ul. Loretańskiej w Częstochowie, gdzie 18 czerwca 1946 roku odnaleziono zwłoki 15-letniej Krystyny Woźniak

wie. I, jakkolwiek byśmy nie próbowali bronić naszej społeczności, nie brakowało ludzi gotowych ulec prowokacji. Charakterystyczne, że ów „oburzony tłum" zbierał się wyłącznie w lipcu 1946 . Miesiąc wcześniej doszło do innego smutnego incydentu. 18.06. 1946 r. w gliniance przy cegielni Helmana znaleziono zwłoki 15-letniej Krystyny Woźniak. Śledztwo wykazało, że została ona uduszona przez żydowskiego krawca, przyczyny mordu miały podłoże seksualne. Zdarzenie to nie wywołało erupcji oburzonych; wojna znieczuliła i pomniejszyła wartość ludzkiego życia. Potrzebne były inne impulsy, by wzbudzić namiętność tłumu.

Dziś szereg prac wskazuje podglebie zbrodni kieleckiej: powszechny w regionie świętokrzyskim ludowy antysemityzm, swoisty efekt zderzeń biednej, pogrążonej w analfabetyzmie wsi z żydowskimi, równie biednymi i zaniedbanymi, miasteczkami-sztetlami. Poszukiwanie takowych przyczyn społecznych z pewnością pogłębiono by, gdyby doszło do zbrodni w Częstochowie. Wszak tu była Jasna Góra, wszak miasto przed wojną było endecko-klerykalne, wszak były tu pogromy w 1919 r. i w 1937 r., wszak było tu w czasie okupacji hitlerowskiej zaplecze „osławionej" Brygady Świętokrzyskiej NSZ. Niestety, tak prostych tłumaczeń nie można stosować; do pogromu w 1946 r. nie doszło. I co ważne, tu w tej endeko-klerykalnej Częstochowie głos Kościoła zabrzmiał mocno i wyraźnie.

Po pogromie kieleckim, 9 lipca ukazał się w „Głosie Narodu" apel do społeczeństwa napisany przez biskupa ks. Teodora Kubinę, a podpisany także przez prezydenta miasta Tadeusza Jana Wolańskiego, starostę powiatowego Jana Kazimierskiego, Prezesa MRN Karola Zajdę i prezesa Powiatowej Rady Narodowej Stanisława Rękasa. Czytamy w nim: „W Kielcach dokonano zbrodni masowego mordu na osobach obywateli polskich narodowości żydowskiej. Zamordowano trzydziestu dwóch Żydów i dwóch Polaków, którzy przeżyli piekło okupacji niemieckiej, patrzyli na śmierć i męczarnie swoich najbliższych i sami uniknęli śmierci z rąk okupanta nie bez pomocy polskiego społeczeństwa chrześcijańskiego. Moralni i faktyczni sprawcy dokonanego mordu podeptali godność człowieka oraz dopuścili się strasznego w swej formie pogwałcenia chrześcijańskiego przykazania, miłości bliźniego i ogólnoludzkiej zasady – „nie zabijaj". Nic, absolutnie nic, nie usprawiedliwia zasługującej na gniew Boga i ludzi zbrodni kieleckiej, której tła i przyczyny poszukiwać należy w zbrodniczym fanatyzmie i nie-

fot. Tomasz Bienek

Ulica Berka Joselewicza w Częstochowie, drugi z lewej dom o numerze 7. W tym miejscu mieszkał jeden z rzekomo porwanych chłopców, Edward Jakubowski wraz z matką Genowefą

usprawiedliwionej ciemnoty. Fanatyzm jednych, posługujących się dla celów zbrodni kłamliwymi pojęciami zmierzchłego średniowiecza, obcymi wierzeniom społeczności chrześcijańskiej i zasadom zgodnego współżycia wszystkich współobywateli kraju bez różnicy narodowości i wyznania, uknuł zbrodnię i wyzyskał ciemnotę innych dla dokonania tej zbrodni. I jedni i drudzy winni być bezwzględnie i bez jakichkolwiek zastrzeżeń potępieni jako zbrodniarze w rozumieniu wszelkich praw boskich i ludzkich. (...) Mimo to mieliśmy możność stwierdzić, że i u nas, w Częstochowie znaleźli się tacy, na szczęście nieliczni, którzy podobnie jak w Kielcach, usiłują uczynić wszystko, ażeby ciemnotę ulic i domów pchnąć do zbrodni, jaką oglądały z przerażeniem Kielce. W związku z tym, jako przedstawiciele społeczeństwa częstochowskiego, mający do tego społeczeństwa zaufanie i wierzący niezłomnie w jego świadomość ludzką i wyznawane przezeń zasady chrześcijańskie i moralne, oświadczamy i apelujemy: Wszelkie twierdzenia i istnieniu mordów rytualnych są kłamstwem. Nikt ze społeczności chrześcijańskiej ani w Kielcach, ani w Częstochowie lub gdzie indziej w Polsce nie został skrzywdzony przez Żydów dla celów religijnych i rytualnych. Nie jest znany ani jeden wypadek porwania dziecka chrześcijańskiego przez Żydów. (...) Dlatego też apelujemy do wszystkich bez wyjątku obywateli miasta i powiatu Częstochowy, do ludzi dobrej woli w szczególności, by nie dawali posłuchu zbrodniczym wersjom i pogłoskom, wersje te i pogłoski sprawdzali u źródeł, prostowali je wśród najbliższego środowiska oraz przeciwdziałali wszystkim możliwościom wywołania jakichkolwiek ekscesów przeciwko ludności żydowskiej". /„Głos Narodu" nr 159, 9.07.1946 r./

Zarzuty o milczenie czy niejednoznaczne stanowisko Kościoła polskiego w sprawie zbrodni w Kielcach rozbić się mogą o powyższe słowa napisane przez częstochowskiego biskupa. Nawet częstochowianie dalecy od religii i Kościoła, wspominając ten apel odczuwać mogą przypływ lokalnej dumy.

Był to też czas szczególny, wymazywany wstydliwie z pamięci historycznej. Wojna zniszczyła miasto i ludzi. Wyszliśmy, jako społeczność, z tej pożogi z poczuciem poniesionej klęski, z fatalizmem obserwując umacnianie się nowej, „narzuconej" władzy, troszcząc się już nie o sprawy wspólne, lecz o biologiczne przeżycie, zapewnienie rodzinie chleba i dachu nad głową. Sytuacja materialna poprawiała się bardzo powoli. W październiku 1945 r. informacja magistratu odnotowała: złe nastroje, brak żywności, węgla, sporadyczne strajki, masówki, podobny był obraz kolejnych miesięcy. W dniach 22-23 lutego 1946 r. miał miejsce strajk w zakładach Union Textille, przyczyną był spór o przydziały unrowskie; łącznie w lutym doszło do 4 strajków z uczestnictwem 3500 robotników. W maju 1946 strajki miały miejsce w dniach 6-10 maja, protestowało 4200 robotników z zakładów włókienniczych i ceramicznych. W październiku 1946 r. był strajk „Częstochowianki" – 1850 robotników.

Od stycznia do lipca 1945 r. Częstochowa była ośrodkiem zaplecza frontowego dla oddziałów sowieckiej armii. Przebywało tu kilka tysięcy żoł-

nierzy. Na potrzeby Armii Czerwonej zajęte zostało 220 budynków i 2 tys. kwater. Prezydent miasta Wolański w telefonogramie do ministerstwa administracji informował: w okresie od 16 I do 20 VII 1945 r. Armia Czerwona dokonała: 22 zabójstwa, 50 usiłowań, 32 zranienia, 11 gwałtów, 136 kradzieże, w tym ukradziono 80 rowerów, 200 zegarków, obrabowano 200 mieszkań. Zagrożenie to trwało do końca roku 1945. We wrześniu wśród 9 odnotowanych morderstw, 4 były dziełem żołnierzy radzieckich, z 5 odnotowanych okrutnych gwałtów – 4 popełnione przez tych żołnierzy; codziennością były napady rabunkowe, kradzieże, wyrywanie torebek, przywłaszczanie zegarków i rowerów. Z tych 9 morderstw jedynie dwóm przypisano motywy polityczne, podobny był stosunek przestępstw natury kryminalnej do czynów związanych z oporem antykomunistycznym w całym 1946 r. W czerwcu 1946 r. aresztowany został Stanisław Sojczyński „Warszyc" dowódca ugrupowania antykomunistycznego KWP, w tym samym miesiącu likwidacji uległ oddział NSZ dowodzony przez „Żbika" Kołacińskiego. Coraz więcej ludzi rezygnowało z działalności „podziemnej"; pamiętać warto, że ich aktywność była wymuszona aresztowaniami i terrorem skierowanym wobec walczących z okupantem hitlerowskim żołnierzy AK i NSZ.

W czerwcu 1946 r. nowa władza mówiła o normalizacji sytuacji, przygotowując grunt pod referendum. Ta normalizacja bardziej się wyrażała zmęczeniem i atomizacją społeczną, niż poparciem dla nowej władzy. Wyniki referendum, podobnie jak w innych miastach, zostały sfałszowane. W rzeczywistości, wg analiz A. Paczkowskiego, na pierwsze pytanie (czy jesteś za zniesieniem Senatu) „nie" powiedziało 59,8% mieszkańców Częstochowy, na drugie (za reformą rolną i unarodowieniem przemysłu) „nie" – 57,6%, na trzecie (za granicą na Odrze i Nysie) „nie" – 26,4%.

Nowa władza pozyskiwała ludzi obietnicą szybkiego awansu społecznego. Łączono to z demagogią szczucia na różne grupy ludzi. Powstała w 1946 r. Komisja Specjalna do Walki z Sabotażem Gospodarczym pokazowo karała i piętnowała właścicieli drobnych przedsiębiorstw, prywatnych handlowców i usługodawców. Szczuto na ludność pochodzenia niemieckiego, nawet na ludzi zamieszkałych tu od setek lat. Podsycano awersje do wywłaszczonych właścicieli fabryk i majątków ziemskich. W tym ostatnim nie wahano się użyć argumentów antysemickich. Nawet, uchodzący za rozsądnego pozytywistę, będący pochodzenia żydowskiego, prezydent miasta Wolański, piętnował miejscową społeczność żydowską za brak obywatelskości. Wyrażać się to miało upominaniem się o zwrot zabranego jeszcze przez okupanta hitlerowskiego majątku, w tym fabryk, warsztatów i sklepów oraz nie płaceniem podatku od nieruchomości, które – na zasadzie kwaterunku – w praktyce przejęło miasto. Na stosunek mieszkańców do ludności żydowskiej wpływał także fakt ich celowej izolacji. Wojnę przeżyło ok. 3600 mieszkańców Częstochowy pochodzenia żydowskiego (z ok. 40 tys. przedwojennych mieszkańców). Po wyzwoleniu miasta chroniło się w Częstochowie więcej „ocaleńców" z różnych stron. Dla przybyłych blisko 3300 osób wydzielono budynki przy ul. Garibaldiego, stworzono odrębną stołówkę, punkt rozdawania żywności, świetlicę, ochronkę dla dzieci, narzucając jednocześnie rodzaj izolowanego skoszarowania. W czasach panującego w mieście głodu, ta opiekuńcza izolacja podsycała nastroje antysemickie.

Nie był to jeszcze czas otwartej walki z Kościołem, choć nie ustawały propagandowe ataki i mnożyły się ograniczenia. Biskup Kubina starał się manifestować pewną ugodowość, uczestniczył nawet w komunistycznych rytuałach odsłonięcia kolejnych pomników wdzięczności Armii Czerwonej. Nie wpływało to szczególnie na antyklerykalną politykę władz. Miasto próbowało przejąć obsługę ruchu pielgrzymkowego i nałożyć na uczestników specjalny podatek. Blokowane także były próby organizowania się świeckich katolików, w tym reaktywowanie chadeckiego Stronnictwa Pracy. Apel biskupa Kubiny w obronie ludności żydowskiej, bynajmniej nie został przyjęty życzliwie przez PPR-owskich aktywistów. Wykładnia przyczyn tragedii kieleckiej stosowana na zwoływanych wiecach fabrycznych była taka, jak w uchwale przyjętej przez Powiatową Radę Narodową w Częstochowie 13 lipca 1946 r.: „wrogowie demokracji, wsi i chłopa sieją niepokój i zamęt w kraju (...). Oni to dla swych niecnych politycznych celów stworzyli bajeczkę dla zaślepionych i ogłupionych reakcyjną propagandą, że Żydzi mordują polskie dzieci, aby w kraju wywołać zamęt i chaos, aby w Polsce poderwać opinię wobec zagranicy w przededniu konferencji pokojowej. Ich dziełem jest 41 zamordowanych i tyluż rannych w Kielcach. Ich dziełem są te same bajeczki i rozsiewane w Częstochowie i w powiecie – zmierzające do wywołania podobnych rezultatów".

Słowa odsłaniają intencję. Jeśli nawet odrzucić teorię o świadomej próbie sprowokowania w Częstochowie zbrodni antysemickiej, to wymowne jest porównanie słów bp. Kubiny i aktywistów z PRN. Nie było w odezwie nowej władzy potępienia zbrodni, lecz – przede wszystkim – wskazanie – bez dowodów – winnych: „wrogów demokracji" i „ludowej władzy". Tak jakby zbrodnia miała uzasadnić inne zbrodnie popełniane w obronie tej „ludowej władzy". Z tym większym szacunkiem wspominać zatem możemy słowa pisane przez pierwszego częstochowskiego biskupa Teodora Kubinę: „Nic, absolutnie nic, nie usprawiedliwia zasługującej na gniew Boga i ludzi zbrodni...". Słowa, wówczas, tak mojemu miastu potrzebne. ■

fot. Tomasz Bienek

Posesja przy ul. Garibaldiego 28 w Częstochowie, gdzie rzekomo „nieznani żydowscy porywacze" mieli przetrzymywać dwóch nastoletnich chłopców

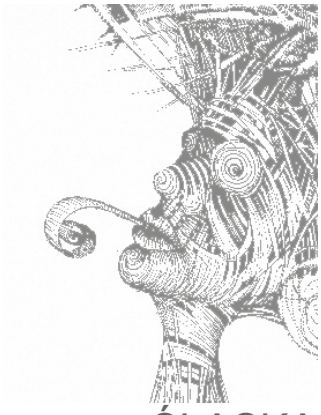

JAN MIODEK

Pochop do spochopienia

Ludzie pamiętający Jerzego Waldorffa (1910–1999), świetnego publicystę, pisarza i krytyka muzycznego, często przywołują jego ulubiony archaizm, wplatany do tekstów mówionych i pisanych, a mianowicie spójnik *aliści*, przyłączający zdanie lub inne wyrażenie o treści niezgodnej z tym, co można wnioskować na podstawie zdania poprzedzającego, bliski znaczeniom „a jednak, mimo to" („Myślał, że to już koniec, aliści opatrzność przywróciła mu zdrowie", „Całe miasteczko legło w gruzach, aliści ta stara baszta ocalała", „Smutne to, aliści prawdziwe").

Ja – od czasu do czasu chętnie używam synonimicznej wobec *aliści* – tak samo archaicznej – formy *atoli*, która zapadła w mej pamięci od dzieciństwa dzięki kolędzie Franza Xavera Grubera i Josepha Mohra „Stille Nacht", po raz pierwszy wykonanej w roku 1818, na Śląsku śpiewanej w polskiej wersji „Cicha noc, święta noc, wszystko śpi, atoli czuwa Jozef i Maryja" – właśnie z owym *atoli* „a jednak, mimo to".

Prof. Stefan Reczek (1923–1993) – językoznawca, który się znacząco wpisał w mój życiorys, bo pytał mnie z gramatyki na egzaminie wstępnym, a gdy z Wrocławia przeniósł się do Rzeszowa, objąłem po nim rubrykę „Rzecz o języku" w dzienniku „Słowo Polskie" i tak się zaczęła równoległa do pracy na uniwersytecie moja działalność medialna – miał swój nieobecny już we współczesnych słownikach *pochop*, który z upodobaniem wplatał do rozmaitych wypowiedzi, np: „Pochop do napisania tego monologu poszedł głównie od miłośników kulturalnej polszczyzny" (*Słowo się rzekło, czyli monolog o kulturze języka,* Rzeszów 1988, s. 5). *Pochop*, czyli „powód, przyczyna, impuls". Takie definicje znaczeniowe *pochopu* wraz z przykładami można znaleźć w „Podręcznym słowniku dawnej polszczyzny" tegoż Stefana Reczka z roku 1968 czy w „Słowniku języka polskiego" wydanym przez Maurycego Orgelbranda w Wilnie w roku 1861: „Jedno mu z siebie zły przykład a pochop dać", „Dajesz mu pochop do swawoli", „Wszystko mu służy pochopem do pracy", „Złe przykłady są dla innych silnym pochopem do występków", „Z ich wesołości bierze pochop nadziei".

Ale *pochop* używany był i w innych znaczeniach, choć mieszczących się w wyżej przytoczonych – szeroko potraktowanych – polach semantycznych: „impet, pęd, zapęd, popęd" („Wicher z wielkim pochopem przypadłszy", „Płyną z pochopem rzeki"), „gorliwość, ochota" („Wszystko z pilnością, z pochopem i życzeniem będziesz miał dobrze zrobione", „Dobry sługa wszystko robi z pilnością i pochopem"), „początek" („Z oceanu wszystkie morza pochop biorą", „Miłość z oczu pochop bierze"), „zdolność, pojęcie" („Synowie jego znamienitego pochopu młodzieńcy"), „gwałtowność, impet" („Wpadł nań z pochopem"), „cios, cięcie" („Ścięty był z tyłu pochopem miecza"), „postęp" („Wielki czyniła pochop w piśmie i czytaniu").

Słownik Reczka rejestruje też czasowniki *pochopiać* – „pochwytywać, połapywać" („To i owo zaś pochopiają") oraz *pochopiać się* – „pospieszać się" („Którzy po wydaniu zamku hnet się pochopiają"). Słownik wileński hasło *pochopić* opatruje znaczeniem „pochwycić" („Pochopił tonącego za włosy"), a *pochopić się* – znaczeniem „udać się pomyślnie, stać się bez trudności" („Gdyby nie starania jego, sprawa ta mogłaby się nie pochopić").

Co zaś dla naszego wywodu najważniejsze, mamy w leksykonie z roku 1861 *pochopić* – „pojąć, zrozumieć" („Mający rozum łacno to pochopi"). A dlaczego najważniejsze, większość Czytelników na pewno się domyśla. Wszak jest to czasownik ciągle używany w gwarach dialektu śląskiego. Słyszałem go co roku w czasie konkursu „Po naszymu, czyli po śląsku"! Rejestrują go, oczywiście, gwarowe kompendia, np. „Mały słownik gwary Górnego Śląska" Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec z roku 2000. Czytamy w nim na str. 230-231: *spochopić, spokopić sie* – „zorientować się, zrozumieć, pojąć": *Jo tego niy spokopił. Powiydz mi to jeszcze roz, bo niy poradza spokopić. Łón sie gibko spokopiół i uciykł.* Jak widzimy, obecne są w słowniku warianty z „ch" i „k" w środku tego czasownika. Myślę, że są one jednakowo często używane, ale stuprocentowej gwarancji tego osądu dać nie mogę. Należy natomiast z całą wyrazistością powiedzieć, że śląskie *spochopić – spokopić (sie)* to kolejny piękny staropolanizm leksykalny, nieobecny już w języku ogólnym.

Z tej rodziny wyrazowej ostały się w nim tylko postacie *pochopny, pochopnie, pochopność* – wszystkie opatrzone we współczesnych leksykonach kwalifikatorem książkowości. *Pochopny* to „pozbawiony rozwagi, pośpieszny, nieprzemyślany" (*wydać o kimś pochopny sąd),* „działający prędko, skwapliwie, bez zastanowienia" (*zawsze był pochopny w swoich poczynaniach), pochopnie* – to „prędko, skwapliwie, bez zastanowienia, w sposób nieprzemyślany" (*podjąć pochopnie decyzję, wyciągać pochopne wnioski z czegoś)*, a *pochopność* to rzeczownik od przymiotnika *pochopny* (*pochopność czyichś poczynań, pochopność w wyciąganiu wniosków*). ■

Tak się zaczęło siedemdziesiąt lat temu…

Na Koszutce cz. 2

BARBARA ROMER KUKULSKA

Rozdział II
Podwórkowe dramaty

Wreszcie postanowiono wyburzyć familok. Najpierw zlikwidowano komórki. Zniknęły świnki, króliki, gołębie. Z mieszkań wyprowadziła się już większość rodzin gdzieś do innych bloków. W pustym mieszkaniu na parterze skupowano butelki. Dzieci chętnie szły do skupu nawet z jedną butelką, wreszcie można było przekroczyć próg familoka, przecież *bebok* też się wyprowadził. Cztery butelki 2 zł. Papierowy banknot! To był pieniądz! Czekał w skarbonce aż pojawi się wóz z lodami ciągnięty przez Baśkę, karą szkapę. Kto zbyt długo trzymał banknot w skarpecie, niebawem stracił, bo weszły nowe dwuzłotowe monety z jagodami na reszce. Po *zbulonym* familoku został goły plac, który nowa dozorczyni Borglino zasiała trawą i taki jest do dziś.

Zbudowano porządny *hasiok* ogrodzony własnym parkanem i krzakami żywopłotu. Wielkie *kible* miały swoje miejsce i już nie *cuszyło* ludziom pod oknem. Częściej odwiedzali śmietnik *hasioksnupery.* Zwano tak ludzi, którzy grzebali w tych kubłach i sortowali śmieci, wybierając te nadające się jeszcze do czegoś rzeczy.

– *Mosz tu kibel, idź na hasiok, ino jak kej bydzie hasiok-sznuper, to zawracaj, hasie wyciepniesz późnij* – ostrzegały sąsiadki swoje dzieci.

Na podwórku przybywało dzieci oraz wózków dziecięcych.

– *Plose* pani, *moga* powozić *bajtla*?

– Dobrze, ale tylko dookoła naszego placu – odpowiadała któraś mama przez okno.

– Jo dwa *lazy* i ona *tyż* dwa – *dziołszka* z *maszką* we włosach zabrała się do pchania.

Podwórko tętniło życiem maluchów gdy starsze dzieci były w szkole. W piaskownicy zawsze siedziały jakieś bajtle z wiaderkiem i łopatką. Czasem stał obok *kibel* z wodą, aby dzieciaki mogły sobie zrobić *ciapletę i babrać się* do woli.

Z roku na rok dzieci coraz bardziej mieszały śląski z polskim, robił się z tego młodzieżowy żargon, a dorośli starali się nie mówić po śląsku. Osiedle rozrastało się szybko. Nowe bloki rosły jak grzyby po deszczu. Zamieszkało kilkanaście rodzin z Hiszpanii, prześladowanych przez reżim gen. Franco. Pojawiły się imiona Pilar, Pikita, Carmen, Pablo, Alejandro, Alvaro. Mieli swoją świetlicę w bloku pod filarami, na rogu zbiegu dwóch głównych ulic, gdzie było także Ognisko Muzyczne Pani Rutkowskiej. Wybudowano najpierw jedną szkołę, a potem Tysiąclatkę i lekcje odbywały się już tylko od rana. Popołudniowych lekcji już nie było. Na Koszutce *blank ślunski kajś sie stracił.*

Życie podwórkowe bez familoka straciło „kolory". Dla jednych zrobiło się nudno, a dla drugich nastąpił wreszcie spokój. Plac po starym domu porosła trawa, bo dozorczyni goniła z niego bawiące się dzieci. Natomiast z drugiej strony bloku od ulicy budowlani wybudowali sobie duży hotel robotniczy, który zaraz zaczął być miejscem nowych awantur i przygód. Obok, prostopadle była szeroka droga dojazdowa z gładkim asfaltem na którym dziewczynki kręciły pięciometrową skakanką i robiły zawody. Grano też w dwa ognie dużą piłką. Najczęściej grały naprzeciwko siebie sąsiednie podwórka. Bywało, że w polach było po dziesięć dziewcząt plus tzw. „matki". Mecze odbywały się pod balkonem Krzyśka. Siedział w wózku na dwóch kołach i kibicował bijąc brawo, gdy piłka kogoś zbijała z boiska. Był to czas, gdy szalała choroba heinemedina, choroba zakaźna wywoływana przez wirusa polio. Coraz więcej dzieci „łapał wirus". Pod oknem Józi z drugiego piętra, kumpelki nawoływały się do gry piłką.

Przez okno wyjrzał brat Józi, Pepek.

– *Józka choro, mo fiber i z chałpy niy wylezie* – wrzasnął.

Następnego dnia scenka się powtórzyła. Trzy dziewczynki poszły odwiedzić Józkę czwartego dnia. Zapukały do drzwi z torebką cukierków.

– *Józia fest choro, pitejcie stond bo zaro mo być doktór.* – Otworzyła drzwi w fartuchu kuchennym zapłakana matka chorej Józki.

Rzeczywiście przyjechał karetką pogotowia i zaraz znów odjechał. Następnego dnia na drzwiach wejściowych do klatki schodowej zawisła złowieszcza kartka w czarnych ramkach.

Pogrzeb Józki miał być pojutrze. Podwórko ucichło, nikogo na nim nie było. Przed pogrzebem pod drzwiami ustawiła się ogromna kolejka dzieci z trzech sąsiednich podwórek, wszyscy chcieli pożegnać się z Józią. Stali cierpliwie od parteru do drzwi na drugim piętrze. Leżała teraz w drewnianej trumnie wyłożonej białym atłasem. Wydawała się dużo większa, jakby dłuższa, niż wówczas z piłką w ręku na boisku, teraz leżała sztywna i wyprostowana niczym posąg. Miała na sobie za małą sukienkę ze swojej pierwszej komunii świętej. Była blada – biała jak ten atłas i sukienka.

Wyprowadzeniu trumny z mieszkania towarzyszył tłum dzieci, młodzieży i dorosłych. Kondukt żałobny otwierał konny karawan, ciągnęły go dwa czarne konie z pióropuszami na łbach. W pierwszym szeregu za trumną Pepek niósł na czerwonym *zogowku* niebieską szkolną tarczę, a Maryśka na zielonym odznakę Zuchową i dwie gwiazdki Zuchowe. Czarna „kryształowa" karoca przesuwała się powoli do przodu, konie szły stępa wiozące podwórkową mistrzynię „dwóch ogni". Ksiądz proboszcz z fioletową stułą i dwóch ministrantów szli krok za krokiem przed rodzicami. Nie śpiewano, orkiestry też nie było. Wszyscy byli pogrążeni w głębokim żalu i zadumie. Klasztorny kościółek Ojców Oblatów wypełnił się po brzegi, nie starczyło miejsca dla wszystkich. To był jedyny na osiedlu śmiertelny przypadek tej choroby, bo prawie w każdym bloku było jedno dziecko dotknięte wirusem polio. Janek kuśtykał, Zośka, duża i trochę gruba, miała uschniętą rękę i mocno kulała, a Krzysiek siedział w wózku i tylko z balkonu pełnego petunii patrzył na biegającą dzieciarnię.

W listopadzie pilnie klejono lampiony, wszystkie dzieci chciały chodzić na roraty od pierwszego dnia adwentu. Każdy modlił się gorąco, by nie spotkać się z wirusem. Pamiętano też o modlitwie dla Józki i innych dotkniętych chorobą. Trzeba było wstać najpóźniej o wpół do szóstej rano. O szóstej zaczynała się msza. Całą gromadą szła podwórkowa ferajna, a kogo brakowało nawoływano pod oknem. Na progu kościoła stał kościelny i każde dziecko mogło wziąć jeden skrawek papieru, który był dowodem obecności. Dwadzieścia cztery skrawki układały się w obrazek, który należało nakleić na kartę i *zafarbić inoś trocha kredkami*. Podpisaną kartkę

oddawało się na ostatniej mszy. W dzień Bożego Narodzenia na mszy odbywało się losowanie drobnych upominków, były to dewocjonalia. Po każdej codziennej mszy roratnej, mszy wotywnej dla Najświętszej *Panienki Maryi,* odbywała się uroczystość ważnego losowania. Rok temu Józka wylosowała przyjęcie na jeden dzień do swego domu figury NMP. Szczęśliwa, dziarsko z dumą i pietyzmem niosła do domu figurkę, odprowadzaną przez pochód dzieci z lampionami pod same drzwi. Przed mieszkaniem czekały na dzieci cukierki, czekoladki, lub dropsy, słowem czym chata bogata. Następnego dnia z równie wielkim szacunkiem odniosła figurkę w towarzystwie rodzeństwa i sąsiadujących dzieci. Zdarzało się zaspać, zdarzało się złapać drugi skrawek obrazka dla młodszego braciszka, jednak Ojcowie Oblaci pozwalali, aby nawet spóźnialscy otrzymali swój kawałeczek rysunku, a nawet niepełne obrazki na kartkach brały udział w osobnym losowaniu nagród pocieszenia, to były pamiątkowe obrazki do modlitwy. Dzieci lubiły te msze roratne, wspólne maszerowanie w mróz i śnieżyce „w środku nocy" grudniowej, no i ślizgawki po drodze na trotuarach. Z kościoła było z górki, było wesoło choć chłodno i głodno, bo niektórzy byli bez śniadania. Nie wolno było nic jeść dwie godziny przed przyjęciem komunii świętej, a zatem w przypadku mszy roratnej, dzieci przyjmujące komunię jadły ostatnio kolację. Zdarzały się w kościele omdlenia, po prostu z głodu.

Mieszkanie w środku na parterze zmieniło już po raz trzeci lokatorów. Jeszcze pamiętano dobrze jak wyprowadziła się Grzegolka z wnukiem Waldkiem, pierwsza lokatorka pod tym numerem. Nie powiedziała jednak nic, ani dokąd, ani dlaczego. Waldkowi było smutno. Lubił bawić się z trzema sąsiadkami, Zosią, Krysią i Drabinką. Właściwie nikt nie wiedział gdzie są jego rodzice, on sam też nie. Opowiadano, że siedzą w kryminale, że są w Niemczech, albo że są kucharzami na statkach dalekomorskich. Babcia Waldka, Grzegolka, była trochę dziwna, niby tajemnicza, a mimo to okropnie gadatliwa. W pokoju skromnie umeblowanym na środku stał stół nakryty obrusem i cztery krzesła, mała komoda na wysoki połysk z witryną, nad jej łóżkiem na ścianie wisiał obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, a pod nim na dużym gwoździu zdjęcie w ramce Józefa Stalina. Żegnając się z sąsiadkami dziękowała za okazaną jej pomoc i serce dla Waldka. A było to tak na początku marca'53 roku. Na wieść o śmierci Stalina posmutniała i zamilkła. Zdjęła obraz Matki Boskiej i postawiła na stole obok zdjęcia Stalina oraz zaświeciła dwie świeczki w mosiężnych świecznikach. Pochlipywała cały dzień, nie zaprowadziła Waldka do przedszkola, nie ugotowała obiadu, nie wyściubiła nosa z mieszkania. Ludzie przyjęli wiadomość o śmierci wodza bez większych emocji. Nikt nie odważył się ich ujawnić. Dla jednych była to radość i nadzieja, a dla innych strata i rozpacz. Wieczorem zapukał do Drabiów Walduś. Do dzwonka nie dosięgał więc pukał piąstkami. O takiej porze drzwi otwierał Drabia.

– Plose pana, babcia stlasnie płace. Nie mogem spać – stał na wycieraczce w piżamce sepleniący czterolatek, zakłopotany szukał pomocy.

– Dobrze, zostań tutaj a ja pójdę zobaczyć co z babcią się dzieje – zobowiązał się Drabia.

Wszedł do środkowego mieszkania i usłyszał lament starszej kobiety. Zastał ją na łóżku w spazmach. Trzęsła się cała szlochając. Nie chciała wody, nie chciała wódki, nie chciała rozmawiać, patrząc w fotografię wąsatego Stalina wyła przez łzy z żalu. Zdmuchnął dopalające się świeczki. Zostawił ją i wyszedł po cichu.

– Nie ma rady – zwrócił się do Anki – wzywamy lekarzy, to wygląda jak atak histerii, ona ma aż drgawki – stwierdził i wykręcił numer pogotowia na tarczy czarnego bakelitowego telefonu. Przyjechali szybko, pielęgniarka i młodziutki lekarz, dali kobiecie zastrzyk, może dwa nawet, spieszyli się i pojechali, bo ponoć takich przypadków było więcej. Nazajutrz

Grzegolka była spuchnięta na twarzy, smutna, lecz spokojniejsza. Wysłała Waldka do przedszkola i zniknęła na cały dzień, prosząc sąsiadkę o opiekę nad wnuczkiem. Po tygodniu, gdy już Katowice były Stalinogrodem, oznajmiła, że się wyprowadza za kilka dni. Nikt już więcej o niej nie słyszał i nie pokazała się na Koszutce. Powstała legenda o „Ołtarzyku Grzegolkowej", którą często przypominano ironicznie jako „Bogu świeczkę, a diabłu ogarek".

Ogródki działkowe wzdłuż bocznicy towarowej pachniały różnym kwieciem, było tam kolorowo i zawsze ktoś coś grzebał, sadził, plewił. Poszła plotka, że będą zlikwidowane pod budowę nowych bloków. Bocznica kolejowa i tory też miały zniknąć. Akurat tego nikt nie żałował. Tory były tylko źródłem zmartwień i niepokojów. Pewnego dnia wszystkie dzieci jakby wymiotło z podwórka. Zostały tylko maluszki w piaskownicy. Zdziwione matki bezskutecznie przez okno nawoływały po imieniu swoje potomstwo.

– Są, są na torach – wreszcie ktoś wrzasnął. – Natychmiast w kierunku torów pobiegło kilka kobiet. Naprzeciwko już dzieci szły w małych grupach. Krysia i Drabinka z bukietami mleczy i wiankami z kwiatków na głowach, a Zosia w skrwawionej sukience pochlipująca cichutko trzymała za rękę obie koleżanki.

– Jezus Maria – wrzasnęła sąsiadka z parteru – co się stało?

Gdzie byłyście, co robiłyście?

– Kwiatki dla mamusi zbierałyśmy – wykrztusiła Krysia – *nadjechała koleba, chciałyśmy się też karnąć – fajowo było, ale Zosię pizła ta koleba*.

Drabinowa doprowadziła dziewczynki do domu i natychmiast zaczęła dezynfekować ranę na skroni Zosi. Nie wyglądała dobrze, rozcięta brew mocno krwawiła.

– Pani Stefciu – zwróciła się do matki Zosi – na podwórku Dąbrowski stoi swoją taksówką. Proszę tu 20 zł. Niech zawiezie was na pogotowie, to trzeba koniecznie zaszyć. Poczeka i przywiezie was z powrotem, ja dopłacę mu postojowe.

Po dwóch godzinach wróciły, Zosia bidulka przestraszona i zapłakana z obandażowaną głową. Na Drabinkę czekało lanie. Pierwsze w jej życiu. Nie dotrzymała obietnicy, że nigdy, przenigdy nie pójdzie na tory i na kolebę. Gdy Drabia przyszedł z pracy miała się odbyć „egzekucja".

– Lolek, ty ją przełóż przez kolano i trzymaj, a ja biorę pas.

– Nie, Anka, może odwrotnie? Co? – Strapiony, chciał mieć sam kontrolę aby uderzenia nie były za mocne. Nie znosił żadnej przemocy.

– Nie, ja biorę pas, a ty trzymaj – odwróciła się i złapała za ścierkę oraz zaczęła tłuc małą pupę Drabinki, która już na zapas darła się jakby ją ze skóry obdzierali.

– Nie bij dziecka, daj spokój, nie bij dziecka – błagał żonę. Wiedział, że ścierką się krzywdy nie zrobi. Anka przerwała uderzenia, a Drabinka darła się nadal. Zorientowawszy się, że już po laniu prosiła:

– Trzeba ratować Zosię i Krysię – przez zęby i łzy wykrztusiła z siebie – Zosię już dość boli, a Krysi też jest smutno. Ja *przysięgam się,* już nigdy nie pójdę tam, tylko tych kwiatków mamusiu nie wyrzucaj.

W jakąś letnią noc rozhulała się burza, lało jak z cebra. To było oberwanie chmury. Padało jeszcze rano i w południe. Popołudniu wyszło słońce i cała dzieciarnia wyruszyła na wielkie jezioro, które pojawiło się na zbiegu dwóch ulic pod hotelem budowlanych i ogródkami. Woda dorosłym sięgała do pasa, była brudna potwornie, bo spłukała pół Koszutki zanim tu się zatrzymała. Pływały na wierzchu różne śmieci. Dzieciarni to nie przeszkadzało, brodziło się świetnie, mimo kaloszy pełnych wody lub innego obuwia, bo jednak boso nikt się nie odważył. Nie dało się przejść przez to „jezioro", więc idący od rynku oraz wracający z kopalni musieli obchodzić bajoro nadkładając kawał drogi. Zatkane studzienki powodowały, że woda szybko nie opadała. W piwnicach była woda. Dużo wody. Całe schody do piwnicy znalazły się pod wodą, czyli jakieś półtora metra. Staszek stanął na progu drzwi do piwnicy i nagle jakby diabła zobaczył (o nim i o jego warsztacie w piwnicy będzie później). Oczy napełniły mu się łzami. Stał jak wryty. Co robić? Jak ratować skarby? Dwanaście godzin wynosił pełne wiadra, koledzy na zmianę mu pomagali. Próbowali nawet szlauchem pociągnąć na zassanie, ale ten szybko się zapchał. Woda wybijała ponownie. Po dwóch dniach dopiero zaczęła opadać. Warsztat Staszka przestał istnieć i skarby tam zgromadzone też.

Mimo że Koszutka była między wyrobiskami na Dąbie, Józefowcu i Bogucicach, to wstrząsy nie oszczędzały nowego osiedla. Do tąpnięć szybko się wszyscy przyzwyczaili. Zatrzęsło się *fest nie roz i nie dwo, co szklonki w befeju szczyrkały jak zwonki kapistrantów i szyby w nowiutkiej witrynie tyż* (serwantce). Obrazy na ścianach się przekrzywiały, a ręka z piórem *kryklała byleco.* Gdy po tąpnięciu zawyła syrena, wiele kobiet biegło pod bramę kopalni. Z krzykiem wybiegła Borglino, nie dopuszczając nawet złych myśli: *Mój mo dzisiaj szychta. Zarozki nazod bydzie, to opowie.* Dwupiętrowe bloki z cegły dobrze znosiły te wstrząsy i właściwie nie było szkód. Jedynie strach był zawsze, że w kopalni się chodnik zawalił i czyjaś marka nie zostanie powieszona na haku w markowni.

Tymczasem „Hotel Budowlanych" tętnił życiem, jakże innym niż familok. Rozbrzmiewała muzyka z radiowęzła, czasem głośna awantura, a raz w miesiącu zabawa taneczna. W hotelu był już telefon. Często kierowniczka, mama Michała i Gerdy z sąsiedniej klatki schodowej, dzwoniła po milicję i pogotowie albowiem niektóre awantury kończyły się z nożem w ręku, mordobiciem albo nawet ucieczką przez okno po ryn-

nie z drugiego piętra. Niektóre dorastające panny spacerowały wokół dwóch bloków tak, aby z hotelu mogli je dostrzec młodzi pracownicy budowlani. Marzyły, aby ktoś je zaprosił na te potańcówki w hotelowej świetlicy. Kierowniczka pilnie strzegła porządku i moralności, by nikt obcy do hotelu nie wchodził. Trzymała w ryzach całe hotelowe towarzystwo, czym sobie zasłużyła na szacunek mieszkańców bloków. Jeden z „hotelowych" przeszedł do historii podwórka. Przez niego aż huczało, bo bałamucił mężatki. Jasiek mu było, był kierowcą wywrotki. Nie chciał już mieszkać z „tymi wsiokami" – jak mówił. Nakleił kartki przy wejściach do każdego numeru klatki schodowej, że poszukuje pokoju sublokatorskiego z obiadami. Walaszkowa z trzeciego bloku zgodziła się. Jasiek zatrudnił się w przedsiębiorstwie taksówkowym. Teraz pod nr 5a „stała taryfa", Warszawa z paskiem w szachownicę czarno-żółtą. Nie minęły trzy miesiące jak wybuchła straszna awantura, o której mówiło się głośno w „Pionierze", restauracji w długim bloku przy głównej ulicy (obecnie Morcinka).

Antek z klatki nr 5 zaprosił sąsiada i kierownika na jedną wódkę.

– Karol, coś ty narobił chłopie. – Drabia był na ty z niektórymi pracownikami bazy transportowej. Antka lubił, bo był doskonałym operatorem koparki.

– Wysłałeś mnie do tej roboty w Nysie, żebym dla mojej Wisi na meble zarobił. I co? Poszła w szkodę z tym nowym taksówkarzem. Nawet jej sprać nie mogę, bo gotowa z nim uciec i co ja zrobię z dwójką maluchów? Jak jemu mordę skuję, to też nic nie zmieni.

– Antek, słuchaj, nie ma co gadać, trzeba kobiecie wybaczyć, bałamuć ją teraz ty. Staraj się być lepszy niż taksiarz. Twoje dzieci potrzebują matki. Ona je kocha bardzo, więc jak będziesz dla niej dobry, bardzo dobry, to dzieci i ciebie nie zostawi.

– Może masz rację, Karol, popatrz mam coś takiego, to jej podaruję – wyciągnął z kieszeni małą figurkę porcelanową – wykopała się sama z gruzów i cudem nie uszkodziła. Prawie 10 milionów cegieł poszło już do Warszawy. Jeszcze trochę i koniec kontyngentu dla Nysy, to wrócę do domu.

– No widzisz, dobra robota chłopie, tylko uważaj jak coś się napatoczy na łyżkę to musicie meldować. Raporty znam. Przyjadę tam do was. Już rzeczywiście blisko końca. Figurka ładna, pewnie się żonka ucieszy, a najbardziej jak pensję przyniesiesz, no i meble kupisz – zakończył swoją tyradę Drabia.

Zosia i Krysia bawiły się razem z Drabinką skakanką, grały w klasy na trotuarze, razem chodziły *kole hasioka na klopstanga ze zeszwajsowanych ruł.* Przy piaskownicy postawili huśtawkę. To dopiero się działo. Kolejka do huśtania była zawsze długa. Z zegarkiem w ręku tylko po 5 minut każdy. Kto rozhuśta krzesełko i dobije do *ruły. na wierchu,* skacze do piaskownicy, to znaczy wyskakuje z krzesełka w odpowiednim momencie, tak by skok był jak najdłuższy. Codziennie kto inny był mistrzem. Jakoś nikomu się żadna krzywda nie wydarzyła. Tę huśtawkę w końcu szlag trafił, nie wytrzymała. „Pracowała od świtu do późnego wieczora". Rozleciała się. Sińce i odrapania były normalne i nikogo nie niepokoiły. Jak komuś zabrakło jodyny czy wody utlenionej to pukali na parter do Drabinowej. Tam była zawsze pełna apteka.

Po Stalinogrodzie nie zostało nawet śladu, znów fedrowało się na „Katowicach", chodziło się na Tor-Kat (nazwa Tor-Stal zniknęła) do letniego kina, na łyżwy i do mieszczącego się tam klubu sportowego „Górnik". Tylko mama Krysi, wieszając pranie na podwórku, często nuciła murmurando lekką i łatwą melodię z piosenki „Walczyk na lodzie w Stalinogrodzie", a drugą zwrotkę śpiewała już ze słowami:

„Srebrna gwiazdka na rzęsę ci spadła,
ja ją zdejmę, lalalalala,
z ostrożna lalala
i ustami czy można? Lalala"

Na co protestując Krysia wykrzyknęła: Mamo, to ren-ców nie masz? ■

Fot. arch. Aut.

Barbara Romer Kukulska urodziła się w Bielsku-Białej. Ukończyła wydział Prawa i Administracji na Uniwersytecie Śląskim. Była prawnikiem górniczym, radcą prawnym, adwokatem, tłumaczem dla sądownictwa szwajcarskiego. Publikowała w „Kobiecie i Życiu", „Gazecie Wyborczej", „Rzeczpospolitej", w wiedeńskim miesięczniku „Polonika", wadowickim miesięczniku „W górach" oraz na portalu Wiadomości24.pl i innych.

Triumf Teatru Wielkiego w Łodzi

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

20 marca na 2 miesiące zostały zamknięte wszystkie teatry i filharmonie w Polsce. Brak żywego kontaktu z muzyką jest dla mnie i wielu melomanów okropnym przeżyciem. W ostatnim dniu przed zatrzaśnięciem drzwi do kultury, pojechałem do Łodzi na zaproszenie dyrektora Dariusza Stachury, by zobaczyć premierę, która zapisała się złotymi zgłoskami w historii tej sceny. Była to inscenizowana koncertowa wersja opery Giuseppe Verdiego „Don Carlos". Po wojnie premierę „Don Carlosa" przygotowała Opera Śląska w 1955 roku, w reżyserii Jerzego Zegalskiego, późniejszego dyrektora Teatru Śląskiego. Od tej pory odbyło się w Polsce kilkanaście inscenizacji tego dzieła. Gdy zobaczyłem łódzką obsadę z 2021 roku, byłem pod ogromnym wrażeniem. Wydawało mi się, że na taki dobór śpiewaków stać tylko Teatr Wielki – Operę Narodową. Główne partie zaśpiewali fenomenalnie**: Aleksandra Kurzak (Elżbieta), Roberto Alagna (Don Carlos), Rafał Siwek (Filip II), Andrzej Dobber (Posa) i Monika Ledzion-Porczyńska (Eboli). Towarzyszyli im znakomicie soliści, artyści chóru, baletu i orkiestry Teatru Wielkiego w Łodzi. Fundacja Orfeo objęła to wydarzenie swoim patronatem.**

Ta scena zrealizowała w ostatnich latach kilka wybitnych premier. Za dyrekcji Pawła Gabary były to: „Turandot" Pucciniego w pięknej inscenizacji Adolfa Wetschka, pod kierownictwem muzycznym jednego z najwybitniejszych dyrygentów europejskiego formatu – Antoniego Wita; wielkim sukcesem okazała się też światowa prapremiera „Złotego runa" Aleksandra Tansmana w pomysłowej, zrobionej z dobrą energią i poczuciem humoru inscenizacji Marii Sartovej (Specjalna Złota Maska, kier. muz. Łukasz Borowicz), uznana przez „Opera Magazine" za jedno z 10 najważniejszych wydarzeń operowych na świecie (niestety zeszła szybko z afisza teatru za nowej dyrekcji). Bardzo ciekawa była też inscenizacja baletu „Krzesany" Wojciecha Kilara w reżyserii wybitnego choreografa (mieszkającego od wielu lat w Katowicach) Henryka Konwińskiego (Specjalna Złota Maska, Teatralna Nagroda Muzyczna im. J. Kiepury dla najlepszego choreografa w Polsce).

Pod rządami Krzysztofa Marciniaka odbyły się dwa wielkie wydarzenia: „Tramwaj zwany pożądaniem" André Previna w reżyserii mistrza Macieja Prusa (kier. muz. maestro Tadeusz Kozłowski, wielka kreacja Joanny Woś, 4 Teatralne Nagrody im. Jana Kiepury – najlepszy spektakl muzyczny w Polsce i 2 Złote Maski, w tym za spektakl roku) oraz światowa prapremiera (zainicjowana przez Pawła Gabarę) opery współczesnej Rafała Janiaka „Człowiek z Manufaktury" – pierwsza opera o Łodzi z librettem Małgorzaty Sikorskiej-Miszczuk, w niezwykłej inscenizacji wizjonera teatru – Waldemara Zawodzińskiego, pod moją opieką producencką (Specjalna Złota Maska – wydarzenie roku).

Dariusz Stachura objął dyrekcję pół roku przed wybuchem epidemii koronawirusa w Polsce, więc musiał zmodyfikować sporo planów razem ze swoim zastępcą Krzysztofem Marciniakiem, ale i tak udało się zrealizować wydarzenia, które odnotowano w Polsce i za granicą.

Świetnie sprawdził się powrót po latach przerwy do baletowego spektaklu „Grek Zorba" z genialną muzyką Theodorakisa, w choreografii charyzmatycznego twórcy Lorki Massine'a, znanego w wielu krajach świata. Zainteresowanie było olbrzymie. Jest to wielkie widowisko, pełne skrajnych emocji, z cierpieniem, bólem, śmiercią, ale też z bardzo widowiskowymi scenami i frenetycznym finałem. Ma być po pandemii pokazane w Grecji. Natomiast zabawna i pełna zaskakujących rozwiązań inscenizacyjnych była premiera „Aptekarza" Haydna (rewelacyjny pomysł z samochodem, który pełni wiele funkcji łącznie z domem, sklepem i... pralką) w reżyserii Evy Buchmann, przygotowana w koprodukcji z Akademią Muzyczną w Łodzi, ze świetnie dobraną studencką obsadą.

Bardzo udane były ostatnie 3 łódzkie premiery Michała Znanieckiego, który pracuje szybko i sprawnie. Pandemia zatrzymała go w Ameryce Południowej, ale nie przeszkodziło mu to w realizowaniu spektakli w różnych krajach, ponieważ do perfekcji doprowadził komunikację przez internet. W **łódzkiej inscenizacji „Głosu ludzkiego" Francisa Poulenca Joanna Woś jest perfekcyjna, hipnotyzująca i wzruszająca do łez. Melodramatyczna historia kobiety, która podczas załamania nerwowego próbowała popełnić samobójstwo, dzięki Woś nabiera wielu znaczeń**. Byłem świadkiem aktorskiego i wokalnego mistrzostwa.

Kolejną premierą Znanieckiego w Łodzi była jednoaktówka Leonarda Bernsteina „Trouble in Tahiti" (polska prapremiera w marcu tego roku). Sam i Dinah mają kryzys małżeński. Próbują znowu obudzić w sobie miłość, co nie jest łatwe. Podskórnie czujemy wielki dramat, jaki rozgrywa się w rzekomej idylli małego białego domku na przedmieściu. Znakomite kreacje wokalno-aktorskie stworzyli tu Bernadetta Grabias i Łukasz Motkowicz, a całość bardzo sprawnie poprowadził muzycznie Adam Banaszak.

Natomiast premiera inscenizowanego koncertu „Don Carlosa" w reżyserii Michała Znanieckiego, pod dyrekcją Vladimira Kiradijeva, która odbyła się na scenie Teatru Wielkiego w Łodzi 19 marca, a telewizyjną premierą miała w TVP Kultura 2 maja tego roku, zachwyciła mnie od początku do końca. Nie przeszkadzało mi, że akcji scenicznej było niewiele. Na proscenium zostały umieszczone eleganckie złocone fotele. Część orkiestry znajdowała się na scenie. Na wyższym poziomie pojawiał się chór i balet. Wspaniałe były projekcje, słabo niestety widoczne w telewizyjnej rejestracji, gdzie realizator wizji skupiał się głównie na zbliżeniach gwiazd, natomiast światło teatralne nie przebijało się chwilami w telewizyjnych ujęciach szerokiego planu, zwłaszcza gdy wpadało w niebieski kolor. Cieszę się, że uczestniczyłem w tym spektaklu na żywo. Jak powiedział jeden z widzów, to było wydarzenie pięćdziesięciolecia na łódzkiej scenie operowej. ■

fot. Joanna Miklaszewska

Don Carlos, Teatr Wielki w Łodzi

Kompozytorka samotna

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

fot. arch.

Ewa Synowiec

Znałem ją – i jej nie znałem. Spędziliśmy dziesiątki, ba, setki godzin rozmawiając przez telefon. Zawsze były to rozmowy nasycone dyskusjami o muzyce, sztuce w ogóle, wyzwaniach jakie zawód artystyczny niesie w dzisiejszym społeczeństwie, któremu sztuka, powiedzmy sobie jasno, jest coraz mniej potrzebna, a szczególnie sztuka finezyjna – wymagająca aktywnego podejścia, wymagająca uczestnictwa nie tylko instynktownego (jak np. dzieje się to w muzykach bluesowej, rockowej lub punkowej, których jestem zwolennikiem), ale też intelektualnego. Przedmioty humanistyczne znikają dziś z programów uniwersyteckich, bo nie przynoszą zysków – w Ameryce Północnej to jakaś chorobliwa mania – w wyniku czego, co Kurt Vonnegut przewidział jeszcze w 1952 roku w jednej z moich ulubionych powieści „Pianoli", za jakieś sto lat będziemy mieć społeczeństwo dwuklasowe, inżynierów i nicponi (wszystko jedno, czy ci ostatni będą pracować w sektorze produkcji, czy w sektorze usług, czy w aparacie kontroli; czy wreszcie będą zupełnie bezproduktywnym lumpenproletariatem w związku ze skomputeryzowaną automatyzacją pracy maszynowej).

Były to więc rozmowy ważne – dla nas obojga. Dla mnie, młodego, początkującego kompozytora, były ważne, gdyż łaknąłem wiedzy, akceptacji, aprobaty dla moich pomysłów, konstruktywnej krytyki, nie mówiąc o chęci porównania poglądów na świat, jako że wcześnie zaczęły mnie mierzić zarówno komunizm jak i podobno ściśle związany z demokracją kapitalizm. Tutaj jestem niepoprawnym, zapewne idealistyczno-naiwnym, zwolennikiem socjopolitycznej filozofii Jana Jakuba. Dla niej nasze rozmowy były ważne, bowiem mogła wyjść z otaczającej ją, paraliżującej twórcze i życiowe ruchy samotności, darować wiedzę głodnemu tejże bliźniemu, prosto a szczerze dzielić się opiniami na temat rzeczywistości. Podziwiałem ją i miałem nadzieję, że pewnego dnia się spotkamy.

Nigdy do tego nie doszło.

Śmierć Ewy Synowiec 6 marca bieżącego roku nie odbiła się „głośnym echem", nie ukazały się teksty wspomnieniowe, analizy twórczości. Nikt nie wołał o zmianę na jej rzecz imienia patronek lub patronów szkół. Ot, kilka standardowych nekrologów, wzmianek, które nikogo nic nie kosztowały, a które okazywały to, co boli najbardziej – obojętną obowiązkowość. Szkoda, albowiem Ewa Synowiec była kompozytorką jakich mało. Obdarzona wyrafinowanym smakiem, żywą wyobraźnią, niespotykanym wyczuleniem na barwy w rozumieniu akustycznym oraz wizualnym, pozostawiła nam długą listę pełnych fantazji dzieł, które dopiero czekają na odkrywców Piękna.

Przyszła na świat 12 kwietnia 1942 w Krakowie. Przez pewien czas jej kariera rozwijała się dwutorowo. Studiowała fortepian w klasie Ludwika Stefańskiego, od razu zapowiedziała się jako pierwszej klasy pianistka (którą była). W roku 1968 zdobyła II nagrodę na prestiżowym konkursie pianistycznym im. Marii Canals w Barcelonie (to tylko jedna z nagród pianistycznych, które jej przyznano). Nb. trzy lata później tę samą II lokatę zajęła Ewa Bukojemska, zaś w 2004 wygrał ów konkurs Piotr Machnik, uczeń Bukojemskiej, co do dziś uważa za swój największy sukces.

Równocześnie studiowała kompozycję w klasie Bogusława Schaeffera i to dla kompozycji zarzuciła w końcu pianistykę. Już od zarania dała się poznać jako twórczyni oryginalna, szukająca własnej drogi: *Dwugłos* na flet i fortepian; *Cztery duety* na instrumenty dęte; *Utwór* na dwa fortepiany; *3 X 4* na flet, saksofon altowy i fagot; *Sonata w formie otwartej* na fortepian (wszystkie z 1966); *Sonata minima* na fortepian (1967). W roku 1969 powstała *Sonata per pianoforte nr 1*, nagrodzona w 1973, chyba najbardziej nietypowe polskie dzieło w tym gatunku. Partytura składa się z trzech stron, które najpierw należy grać „normalnie", z góry na dół, dalej zaś… wszerz: pierwszy system na stronie pierwszej, następnie pierwszy system na stronie drugiej, potem pierwszy system na stronie trzeciej itd. To są skrajne części utworu, odpowiednio zatytułowane Ekspozycja i Repryza (jak w sonatowym allegrze). Pomiędzy nimi kompozytorka sugeruje część środkową, złożoną ze spontanicznie wybieranych systemów obecnych na trzech stronach partytury – to jest Przetworzenie. Wykonawcy mogą podług własnego uznania kształtować dynamikę, dobierać tempa, zmieniać pedalizację. Sonata daje miriady interpretacyjnych perspektyw – muzyka mieni się inherentnym bogactwem, im bardziej zmienna, tym bardziej ta sama. *Sonata per pianoforte nr 1* to szkoła twórczej pianistyki współczesnej, przez którą przejść powinni wszyscy zainteresowani graniem Nowej Muzyki. Ideę chwiania równowagi między zmiennością a identycznością sumuje kolejny utwór, sekstet smyczkowy z 1973, *Plus ça change – plus c'est la même chose*. Warto tu także wymienić Kwartet smyczkowy z 1977 oraz II Sonatę fortepianową z 1980. W utworach tych kompresja formalna wyzwala zmienną, intensywną ekspresję o ciemnym kolorycie.

Począwszy od drugiej połowy lat osiemdziesiątych Ewa Synowiec poświęciła się grafice muzycznej, w której klasyczną partyturę zastępują znaki częstokroć zupełnie niezwiązane z tradycyjną notacją. Dzieła takie przywołują wrażeniowo sztukę abstrakcyjną. Zadaniem nowych rozwiązań graficznych jest inspirowanie wykonawców do kreowania muzyki, która nie potrafiłaby zaistnieć inaczej. I w tej dziedzinie osiągnęła kompozytorka naprawdę dużo.

W Polsce, kraju siermiężnych uprzedzeń, jesteśmy bardziej skłonni do oplu wania niż głaskania. Przy tym nadal cierpimy na gombrowiczowski kompleks geniusza. Paryska premiera niezdarnego koncertu fortepianowego jakiegoś neosurepigona ważniejsza jest dla nas niż dzieło całego życia rzetelnej artystki. W numerze 9 „Ruchu Muzycznego" z 6 maja ukazało się celne omówienie Beaty Bolesławskiej-Lewandowskiej poświęcone płycie z muzyką śp. wrocławianina Ryszarda Bukowskiego. Kończy autorka: „Po raz kolejny okazuje się […], że panorama polskiej muzyki XX wieku jest znacznie bogatsza niż się nam wydawało. Jak wielu jeszcze twórców znamy zbyt mało?".

Na pewno do grona tych twórców należy Ewa Synowiec, kompozytorka samotna, jeszcze za życia – zapomniana. ■

fot. Bracia Altman

Górnicy galmanu

Kraina cynku i ołowiu

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Udając się na tereny Jury Krakowsko-Częstochowskiej będzie można już od maja zwiedzić „Szlak Kruszcowy", który tworzy Muzeum Miejskie „Sztygarka" w Dąbrowie Górniczej. To pierwsze i jak dotąd jedyne tego typu przedsięwzięcie edukacyjne w woj. śląskim pokaże historię wydobycia rud cynku i ołowiu (a także srebra), które odbywało się m.in. w Wielkich i Małych Strzemieszycach oraz Ząbkowicach; obecnie dzielnicach Dąbrowy Górniczej, a także w Sławkowie.

– Do XVIII wieku w Ząbkowicach, Sławkowie, Siewierzu prężnie funkcjonowały kopalnie i huty srebra, potem wszystko zamarło – tłumaczy historyk Arkadiusz Rybak, dyrektor Muzeum Miejskiego „Sztygarka" w Dąbrowie Górniczej. – Na nowo wiele z nich zostało uruchomionych gdy odkryto, że zalegał tam bardzo zasobnie cynk, który był potrzebny w gospodarstwach domowych. Wykonywano z niego blachę, rury, naczynia stołowe. Jego podstawową zaletą jest bowiem to, że nie rdzewieje pod wpływem wody. Nowe kopalnie uruchamiano po obydwu stronach Brynicy; zarówno w zaborze pruskim, jak i rosyjskim. Od początku XIX wieku działała m.in. kopalnia „Szarlej" na terenie obecnych Piekar Śląskich, huta „Konstanty" w Dąbrowie Górniczej, a w 1827 roku uruchomiono walcownię blach cynkowych w Sławkowie. Nasz cynk transportowano nawet do Indii, korzystała z niego oczywiście też cała zachodnia Europa. Potem dobra koniunktura przemysłowa pociągnęła za sobą wcześniej niewykorzystywany węgiel.

Galena i galmany

Historia górnictwa kruszcowego w rejonie Strzemieszyc sięga wczesnego średniowiecza, o czym świadczą znaleziska archeologiczne wyrobów i półfabrykatów z ołowiu i srebra oraz pieców hutniczych datowanych na XII – XIII w. Przedmiotem wydobycia była wyłącznie galena, z której wytapiano ołów i srebro. Od XVI w. zaczęto pozyskiwać także galmany, które wykorzystywano do produkcji mosiądzu.

– Galman (z jęz. włoskiego giallo mina, czyli żółta ruda) to ruda cynku powstająca w wyniku utlenienia pierwotnych siarczkowych minerałów cynku i ołowiu – wyjaśnia geolog dr Zbigniew Mirkowski z Uniwersytetu Śląskiego, adiunkt Muzeum Miejskiego „Sztygarka" w Dąbrowie Górniczej. – Proces utleniania zachodzi na wychodniach skał kruszconośnych lub w głębi ziemi w wyniku oddziaływania przenikających z powierzchni wód atmosferycznych zasobnych w tlen. Głównym kruszcem galmanu jest smitsonit oraz relikty galeny. W dawnej nomenklaturze górniczej wyróżniano galmany: czerwone, białe, świetne i spatowe. Występują one w formie horyzontalnych, rozległych pseudopokładów, nieregularnych gniazd lub w postaci rozproszonej w dolomitach.

Jednak dopiero opatentowanie w 1792 r. przez Johanna Christiana Ruberga nowej metody ciągłego wytopu cynku na szeroką skalę spowodowało rozkwit przemysłu cynkowego. Metodę tą nazwano „śląską", niemiecki wynalazca działał głównie na Górnym Śląsku i tu jego technika została najbardziej rozpowszechniona. Zmarł w Ławkach – dziś jest to część Mysłowic, tablica nagrobkowa mistrza hutnictwa znajduje się w Lędzinach na cmentarzu ewangelickim.

Wydobywane w rejonie Strzemieszyc rudy galmanowe, po wzbogaceniu w płuczkach, przewożono do hut cynku „Konstanty" i „Pod Będzinem" w Dąbrowie Górniczej oraz huty „Joanna" w Niemcach i „Paulina" w Zagórzu, na terenie obecnego Sosnowca. Cynk był następnie transportowany do walcowni w Sławkowie, gdzie wytwarzano blachy cynkowe.

Kopalnia księżnej Anny

Największą kopalnią galmanu w rejonie strzemieszycko-sławkowskim była kopalnia „Anna". Nazwę nadano na cześć księżnej Anny z Zamoyskich Sapieżyny, związanej z osobą Stanisława Staszica, który był jej nauczycielem, a następnie doradcą w sprawach gospodarczych.

– Warto dodać, że od XIX w. rozpoczęto gromadzenie kolekcji mineralogicznej w dąbrowskiej „Sztygarce". Z początku XX wieku pochodzi najstarsza część naszej kolekcji mineralogicznej, m.in. buteleczki z ropą naftową. To zbiory działającej tu od 1889 roku szkoły górniczej „Sztygarki", której początki sięgają uruchomionej z inicjatywy Stanisława Staszica Szkoły Akademiczno-Górniczej w Kielcach. Zbiory te, obejmujące kilka tysięcy eksponatów, w latach 90. ubiegłego wieku zostały przekazane do muzeum – dodaje Arkadiusz Rybak.

Kopalnia „Anna" została otwarta w 1820 r., a działalność definitywnie zakończyła w 1893 r. Jej największy rozwój przypada na lata 30. i 40. XIX w, kiedy kopalnia ta wydobywała do 24 tys. kibli (wiader) rudy rocznie (ok. 11 tys. ton). Kibel to dawna górnicza jednostka objętości, oznaczała 0,14 m^3.

Zatrudnienie w kopalni sięgało nawet 190 pracowników. Głównym budynkiem był nieistniejący już dom zgromadzeń górników. Wybudowano go z kamienia w 1830 r. Był kryty gontem, miał izbę zgromadzeń, komin i piec, kwadratowe okienka, okute drzwi z desek i był opalany węglem.

„Przed pracą górnicy gromadzą się tu na modlitwę do św. Barbary. Rozpoczęcie dniówki oznajmia bicie dzwonu. Po zakończeniu pracy w domu zgromadzeń oblicza się dzienne wydobycie, od którego uzależnione są zarobki" – czytamy w starych dokumentach.

Złoża kopalni „Anna" były dostępne dzięki szybom, od których drążono poziome chodniki, idąc za pokładami galmanów, których „miąższość" dochodziła do 1 m.

– W miejscach występowania gniazd galmanowych rudę wybierano wyrobiskami komorowymi, których rozmiary dochodziły do 50 m długości, 30 m szerokości i 10 m wysokości. Eksploatację prowadzono do poziomu występowania wód podziemnych, czyli zwykle do ok. 20 m – tłumaczy dr Mirkowski.

W latach 60. XX w. wykonano badania skał zgromadzonych na hałdach kopalni „Anna", aby zbadać zawartość metali. Naj-

większe zainteresowanie budziło srebro, którego ilość w odpadach oszacowano na... 2 tony. Jednak ze względów ekonomicznych nie podjęto prób jego odzysku.

Kawia Góra w Strzemieszycach

Kopalnia na Kawiej Górze rozpoczęła działalność w 1844 r., ale już od lat 50. XIX w. ze względu na wyczerpywanie się zasobów wydobycie było okresowo wstrzymywane. W 1857 r. kopalnia zakończyła działalność. Złoże nie było tak bogate jak w sąsiedniej kopalni „Anna". Uzyskiwano tu głównie drobne okruchy rudy i miał galmanowy, wymagający wzbogacania w płuczkach.

„Za natrafieniem gniazda galmanu, rozpoczyna się robota na galman. Górnik łupie go kilofem, lub też, gdy jest zbyt twardy rozsadza dynamitem, a dawniej prochem. Oderwane kawały odwozi na podszybie śleper (opłacany z zarobku górnika pomocnik). Z dna szybu wyciągają je na powierzchnię za pomocą kołowrotu w kiblach (wiadrach) umocowanych na konopnej linie. Na powierzchni urobek zostaje obierany, oczyszczany z innych przymieszek i układany w ruszta czyli pryzmy, skąd dopiero, po odebraniu go przez zarząd, odwożony bywa do hut" – opisuje pracę górników galmanowych etnograf Stanisław Ciszewski, profesor Uniwersytetu Lwowskiego.

Na początku XX w. przeprowadzono zakrojone na szeroką skalę prace poszukiwawcze, aby określić możliwości ponownego otwarcia kopalń galmanu w Strzemieszycach. Działania te prowadziło Francusko-Rosyjskie Towarzystwo Górnicze, a po 1918 r. Franko-Polskie Towarzystwo Górnicze. Szczególnie duże nadzieje wiązano ze złożem na Kawiej Górze, gdzie wydrążono nowe lub pogłębiono już istniejące szybiki do głębokości 15–28 m, a także przygotowano otwory wiertnicze. Przekopane zostały stare zwały skał w poszukiwaniu śladów galmanu. Otwarto też nieczynne szyby. Prace wykazały wyczerpanie złoża w tym rejonie i nieopłacalność jego eksploatacji. W latach 20. XX wieku ostatecznie zaniechano prac poszukiwawczych. W latach 50. ub. wieku dawne szyby zabezpieczono.

fot. R. Grochowina

Teren ścieżki dydaktycznej „Szlak Kruszcowy" wymagał uporządkowania terenu

O tych wszystkich dziejach przypomni ścieżka dydaktyczna o nazwie „Szlak Kruszcowy", która zaprezentuje zapomniane miejsca związane z wydobyciem rud srebra, cynku i ołowiu i zostanie otwarta dla odwiedzających w maju br. Szlak będzie przebiegał na odcinku 7,2 km przez dzielnice Dąbrowy Górniczej: Strzemieszyce Małe i Wielkie. Planuje się umieszczenie tu 12 tablic informacyjnych na temat historii kopalń, techniki górniczej, geologii i życia dawnych górników. Istnieje możliwość połączenia ścieżki z przebiegającym nieopodal turystycznym „Szlakiem Metalurgów", a w przyszłości jego przedłużenia na teren Sławkowa.

Szlak przygotowują pracownicy Muzeum Miejskiego „Sztygarka". Partnerami projektu są: Urząd Miasta w Dąbrowie Górniczej; Nadleśnictwo Siewierz LP; Stowarzyszenie Samorządne Strzemieszyce; dąbrowski Oddział PTTK i Śląska Organizacja Turystyczna. ■

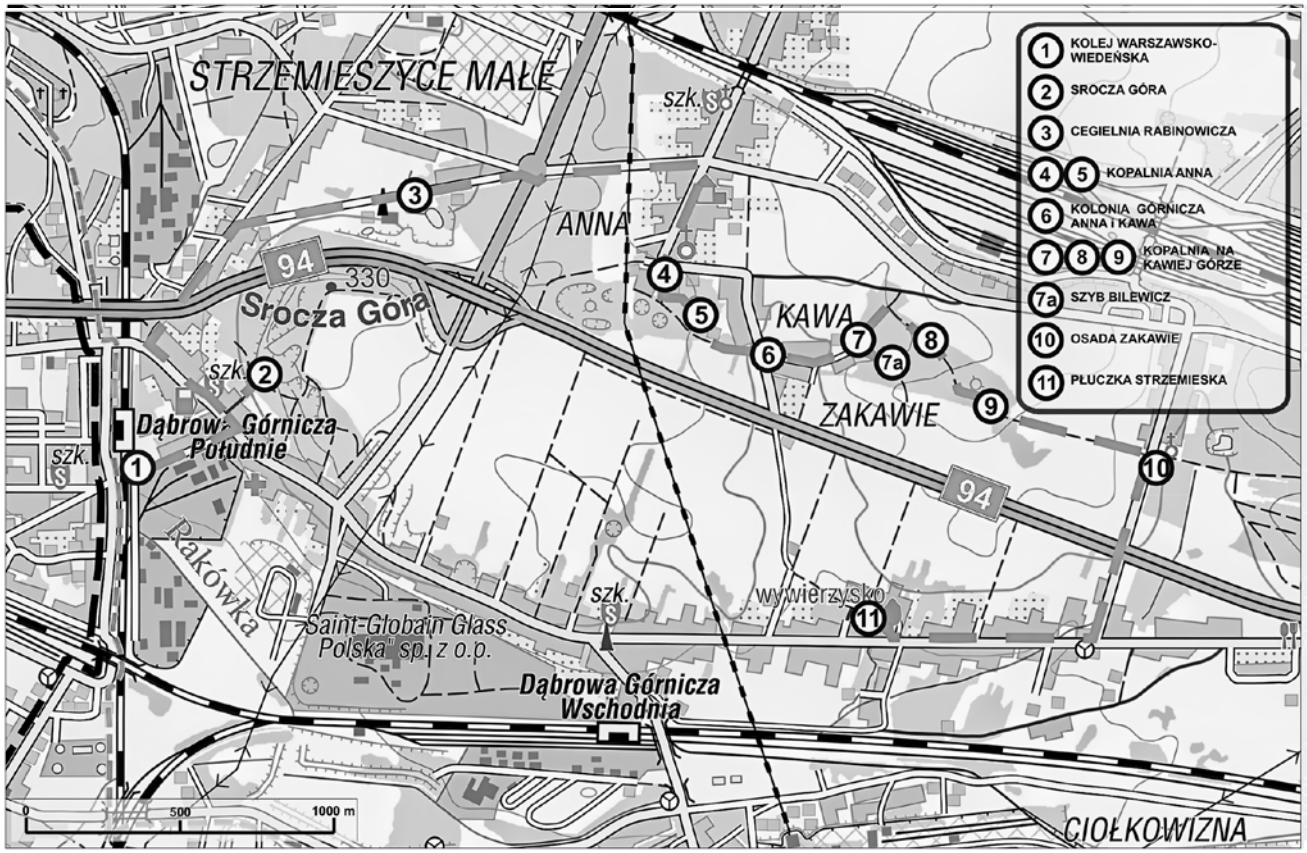

źródło mapy Szlaku Kruszcowego: UM Dąbrowa Górnicza

Maska, przedmiot, który obecnie kojarzy się z codziennością, a jednocześnie jest wciąż fascynujący, intrygujący i posiada bardzo długą historię użycia w teatrze. W przeciwieństwie do masek ostatnio widzianych na ulicach te teatralne nie miały za zadanie ochrony zdrowia, a raczej ich celem było otwarcie zarówno aktora, jak i publiczności na zupełnie nowy rodzaj doświadczeń. Maski teatralne były i do dziś zresztą są przedmiotem transgresji poza ograniczenia cielesności.

Terakotowa maska Dionizosa, I–II w. p.n.e., ze zbiorów Luwru

Przedmiot codzienny o rodowodzie teatralnym

Maska w teatrze greckim i azjatyckim

MICHAŁ SPURGIASZ

Maska w teatrze greckim

Z maską nieodłącznie kojarzy się teatr grecki. Początkowo około VI wieku przed naszą erą maski były umowne – aktorzy biorący udział w przedstawieniu malowali twarze przy pomocy barwników. Później maski zaczęto wykonywać z trwalszych materiałów, takich jak usztywniany len, korek, czy drewno, przy czym zachowano zwyczaj ich malowania – na jasno bądź na ciemno. Były dzielone na dwa rodzaje: na maski tragiczne służące do odgrywania tragedii i maski komiczne przynależne do komedii. Wiązane były z postacią Dionizosa – bóstwa wegetacji i religijnej ekstazy. Jako hołd mogły reprezentować dwie przemieszane z sobą w ekstazie powodowanej obcowaniem ze świętością emocje – radości i uniesienia oraz smutku i przerażenia. Pod względem konstrukcji maski greckie były zdecydowanie większe niż głowa aktora. Posiadały małe otwory na oczy, a mocowane były pod brodą za pomocą wiązadła. Ich wielkość miała zastosowanie praktyczne – aktor tragiczny w pełnym kostiumie, wraz z butami na koturnie i peruką (te zwykle były wykonane z ludzkich lub zwierzęcych głosów, a ich kolor oznaczał wiek postaci) potrafił mierzyć do 2 metrów (tak jak w przypadku egipskich malowideł – wzrost przedstawionej postaci miał odzwierciedlać jej znaczenie i pochodzenie). Powiększenie optyczne głowy sprawiało, iż postać zachowywała harmonijną sylwetkę, a ponadto zapewniało to widzom z dalszych rzędów amfiteatru stosunkowo dobrą widoczność aktora. Co więcej, wedle niektórych ustaleń odpowiednia konstrukcja maski miała również zapewnić efekt pudła rezonansowego, czyli wzmocnić głos aktora.

Maski greckie na ogół nie przedstawiały konkretnych postaci (czasem tworzono maski przedstawiające konkretne postaci, takie jak Erynie z Oresteji Ajschylosa, czy Kadmos i Penteusz z Bachtanek Eurypidesa), charakteryzowały się pewnym stopniem ogólności, bądź umowności, a nawet posługując się językiem psychologa Junga – archetypiczności. Dawały widzom jedynie pewną wskazówkę odnośnie do postaci wchodzącej na scenę, prezentując jej wiek, płeć, czasem niektóre cechy charakteru lub uczucia targające postacią (maski greckie są znane z przesadnie zarysowanych grymasów i rysów twarzy), jednakże nigdy to nie była informacja kompletna. To dopiero gesty i działania aktora miały nadać masce charakter i sprawiały, że kostium wraz z noszącym go człowiekiem stawał się na scenie konkretną postacią.

Maski ze względu na stosunkowo ograniczający charakter wymagały od aktorów specyficznego stylu gry, który w znacznej mierze opierał się na skonwencjonalizowanej sztuce gestykulacji – chironomii. Z jednej strony nadawała ekspresji odgrywanej postaci, a z drugiej szereg sformalizowanych gestów miał ułatwić aktorowi orientację na scenie pomimo ograniczonej widoczności. Co ciekawe Arystoteles krytykował sobie współczesny teatr – twierdził, że sztuka gestu jest zdecydowanie nadużywana względem dawnych czasów, co miało świadczyć o upadku sztuki aktorskiej.

W teatrze greckim, ze względu na jego sakralny charakter, grać mogli jedynie mężczyźni (wyłonieni na drodze konkursu. Otrzymanie możliwości gry na scenie poczytywane było za szczególny zaszczyt). Maska ułatwiała wcielenie się w rolę kobiece, co więcej, dojrzały teatr grecki był teatrem trzech aktorów. Niejednokrotnie jeden musiał wcielić się w kilka stosunkowo zróżnicowanych ról.

Znaczenie maski greckiej

Najstarsze zachowane przedstawienia masek greckich znajdują się na malunkach wazowych datowanych na V wiek przed naszą erą. Jedna z waz przedstawia zwisającą z drzewa maskę wraz z dekorowaną szatą. Przedstawienie to prawdopodobnie stanowiło reprezentacje ko-

stiumu pewnego boga, możliwe, że Dionizosa. Na innej mieszczą się wizerunki mężczyzn przygotowujących się do odegrania roli satyrów. Ciekawe jest, że zachowane greckie przedstawienia masek i aktorów prawie nigdy nie przedstawiają ich w trakcie gry (jeśli już to odgrywających komedię), a jedynie przed przedstawieniem lub po. Utrwaleniu uległy momenty liminalne, przestrzeń na styku rzeczywistości i mitu, snu i świadomości. Aktor przed przedstawieniem miał za zadanie stopić się z maską, stać się jednym z rolą, a odgrywana postać oznaczała za każdym razem bardzo osobiste i indywidualne przeżycie historii. Przywdzianie maski natomiast oznaczało transformację, aktor na scenie nie odgrywał jedynie postaci, on się nią stawał, a wszystkie wydarzenia sztuki były elementem jego osobistego doświadczenia życiowego. Zdjęcie maski, czas po przedstawieniu był natomiast momentem powrotu do rzeczywistości z kosmosu mitycznego. Aktor na powrót stawał się sobą (w trakcie przedstawienia stawał się ucieleśnieniem odgrywanej postaci) i rozdzielał własne ja od tego maski. Maska w tak postrzeganej grze była narzędziem ekstazy – przedmiotem umożliwiającym wyjście z siebie i poza ramy swojej cielesności. Samą maskę można było określić mianem przedmiotu liminalnego – granicznego; swoją bytnością wskazywała na jednoczesną obecność (w postaci ucieleśnienia poprzez aktora) i nieobecność (jako niematerialny element opowiadanej historii) archetypicznej postaci. Dla starożytnych Greków nie istniało rozróżnienie między zamaskowanym aktorem a postacią, w którą się wcielał. W trakcie gry aktor był odgrywaną postacią. Znajduje to nawet odbicie w terminologii. Maskę określano terminem πρόσωπόν – prosópon, który jednocześnie oznaczał twarz, a wraz z rozwojem teologii greckiej stał się terminem określającym osobę. Zdecydowanie bardziej znana wydaje się zlatynizowana forma powyższego greckiego terminu, persona, stosowana jest nawet dziś w psychologii.

Choć wraz z odejściem teatru greckiego maska przestała być nieodłącznym elementem każdego europejskiego przedstawienia teatralnego, to pewne koncepcje, jak i pewne zasady zrodzone w starożytnej Grecji obrębie leżą u podstaw współczesnej sztuki teatralnej. Sama maska jako obiekt symboliczny stała się uniwersalnym europejskim symbolem teatru, wcielenia się w kogoś, stania się kimś, kim się nie jest. Co więcej, istnieją spekulacje, że maski greckie dotarły daleko na wschód, gdzie prawdopodobnie stanowiły inspirację dla innego, dalekowschodniego religijnego teatru zamaskowanych aktorów – gigaku.

Gigaku

Gigaku było formą teatru buddyjskiego, które łączyło w sobie muzykę i powolny taniec zamaskowanej postaci. Przedstawienia składały się z dwóch części, pierwszej – rytualnej – procesji zamaskowanych postaci, które powolnie przemieszczały się przy akompaniamencie muzyki oraz drugiej, tańców o zróżnicowanym charakterze. Gigaku odgrywano najprawdopodobniej na dziedzińcach świątyń buddyjskich w czasie świąt. Jako forma teatralna gigaku zanikło około XII wieku, a jedną z niewielu pozostałości po niej są do dziś zachowane maski, które należą obecnie do najstarszych zachowanych na świecie masek.

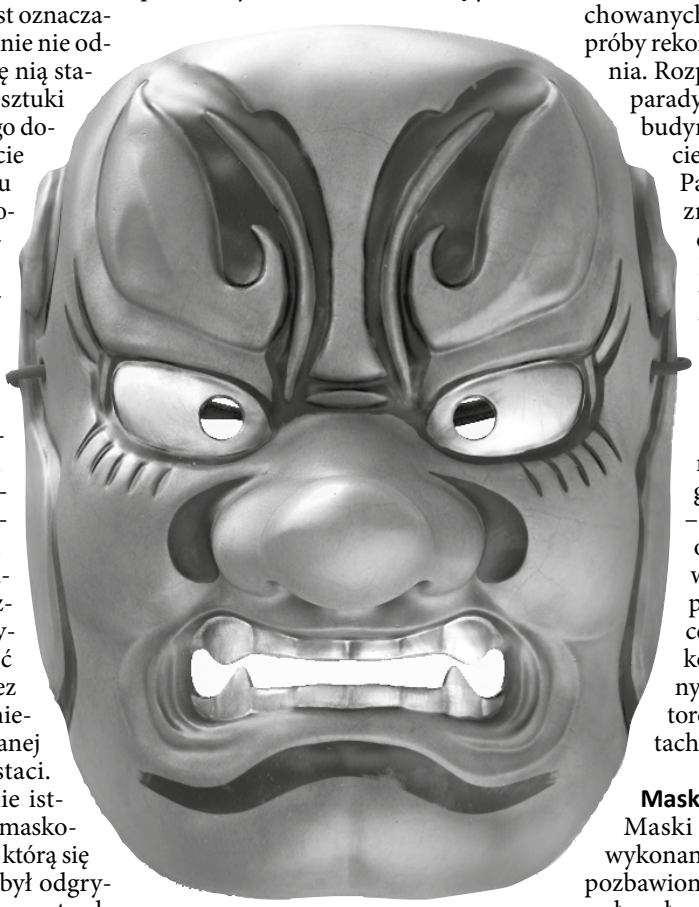

Maska gigaku (tengu)

Choć gigaku to słowo japońskie, które dosłownie oznacza sztukę muzyki, to przyjmuje się, że ta forma teatru narodziła się poza Japonią. Najprawdopodobniej miejscem narodzin gigaku były Indie, a wraz z rozprzestrzenianiem się buddyzmu na Azję Centralną i działalnością kupiecką, sztuka dotarła na teren Chin (państwa Wu) i Korei. Pierwsza wzmianka o gigaku w kontekście japońskim występuje w kronice Nihon Shoki. W rozdziale poświęconym imperatorowi Kinmei (540 – 572) zawarta jest notka, że spadkobierca króla Wu ofiarował imperatorowi instrument do przedstawień gigaku oraz pisma i statuy buddyjskie. Najstarszy zapis o odegranej sztuce gigaku datowany jest na maj 612 roku i mówi o koreańskim nauczycielu imieniem Mimaski, który zebrał młodych chłopców, by nauczać gigaku.

Zachowane dokumenty z czasów późniejszych – okresu Heian (794 – 1185) wskazują na znaczny szacunek, jakim musieli się cieszyć nauczyciele gigaku – byli zwolnieni z podatków oraz znajdowali się pod bezpośrednią opieką państwa.

Oryginalnie teatr ten zanika około XII wieku, jednakże na podstawie zachowanych źródeł można podjąć się próby rekonstrukcji formy przedstawienia. Rozpoczynało się ono od gyodo, parady aktorów i muzyków wokół budynku świątyni, w której trakcie śpiewano buddyjskie sutry. Paradzie przewodził mężczyzna ubrany w maskę tengu – długonosej czerwonej istoty. Po dojściu do miejsca wystawienia przedstawienia odbywał się shishimai – lwi taniec wykonywany przez dwóch przebranych za lwa aktorów, którzy poruszali się szczególnie żywiołowo i dynamicznie. Koniec lwiego tańca sygnalizował początek konron – przedstawienia właściwego, odgrywanego przez zamaskowanych aktorów. Miało formę pantomimy połączonej z tańcem i pozbawione było jakichkolwiek dialogów, tłem i jedynym uzupełnieniem ruchu aktorów była muzyka, grana na fletach, bębnach i cymbałach.

Maski gigaku

Maski stosowane przez aktorów wykonane były z drewna, malowane, pozbawione ruchomych części i zakrywały całą głowę. Tradycyjnie dzieli się je na cztery typy: Kojin – obcokrajowców, Gojin – mieszkańców królestwa Wu, Nankaijin – ludzi mórz południowych i Irui – zwierzęta, na przykład lwy, czy ptaki. Maski gigaku należą do najstarszych zachowanych do dziś masek i uważane są za bezcenne skarby kultury japońskiej, jak i świadczą o jej długim trwaniu.

Pomimo zaniku gigaku miało znaczny wpływ na formowanie się innych gałęzi japońskiego teatru, które również wykorzystywały maski – bugaku oraz nō.

Bugaku

Bugaku (dworski taniec i śpiew) jako forma teatralna, podobnie jak gigaku, opiera się na tańcu i muzyce i swoimi korzeniami sięga poza Japonię – do Chin i Korei. Bugaku zostało zaadoptowane przez Japończyków między VII a VIII

wiekiem i od początku było ściśle związane ze środowiskiem dworskim (w 701 roku powstaje urząd muzyki, którego celem było nadzorowanie nauki bugaku), do tego stopnia, że całość finansowania bugaku spoczywała na dworze cesarskim. Popularność bugaku wśród arystokracji była tak duża, że sztuki-tańce odgrywane były w trakcie dworskich ceremonii, przyjęć, festiwali (współcześnie odgrywane są w lokalnych japońskich teatrach). Wraz ze stopniowym zmniejszaniem się bogactwa i powolną utratą realnego wpływu na politykę przez cesarza zespoły świątynne przejęły na siebie ciężar finansowania przedstawień bugaku.

W przeciwieństwie do uprzednio omawianego gigaku, bugaku jako forma teatralna jest żywa do dziś – przy agencji dworu cesarskiego działa nawet instytucja poświęcona kontynuacji tej tradycji.

Podział Bugaku

Sztuki-tańce bugaku podzielone są na dwie grupy: tańce na lewo – którym przypisuje się pochodzenie chińskie i tańce na prawo – pochodzące z Korei. Przynależność sztuki do jednej z powyższych grup można określić po kostiumach. Te do sztuk wywodzących się z Chin utrzymane są w kolorach czerwieni, natomiast kostiumy sztuk koreańskich są błękitne. W trakcie jednego przedstawienia tańce na lewo i tańce na prawo są zwyczajowo wykonywane na przemian. Poza podziałem na dwie duże grupy sztuki-tańce podzielone są jeszcze na trzy, w zasadzie cztery style: bun-no-mai – styl wolnego posuwistego tańca; bu-no-mai – styl tańca militarystycznego z użyciem mieczów i włóczni; hashiri-mai – styl tańca wykonywanego „w biegu" z użyciem mieczy i pałeczek; oraz styl czwarty, dōbu – tańce adresowane do dzieci. Pod względem tematyki sztuki-tańce są zróżnicowane i mieszają w sobie cechy napływowego buddyzmu z lokalną religią shintō. Przedstawiają legendarne bitwy, spotkania z istotami boskimi, czy zwierzętami mitycznymi.

Maski Bugaku

Nieodłącznym elementem bugaku są wykonane w większości z drewna maski (materiałem użytym do stworzenia niektórych masek jest kanshitsu – lakierowana mieszanka żywicy i trocin). Pod względem wielkości maska do bugaku jest mniejsza niż ta do gigaku, zapewnia większą swobodę ruchu i czasem ma ruchome elementy. Ponadto jest zdobiona i wykonana z dużą dbałością o detal. Maski charakteryzują się smukłymi rysami przedstawionych twarzy przy jednocześnie bardzo ekspresyjnych grymasach. Ma to związek z dworem cesarskim, gdzie zwyczajowo ukazywanie emocji na twarzy było uważane za zachowanie wulgarne lub w najlepszym przypadku za nietakt. Tym samym maska z wyraźnie zarysowanym grymasem ułatwia-

Maska Bugaku

ła aktorowi oddanie postaci, w którą się wcielał bez ryzyka urażenia cesarza. Do każdego z tańców dopasowana jest jedna maska.

Charakter bugaku

Forma teatralna bugaku jest mocno osadzona w japońskiej estetyce ograniczenia się (choć zaburzonej momentami gwałtownego ruchu), kontroli nad ciałem i symetryczności gestu. Ruch jest stylizowany, a całość choreografii rąk i nóg opiera się o powtarzalne formy geometryczne, które współgrają z buddyjskim wyobrażeniem przestrzeni. Każdy taniec bugaku w swojej istocie ma stanowić namysł nad prawami i budową wszechświata, a powtarzalność ruchu przypomina widzowi o ciągłym trwaniu świata.

Nō

Bugaku ze swym powolnym, posuwistym ruchem zdecydowanie miała wpływ na obecnie najlepiej rozpoznawalną formę azjatyckiego teatru masek – nō. Nō wyodrębnia się stosunkowo późno, w szczególności w porównaniu do gigaku, czy bugaku, bo dopiero w wieku XIV (wywodzi się z formy teatralnej sarugaku – małpiej muzyki). Był to teatr rozrywkowy odgrywany przy drogach i świątyniach. Oryginalnie przybył z Chin, a w Japonii połączył się z popularnymi ludowymi formami rozrywki: akrobatyką, pantomimą, magicznymi sztuczkami. Składał się z przemieszania improwizowanych komediowych skeczów z poważnymi tańcami przy akompaniamencie muzyki), przy czym formę ostateczną osiąga dopiero na przełomie XV i XVI stulecia. Wraz z nō (po rozpadzie sarugaku) rozwinął się kyōgen, teatr przedstawień komicznych, które odgrywane są w trakcie interludiów spektaklu nō. Kyōgen i nō znane są razem jako nōgaku.

Wzrost popularności i sformalizowanie nō jako formy teatralnej wiążę się z działalnością człowieka imieniem Zeami (było to jego imię artystyczne, przed jego przyjęciem posługiwał się imieniem Motokiyo). Na początku XV wieku napisał serię kanonicznych traktatów filozoficznych, w których wyłożył swoje zapatrywania na istotę teatru i przedstawienia. Należy tu jednak zaznaczyć, iż traktaty Zeamiego postrzegane były jako dzieła specjalistyczne. Dostęp do nich był ograniczony i czytane były w zasadzie jedynie przez wyższe warstwy społeczeństwa japońskiego. Szeroko rozpowszechniły się dopiero w XX wieku.

Szczytem popularności nō był okres Edo (1600 – 1868). Wiązało się to z objęciem patronatu nad tą formą teatralną przez szogunat Tokugawy, który widział w nō formę teatru godną samuraja. Opieka szoguna z jednej strony oznaczała zabezpieczenie potrzeb materialnych grup odgrywających nōgaku, z drugiej wiązała się z odejściem od innowacji i eksperymentów na cześć nacisku na tradycję, standaryzację i regulację, w tym wykluczenie aktorstwa kobiet (poza marginalnymi przypadkami. Współcześnie nawet pomimo zmian i luzowania ograniczeń teatr nō pozostaje teatrem na wskroś męskim).

Upadek szogunatu Tokugawy w 1868 był ciosem dla teatru nō. Nowy rząd obsesyjnie pragnąc zmodernizować Japonię, nawet kosztem europeizacji, odciął finansowanie gałęzi sztuki, którą uznał za archaiczną. Wywołało to potężny kryzys. Liczne sceny upadły, zmniejszyła się populacja aktorów. Nie jest wykluczone, że nō przetrwało do dziś dzięki wysiłkom europejskich dyplomatów. To poprzez ich naciski rząd Japonii zdecydował się przywrócić finansowanie. Jednakże należy mieć na względzie, że władze kierowały się pragmatyką raczej niż sentymentem – teatr nō stał się narzędziem polityki zagranicznej, konkretnie metodą wywierania wrażenia na obcych emisariuszach.

Forma teatralna, jaką jest nō, przetrwała do dzisiaj, a od roku 1957 znajduje się na liście ważnych niematerialnych dóbr Japonii.

Scena nō

Początkowo scenę do nō stanowiła ubita ziemia. Wraz ze wzrostem popularności nōgaku zaczęło być wystawiane przy świątyniach shintōistycznych, w miejscach, gdzie tańczono święty taniec kagura. Współcześnie nō jest wystawiane zarówno na świeżym powietrzu, jak i wewnątrz budynków. Niezależnie od ulokowania niska scena jest zawsze zadaszona, a dach wspiera się o cztery filary, które służą za punkty orientacyjne, dla zamaskowanego aktora (maska ma bardzo małe otwory na oczy). Z lewej strony sceny znajduje się pomost, który łączy scenę z pomieszczeniem, gdzie aktorzy przygotowują się do przedstawienia. Wzdłuż pomostu zwyczajowo rosną trzy sosny. Po prawej stronie znajduje się miejsce, dla ośmio–dziewięcioosobowego chóru, który ma za zadanie nakreślić tło poszczególnych scen i uwypuklać stan emocjonalny postaci znajdujących się na scenie. Scena pozbawiona jest scenografii. Jej pewną namiastką jest wizerunek japońskiej sosny zwyczajowo namalowany na tylnej ścianie sceny. Jest on przedstawieniem duchowych sił natury. Tuż przed nim znajduje się miejsce, dla skromnej orkiestry, na którą składają się bębny i flet. Od przodu scena posiada trzy dekoracyjne stopnie.

Waki i Shite

Pierwszym aktorem, który pojawia się na scenie po rozpoczęciu przedstawienia, jest waki. Pozbawiony maski, ponieważ odgrywa żyjącego człowieka. Jego rolą jest wywołanie i zmuszenie do działania shite – zamaskowanego aktora, który wciela się w istotę nadnaturalną – boga, demona, ducha zmarłego wojownika, a nawet gniewnego upiora. Shite jest zawsze punktem centralnym przedstawienia (czasem shite towarzyszy jeszcze jeden aktor tsure – ten przyprowadzony. Swoją grą uzupełnia opowieść shite, może być zamaskowany, lecz jego kostium i maska są zdecydowanie mniej okazałe od tych shite). Zależnie od treści sztuki aktor jako bóg przypomina i odgrywa jakąś historię mityczną związaną z bóstwem, będąc duchem wojownika, roztacza historię swego życia i zwykle heroicznej śmierci, ucieleśniając upiora, ponownie przeżywa historię swojego upadku. Widoczny jest tu rys buddyjski. Shite jako istota z innego świata odtwarza przed publicznością swoją przeszłość, przypomina ją sobie, aby jako oczyszczona z emocji i dawnego przywiązania móc odejść. Zazwyczaj by podkreślić nadnaturalny charakter postaci shite, w przeciwieństwie do waki przemawia wierszem.

Podział między aktorami jest ścisły. Aktorzy przeznaczeni do roli waki nigdy nie odgrywają shite a shite nigdy nie odgrywają waki. Młody człowiek wstępujący do szkoły aktorskiej od samego początku jest profilowany jako przyszły waki lub shite.

Maski

Elementem rozpoznawczym nō są wykonane zwyczajowo z japońskiego cyprysu maski. Zwykle nie przedstawiają postaci indywidualnych, a archetypiczne, których jest 60 (każdy archetyp posiada swoją własną nazwę). Szereg masek przedstawiających jeden archetyp utrzymany jest w jednej konwencji, to znaczy wszystkie maski jednego archetypu np. demona są do siebie podobne, co umożliwia doświadczonej widowni natychmiastowe rozpoznanie typu postaci. W przeciwieństwie do dużych masek greckich, bądź tych używanych kiedyś w gigaku, maski nō są stosunkowo niewielkie i zasłaniają jedynie twarz aktora (choć nosi się je razem z perukami). Jako wyjątkowo cenne przedmioty są przekazywane w obrębie rodzin aktorskich z pokolenia na pokolenie.

Maska nō, British Museum

Maski ukazują widzowi takie cechy jak wiek odgrywanej postaci, jej pozycję społeczną, płeć, czasem kierujące postacią emocje. Nacisk na warstwę emocjonalną jest w nō szczególnie istotny (część masek jest celowo tworzona z neutralnym wyrazem twarzy i to do aktora należy nadanie masce emocji swoją grą). Maska nie ma ograniczać ekspresji aktora, zamiast tego jest postrzegana jako narzędzie zapewniające ścisłą kontrolę nad odgrywaną emocją (co idzie w parze ze ściśle skonwencjonalizowanym ruchem scenicznym). Interesującym zabiegami aktorskimi stosowanymi w nō są rozjaśnianie maski – odchylenie głowy w tył, by sprawić wrażenie, że maska się śmieje i ściemnienie maski – pochylenie głowy w dół, które nadaje masce demonicznych rysów i ma wyrazić smutek lub złość.

Akt założenia maski uchodzi za szczególnie podniosły. Maska nie jest traktowana jako zaledwie rekwizyt, ale uchodzi za obiekt o znacznej duchowej sile. Aktor po przybraniu maski ma stać się z nią jednym, oczekiwane jest od niego, że w pełni zatopi się w roli i stanie się amalgamatem siebie samego i archetypu, którego podobieństwo nałożył na twarz. Ma to nawet odbicie w warstwie językowej. Aktor nie zakłada maski, tak jak zakłada się ubranie (kaburu), lecz zamiast tego wiesza ją (kakeru) lub przymocowuje (tsukeru) do twarzy. Nie bez znaczenia pozostaje również miejsca „przymocowania" maski – dzieje się to zawsze w ciszy przed lustrem.

Choć współcześnie w zasadzie już się nie pisze nowych sztuk nō (z pewnymi wyjątkami), a wystawia się głównie materiał historyczny, to nō pozostaje teatrem prężnie działającym. W 1983 w Tokio został otworzony Narodowy Teatr Nō, który oprócz popularyzacji tej formy teatralnej, prowadzi kursy dla nowych aktorów oraz gromadzi literaturę poświęconą nō. W 2008 nō wraz z kyōgen jako nōgaku zostało wciągnięte na listę reprezentatywną niematerialnego dziedzictwa kulturowego utworzoną przez UNESCO.

Podsumowanie

Przedstawione w powyższym tekście przykłady teatru masek, są jedynie zarysowaniem zdecydowanie szerszej tematyki. Maska jako obiekt umożliwiający stanie się kimś innym, zmianę tożsamości, z jednej strony fascynuje widza, z drugiej staje się narzędziem, choć niebezpiecznym ze względu na możliwość zatracenia się, kunsztu aktorskiego. Mimo skrycia twarzy aktora nie ogranicza jego ekspresji, a zamiast tego daje mu zdecydowanie większą kontrolę nad tym, jaki chciałby się wydawać. Niezależnie od tego, czy mowa o teatrze europejskim, czy azjatyckim. ■

Królestwo rzeźbiarskie w wiejskiej stodole

ZBIGNIEW LUBOWSKI

– *Uważam Zbigniewa Religę za wybitnego kardiochirurga. W wyrzeźbionej przeze mnie ozdobnej ramie okalającej jego portret umieściłem m.in. herb Katowic oraz rozmaite znaki i symbole medyczne. Zwieńczeniem ramy są zaś dwie krańcowe (pierwsza i ostatnia) litery z alfabetu greckiego alfa i omega. Charakteryzują one wiedzę i umiejętności słynnego lekarza* – mówi **Karol KÓSKA**, rzeźbiarz z Kaniowa, sporej wsi w powiecie bielskim.

Obchodzący niebawem swoje 75. urodziny niepospolity twórca ze Śląska Cieszyńskiego wyróżnia się godną pozazdroszczenia werwą i imponującą kreatywnością artystyczną. Od ponad 30 lat wyczarowuje z drewna lipowego piękne ramy portretów znamienitych osobistości życia publicznego. Rzeźbi swoje kunsztowne dzieła w wyjątkowo skromnej pracowni stolarskiej, w której korzysta z wykonanych własnoręcznie i niespotykanych gdzie indziej prostych, a zarazem zaskakujących narzędzi. To jedyny tego rodzaju rzeźbiarz ludowy w Polsce.

Kreatywny twórca

Obdarzony niezwykłymi uzdolnieniami artysta mieszka w Kaniowie od urodzenia. Obecnie jest to duża wieś (prawie 3,5 tys. mieszkańców) w gminie Bestwina. Jego rodzice zajmowali się rzemiosłem i rolnictwem. Ojciec prowadził zakład stolarski. Karol po ukończeniu podstawówki uczył się u niego stolarskiego fachu. Uczęszczał do szkoły zawodowej w Czechowicach-Dziedzicach. W latach sześćdziesiątych zeszłego wieku zaraził się na dobre rzeźbiarskim bakcylem od Franciszka Machańca. Po śmierci ojca (1971) przejął rodzinny warsztat stolarski. Zawsze demonstrował jednak życiową zaradność, nie ograniczając się bynajmniej do jednej tylko profesji.

– *Mam kilka różnych zawodów. Jestem spawaczem, operatorem spychacza budowlanego oraz strażakiem. W razie potrzeby umiem też naprawiać buty* – podkreśla z satysfakcją pan Karol. Dodać warto, że ma on ponadto rozległe zainteresowania historią i literaturą, co z pewnością jest niecodziennym zjawiskiem.

Każda z rzeźbionych przez niego ram różni się wyraźnie od innych. Twórca nadaje im indywidualne piętno, odzwierciedlające życiową aktywność każdej z portretowanych w taki specyficzny sposób postaci. W tym celu stara się najpierw pozyskać niezbędną wiedzę biograficzną o bohaterach swoich prac rzeźbiarskich. Niejednokrotnie wymaga to z jego strony czasochłonnej lektury książek historycznych i dzieł literackich. Pan Karol z pasją oddaje się jednak takim zajęciom, bo wie, że dzięki temu osiągnie cenny efekt rzeźbiarskich starań.

Artystyczne królestwo kaniowskiego twórcy ma charakterystyczne oznakowanie, które rzuca się w oczy przyjezdnym. Nie można po prostu nie zauważyć efektownej bramy ogrodzeniowej posesji przy ul. Młyńskiej. Ale już sam warsztat stolarski pana Karola, usytuowany w starej i zaniedbanej stodole wiejskiej, jest wielce surowy. Aż dziw bierze, że w takich niewyszukanych warunkach powstają fascynujące dzieła sztuki dekoratorskiej.

Od Leonarda do Koterbskiej

Niektóre z drewnianych ram mają dla kaniowskiego twórcy niemałe znaczenie emocjonalne. W tej grupie znajduje się na pewno oprawa portretu Leonarda da Vinci.

– *Byłem w Warszawie na wystawie jego prac i wynalazków. Uważam, że był postacią doskonałą. Starałem się więc stworzyć ramę w stylu rokoko o doskonałym charakterze, oddającym jego niesamowite umiejętności architekta, malarza, rzeźbiarza i znakomitego odkrywcy* – wyjaśnia Karol Kóska.

– *Pszczyńska księżna Daisy von Pless (1873–1943), angielska arystokratka, była niezwykłą kobietą. W młodości chciała zostać śpiewaczką operową, ale nic z tego nie wyszło. Wywodziła się z rodziny spokrewnionej z brytyjskim premierem Churchillem, co fatalnie wpłynęło na losy jej małżeństwa z Hansem Hochbergiem, sekretarzem ambasady Niemiec w Londynie. Musieli się rozstać z powodu wielkiej polityki* – opowiada z prawdziwym znawstwem historii o jednej z bohaterek swojej twórczości, dystyngowanej księżnej angielskiej z przełomu stuleci, do której ma szczególną słabość. Fantazyjna dekoracja jej portretu stanowi artystyczną ilustrację burzliwego życia małżonki niemieckiego księcia z rodu Hochbergów, dawnych właścicieli zamków w Pszczynie i Książ w Wałbrzychu.

– *Vincent van Gogh namalował ponad 800 obrazów, a ja mam w swoim dorobku około 80 ram* – stwierdza nieco żartobli-

fot. Z. Lubowski

Karol Kóska zaprasza do swej pracowni

fot. Z. Lubowski

fot. Z. Lubowski

Ramy portretów polskich Noblistów wyrzeźbił Karol Kóska

wie Kóska, śmiejąc się z własnego porównania. Najtrudniejsze dla niego jest zaprojektowanie każdej z rzeźb. Praca nad jedną ramą zajmuje mu od 150 do 200 godzin. Sporo wysiłku włożył w udekorowanie portretów literackich noblistów: Władysława Reymonta, Wisławy Szymborskiej, czy Olgi Tokarczuk.

Z łatwością można dostrzec m.in. liście laurowe oraz tytuły wydanych powieści, a w przypadku Szymborskiej tekst utworu, na kanwie którego powstała przed laty nietuzinkowa piosenka Kory, popularnej wokalistki rockowej grupy Maanam. Odnotować warto też fascynację rzeźbiarza postacią Henryka Sienkiewicza. Wyrzeźbił on bowiem nie tylko urokliwą ramę portretu autora „Trylogii" (z jego herbami rodowymi), ale również wierną kopię łóżka pisarza, na podstawie zdjęć zrobionych przez siebie w sienkiewiczowskim muzeum w Oblęgorku niedaleko Kielc.

Wyjątkowo okazała jest rzeźba powiązana tematycznie z długoletnią działalnością estradową śpiewaczki Violetty Villas.

– *Bardzo ją szanuję. Pięknie śpiewała. Miała głos o rozszerzonej skali 4 oktaw. Zastanawiałem się, jak można to uwypuklić to w ramie okalającej jej portret. Postanowiłem ostatecznie wykonać miniaturę skrzypiec z czterema strunami. Róże z kolcami symbolizują zaś przykre zdarzenia w jej życiu. Nie mogło zabraknąć zapisu nutowego. Uznałem także, że warto umieścić w bogatej ramie mityczny róg obfitości, bo to się jej zwyczajnie należy* – obrazowo tłumaczy pan Karol.

Ważne miejsce w zbiorze jego rzeźb zajmuje wreszcie rama poświęcona bielskiej piosenkarce Marii Koterbskiej. Artystyczna dekoracja powstała w roku 2019 dla upamiętnienia ówczesnego jubileuszu 95-lecia damy polskiej piosenki. Radosne motywy plastyczne odzwierciedlają optymistyczny wydźwięk niezapomnianych i melodyjnych przebojów z jej repertuaru.

Brakuje troskliwego mecenasa

Żmudny proces twórczy nie polega jednak tylko na samym wyrzeźbieniu drewnianego rękodzieła. Potem zostają jeszcze do wykonania liczne czynności uzupełniające, w tym zwłaszcza szlifowanie ram. Zajmuje się tym z dużym poświęceniem Maria Kóska, siostra pana Karola, młodsza od niego o kilka lat. Bez jej aktywnego współudziału w rzeźbiarskim przedsięwzięciu nie byłoby wspaniałego efektu końcowego. Rodzeństwo jest zgranym tandemem twórczym, poświęcającym sporo czasu pracy rzeźbiarskiej. Żadne z nich nie założyło nigdy własnej rodziny.

Prace Karola Kóski były do tej pory prezentowane na wystawach w „Książnicy Beskidzkiej" w Bielsku-Białej, Miejskim Domu Kultury w Czechowicach-Dziedzicach oraz w Muzeum Regionalnym w Goczałkowicach-Zdroju. Nie wypłynęły jednak nigdy na szersze, ogólnopolskie wody, co musi dziwić, jeśli weźmie się pod uwagę ich niepowtarzalne walory artystyczne. W zgodnej opinii wielu znawców sztuki nie ma w całym kraju drugiego takiego rzeźbiarza o porównywalnych osiągnięciach w tworzeniu unikatowych ram portretów sławnych ludzi.

Kaniowski twórca rzeźbi w drewnie, posługując się na skutek dotkliwych kłopotów finansowych prostymi narzędziami, sporządzonymi we własnym zakresie z dostępnych w domowym gospodarstwie metalowych elementów. Stan techniczny jego warsztatu stolarskiego pozostawia przy tym sporo do życzenia, co dotyczy zwłaszcza przeciekającego dachu pracowni. Gołym okiem widać, że brakuje pieniędzy na jej remont i wyposażenie w odpowiednie urządzenia. Dochody rodzeństwa są niepokojąco niskie. Maria Kóska otrzymuje zaledwie 230 zł miesięcznej emerytury rolniczej z KRUS, a pan Karol uzyskuje świadczenie emerytalne z ZUS w wysokości 1476 zł.

Tylko dzięki rzadko spotykanej pasji twórczej Kósków powstają w tych warunkach unikatowe rzeźby. Rodzeństwo marzy od dawna o pozyskaniu hojnego mecenasa, który wsparłby ich społecznikowskie poczynania.

– *Jest tyle różnych fundacji i stowarzyszeń artystycznych, a nikt nie chce jednak przyjść nam z pomocą* – żali się pan Karol. To szczególnie smutne, że w obecnych realiach ustrojowych nie ma w Polsce instytucjonalnych patronów, zapewniających ludowym artystom o niespotykanych zdolnościach możliwość satysfakcjonującej pracy twórczej w godziwych warunkach materialnych. ■

fot. Z. Lubowski

Maria i Karol Kóskowie przy pracy

Śp. Maciej Głowaczewski (1953–2021) – fotograf

W dniu 21 kwietnia po ciężkim zmaganiu się z wirusem Sars-CoV-2 opuścił najbliższych znany powszechnie w Gliwicach Maciej Głowaczewski. Nie darmo wymienione zostały tu Gliwice, gdyż w tym mieście – 13 września 1953 roku – się urodził, tu się wychował, zaliczył wszystkie szczeble edukacji, przeżył całe dojrzałe życie, służąc temu miejscu najlepiej, jak umiał.

Po ukończeniu Szkoły Podstawowej nr 1 uczęszczał do Technikum Mechanicznego w przeciwlegle położonej części miasta. Studiował na Wydziale Górniczym gliwickiej Politechniki, który ukończył w 1978 roku. Tak bowiem wypadało w rodzinie inteligencji technicznej, ale to się nie sprawdziło. Po jednorazowym zjeździe na dół kopalni, gdy zobaczył pył, wilgoć, mrok i huk fedrunku, stało się jasne, iż ta ścieżka zawodowa nie będzie jego drogą życiową. Jako że był nakaz pracy, przyszło Mu się zatrudnić w Instytucie Metalurgii Żelaza, gdzie przepracował do 1983 roku. Równolegle, już od czasu studiów, kształtowało się inne, własne powołanie: fotografia. Tej dziedzinie poświęcił się całkowicie, w niej się realizował, tu sięgał wyżyn artyzmu.

W latach 1978–1983 przewodniczył Studenckiej Agencji Fotograficznej, dając upust swoim dążeniom i swojej pasji. Z lat 70. pochodzi pokaźny zbiór zdjęć, dokumentujących życie miasta w jego przeróżnych odsłonach, czego przejawem i dowodem jest album *Gliwice lata 40., 50., 60., 70. Nostalgiczna podróż w krainę dzieciństwa i młodości* (Wydawnictwo „Wokół nas", Gliwice 2005). Zresztą w dużej mierze jest to edycja ojca i syna, podobnie jak wiele innych przedsięwzięć, od słynnej wystawy „Dni mijają, lata płyną" z 1989 roku (współautor – Jerzy Mykietyn). Dekady lat 40. i 50. zostały bowiem zilustrowane amatorskimi, a jakże dziś ważnymi, zdjęciami Władysława Głowaczewskiego (1922–1996), który dokumentował szlak wysiedleńczy swej rodziny i wszystkich innych z nimi się przemieszczających od Lwowa do Gliwic, jak również zapisywał w fotografii nowe miejsce, w którym przyszło im osiąść na stałe i żyć. Maciek przejął to zainteresowanie, rozszerzył i doskonalił. Dzięki tej międzypokoleniowej kooperacji możliwe było ocalenie od zapomnienia wiele scen eksodusu z kresów wschodnich na ziemie obiecane na zachodzie.

Ale do zdjęć, zwłaszcza profesjonalnych, konieczny jest sprzęt. Początkowo był pochodzenia NRD-owskiego. Kilka praktyk studenckich odbył w kraju za Odrą, by z gratyfikacji wschodnio-markowych zakupywać kolejne modele Praktiki, potem powiększać o teleobiektywy, światłomierze, stojaki, odczynniki czy szybko się starzejące produkty firmy ORWO. Czas Hasselblada i wysokiej jakości produktów azjatyckich miał dopiero nadejść. Zaradność w tworzeniu siebie – młodego adepta sztuki zdjęciowej była imponująca. Mawiało się wtedy, iż fotografia wymaga dużo czasu, dużo pieniędzy i dużo wody. Dziś wodę zastąpiły programy komputerowe. W obydwu tych epokach fotograficznej technologii, chemicznej i digitalnej sięgał klasy mistrzowskiej.

W 1984 roku został członkiem redakcji powstałego wtedy katowickiego tygodnika „Tak i Nie". Jako fotoreporter realizował się w jej składzie do 1990 roku, zasilając także w latach 1986–1989 łamy kwartalnika „TAK i Nie", „Śląsk". Wiele zdjęć, często unikatowych, chwytających na gorąco życie regionu, znajdowało się wtedy i później w licznych tytułach i wydawnictwach. Dokumentował rozliczne wydarzenia. Świadczą o tym wystawy, uczestnictwo w plenerach, relacje z koncertów czy okładki płyt. Był fotografem grupy wokalno-muzycznej „Dżem" oraz zespołu heavymetalowego „Kat" od początku jego istnienia. Wspomnieć też trzeba o znaczącej kontrybucji w wyczekiwaną wtedy edycję *Tak było… Karty z historii „Solidarności" Regionu Śląsko-Dąbrowskiego w fotografii* (Katowice–Gliwice 1991).

Zmiana ustrojowa mocno zaznaczyła się w życiu zawodowym Macieja Głowaczewskiego. Tygodnik uległ likwidacji, trzeba było szukać sposobu na istnienie. Postawił na samodzielność, otwierając w 1990 roku własną firmę Remox PHU Foto-Video zlokalizowany w sąsiedztwie ulubionego „X-a" na ul. Ks. M. Strzody, wkrótce znaczące miejsce przekazu towarzyskiego o wszystkim, co fotografii w mieście dotyczyło. Od 1986 działał w Gliwickim Towarzystwie Fotograficznym aż do zakończenia działalności w 2000 roku. W 2020 był współzałożycielem i członkiem Towarzystwa Fotograficznego O/S. Własną ofertę artystyczną kierował do wszystkich, którzy zgłaszali zapotrzebowanie na produkt fotograficzny bądź filmowy. Obsługa imprez prywatnych czy publicznych zajęła miejsce centralne, ale nadal były ekspozycje w galeriach, kooperacja z instytucjami kultury, zwłaszcza z Muzeum w Gliwicach, udział w aukcjach, dokumentowanie zawiłej przeszłości całej ziemi gliwickiej.

Szczególnym tego przejawem pozostaje wydany w dwujęzycznej wersji album *Pławniowice – Plawniowitz – Flößingen* (Śląska Oficyna Drukarska, Pławniowice–Pszczyna 2017; współautor Leonard Seichter), w którym ukazał życie codzienne mieszkańców miejscowości położonej w cieniu pałacu, o którym zawsze było głośno. Przywrócił tym swego rodzaju równowagę, sprawy pławniowickiej społeczności – odkąd istniała fotografia – zostały utrwalone i upublicznione. Ostatnio portretowane, idące w setki, nowe eksponaty porcelany Rosenthal, w których posiadanie weszło Muzeum w Gliwicach, jeszcze pewnie będzie nieraz eksponowane. Wcześniej w tej placówce były znaczące ekspozycje, by wymienić tylko „Śląskie ballady", będące retrospektywą z wcześniejszych nagradzanych dokonań. Trzeba też dodać, iż oprócz zdjęć własnych doszło gromadzenie pamiątek z przeszłości. Kolekcja starych fotografii, pocztówek, rekwizytów z przeszłości Śląska gromadzona przez lata całe, jest pewnie jednym z bardziej pokaźnych prywatnych zbiorów. Powinna nadal służyć *pro publico bono*.

W pełnym twórczej pasji życiu nie było czasu na wakacje. Jedynym dość regularnie praktykowanym odpoczynkiem było chodzenie po lasach Środkowego Pomorza, zazwyczaj w porach grzybobrania. Krótkie wypady czasami zdarzały się i dwukrotnie w roku. Więcej, znacznie więcej uwagi przyciągały za to nowości czy trendy w sztuce fotografii. Ostatnio eksperymentował przy zdjęciach w technologii otworkowej, czego śladem była partycypacja w kieleckiej wystawie BWA fotografii w technikach dawnych i alternatywnych w 2019 roku. Były kolejne zamierzenia. Już ich nie będzie; może jakieś przypomnienie tej twórczości ktoś zorganizuje? Dobrze się przecież zapisał w bogatej tradycji gliwickiego środowiska fotograficznego. ■

(acz)

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Etnologia i Wojciech Korfanty

Etnologia, i wcześniejsze XIX-wieczne ludoznawstwo, a wreszcie współczesna antropologia kulturowa dostarczają nam wielu cennych materiałów empirycznych, a także syntez umożliwiających jakościowo inne spojrzenie na działalność polityczną Wojciecha Korfantego. Także nowe spojrzenie na jego biografię. Jej początek sięgał typowej górnośląskiej osady robotniczej (konkretnie górniczej), a potem nastały lata nauki w niemieckim systemie edukacyjnym zakończone na etapie szkoły średniej wiadomym przełomem w życiu późniejszego polityka. Następnie były czasy studenckie, także Uniwersytet Wrocławski, i przerwana nauka oraz podjęcie pracy korepetytora u litewskiego arystokraty Witolda Jundziłły. Po powrocie do Wrocławia poznał postać niebanalną, intrygującą, to jest socjologa i myśliciela Wernera Sombarta. Potem były lata od 1903 roku posłowania i liczne wystąpienia w niemieckim parlamencie, dalej nastały czasy, kiedy to Korfanty stał się jednym z twórców Niepodległej. Jednak od razu wyjaśnijmy, że wymienione wcześniej dyscypliny naukowe nigdy nie zajmowały się dokonaniami tego polityka. Dlaczego zatem je przywołujemy? Z tego powodu, że dostarczają nam przede wszystkim cennych opisów i analiz zjawisk prezentujących specyfikę etniczną, kulturową, ale i religijną Górnoślązaków. W kategoriach etnicznych dowiadujemy się przede wszystkim, że ludność rodzima tego obszaru charakteryzowała się nie tylko w dzieciństwie i młodości Korfantego świadomością jednoznacznie prenarodową, a w kategoriach kulturowych dowiadujemy się, że poza ludnością wiejską, była tu także ludność robotnicza. Ona to – jak dowodzą analizy etnologiczne – wytworzyła specyficzną kulturę „typu ludowego". A wszystko to następowało w realiach „obcego" przecież państwa; państwa realizującego proces wynaradawiania i zarazem prowadzącego „opresyjne" procesy asymilacyjne. Jej cechą był znamienny kanon kulturowy związany z ludową ontologią, charakterystyczny system wartości, z konkretnymi normami drastycznie wyznaczającymi granice między Dobrem i Złem; wreszcie bogata kultura religijna. Nadto istniał tu niezwykle bogaty system zrytualizowanych zachowań. A więc chodzi o obrzędy funkcjonujące i obowiązujące w realiach życia rodzinnego, w tzw. cyklu *rites de passage*, czyli jak mówił Zygmunt Gloger chodzi o te, które pojawiały się „U kolebki, Przed ołtarzem, Nad mogiłą", jak i te funkcjonujące w perspektywie banalnej codzienności, ale też w środowisku pracy. Nosicielem tej kultury i tradycji były środowiska robotnicze regionu posługujące się mową śląską. Ona też była tworzywem folkloru, który swoiście opisywał świat. To wszystko powodowało, że ludoznawcy i etnografowie w tym materiale poszukiwali związków, wręcz podobieństw z kulturą polską. To miał być dowód polskiego charakteru tej najstarszej „oderwy od Korony". Tylko nieliczni przestrzegali, że sytuacja na Górnym Śląsku jest skomplikowana. Tak więc przykładowo publicysta Teodor Jeske Choiński w latach 80. XIX wieku pisał, że „nie tradycje i obyczaje, a nawet język naród stanowią, lecz jeszcze samowiedza odrębnego bytu, własnych celów, własnej polityki, a tego właśnie na Śląsku nie ma". Tak więc ewentualne „podobieństwo" kulturowe – jak często podkreślano w ówczesnej publicystyce i ludoznawstwie – między Górnym Śląskiem a resztą ziem polskich miało świadczyć o polskości ludności rodzimej. Dla współczesnej etnologii jest zatem przekonująca analiza historyczna, iż „mówiący po polsku Ślązak czy Mazur czuł się Prusakiem, wiernym poddanym króla pruskiego, reprezentował raczej regionalną świadomość i poczucie autochtonizmu". O tym wiedział Korfanty. O tym przekonywały polityka własne obserwacje i doświadczenia z rodzimej ziemi jak i – używając określenia francuskiego antropologa C. Levi-Straussa – znamienne „spojrzenie z oddali". Znał skutki procesu germanizacji, doznał ich osobiście. Dawna etnografia, ale zwłaszcza etnologia i antropologia dostarczają nam zatem niezwykły materiał dowodzący, jak trudna i skomplikowana była droga części Górnoślązaków od świadomości prenarodowej do świadomości narodowej. Polskiej. To było skomplikowane przekraczanie granic swojskiego, ludowego świata. Był on też swoiście izolowany, „zamknięty na obcość", na ingerencję. Dlatego Korfanty wiedział że Kulturkampf nie przyniesie na Górnym Śląsku pożądanych przez Niemców skutków. Dlaczego? Po niespełna 100 latach Józef Chlebowczyk wyjaśniał, że Kulturkampf „uderzył w główny nerw chłopskiej społeczności (ale i robotniczych, w tym górniczych – przyp. MGG) – polskiej pod względem językowo-etnicznym. Identyfikacja subiektywnego poczucia płynącego z zewnątrz zagrożenia uświęconej przez stulecia wiary ojców, opartych na niej obyczajów i wzorców życia z otrzymaną od tychże ojców w spadku mową rodzinną wytwarza reakcje, które cementują więzi". O tym wiedział Korfanty. Wiedział, że swojska kultura śląska jest „twierdzą nie do zdobycia". Chroni ją tradycja i religia, jej atrakcyjność. Rozumiał śląskie poczucie odrębności i instynktowne poczucie polskości. Znajomość realiów własnego regionu skonfrontowana zaś z myślami jego wrocławskiego nauczyciela Sombarta zawarta w pracy „Der moderne Kapitalismus" stanowiły podstawę do skutecznego nowoczesnego działania na „niwie narodowej". Do zaczątków etapu przechodzenia Górnoślązaków od świadomości prenarodowej do narodowej. W tym była niezwykła zasługa tego jednego z „Ojców Niepodległej". ■

Polacy zdobyli wysoką górę wykształcenia.

Ale nie tę,

co trzeba.

Szkoła ponienormalna (2)

ANDRZEJ JARCZEWSKI

Przed miesiącem opisałem na tych łamach historię związków kształcenia zawodowego z zatrudnieniem, by dojść do wniosku następującego. Absolwent każdej szkoły – jeśli nie uczy się dalej, a chce pracować – powinien od razu po szkole podjąć pracę zarobkową bez wchodzenia na tzw. rynek pracy. Teraz, po pandemii, widzimy to jeszcze wyraźniej: marnotrawstwem czasu i nieuzasadnionym kosztem społecznym jest uczenie człowieka takich rzeczy, które nie przydadzą się w pracy i nie sprzyjają jego osobistemu rozwojowi. Przedmiotom niepotrzebnym mówimy stanowczo NIE!

Krótkie przypomnienie

W latach 50. i częściowo 60. szkolnictwo branżowe nie było podporządkowane MEN, lecz Centralnemu Urzędowi ds. Kształcenia Zawodowego. Twórcom tego rozwiązania chodziło o bliższe powiązanie kształcenia z przemysłem, a nie wyłącznie z resortem oświaty. W owych latach fabryki wspierały wybrane szkoły i nauczycieli zawodu specjalnym „dodatkiem przemysłowym", niekiedy całkiem sporym. Później – pod rozpatrywanym względem – było coraz gorzej.

W latach sześćdziesiątych mogliśmy jeszcze konkurować z Doliną Krzemową. Polskie rozwiązania komputerowe, np. K-202 inżyniera Jacka Karpińskiego, mogły wyznaczać światowe trendy. Niestety, nie pasowało to do systemu. W Kalifornii wspierano prywatne inicjatywy, rozwijające innowacyjne technologie dzięki zamówieniom państwowym i współpracy z uczelniami. W krajach socjalistycznych – przeciwnie. „Prywatna inicjatywa" była usilnie tępiona z powodów ideologicznych. Dobre było produkowanie stali i wydobywanie węgla, czyli działalność gospodarcza o niskiej wartości dodanej. Wszystko, co przynosiłoby duży zysk, zwłaszcza osobie prywatnej, było niezgodne z „moralnością socjalistyczną". Utrzymywano więc nie tylko przestarzały przemysł, ale i – zgodne z doraźnymi potrzebami – przestarzałe kierunki kształcenia.

Nie mówmy o rynku pracy!

W PRL w zasadzie nie znaliśmy zjawiska społecznego o nazwie „rynek pracy". Każdy musiał pracować, co prowadziło do nadmiernego zatrudnienia i niskiej efektywności. Gdy po roku 1989 upadały całe gałęzie gospodarki i zaczęto racjonalizować zatrudnienie, nagle się okazało, że kilkanaście, kilkadziesiąt procent siły roboczej znalazło się na bruku. Najpopularniejszym terminem, opisującym polską rzeczywistość, stał się właśnie „rynek pracy".

Jak grzyby po deszczu zaczęły pojawiać się firmy, zarabiające na obsłudze tego rynku. Kwitło doradztwo personalne, uczono autoprezentacji i lukrowania curriculów. Obiektywnie była to (i nadal jest) działalność pasożytnicza. Niczego nie usprawnia. Po prostu nieco inaczej miesza cukier w herbacie. Co za różnica dla gospodarki, czy pracę w jakiejś firmie zdobędzie Kowalski, czy równy mu pod każdym względem Wiśniewski?

W kwietniu 2021 ukazała się książeczka pt. *O próbach dostosowania systemu kształcenia zawodowego do potrzeb gospodarki narodowej w PRL i III RP*. Autorzy (B. Łukaszewicz i niżej podpisany A. Jarczewski) całkowicie abstrahują od pojęcia rynku pracy. Operują takimi kategoriami, jak „kształcenie" i „zatrudnienie". Celem – w omawianej teraz dziedzinie – powinno być nauczanie takich zawodów i specjalności, żeby absolwent zaraz po uzyskaniu dyplomu mógł pracować. Ale to wymaga rozwiązania instytucjonalnego, dbającego o otwieranie na uczelniach wyższych (a także na poziomie średnim i zasadniczym) takich kierunków, na które w niedalekiej przyszłości będzie zapotrzebowanie.

Mówmy o uprawnieniach!

Budowa elektrowni atomowej – od projektu do uruchomienia – trwa około dziesięciu lat (w Polsce około... kilkudziesięciu). Mniejsze fabryki powstają w ciągu roku. Większe inwestycje też idą szybko, ale od wstępnych decyzji (np. o przekopie Mierzei Wiślanej) do zatrudnienia pracowników docelowych mija kilka lat. Akurat tyle, by wykształcić podstawową kadrę. Trzeba tylko gdzieś gromadzić odpowiednie dane i przetwarzać je w informacje, służące podejmowaniu decyzji o kierunkach kształcenia. Tego się nie dorobiliśmy i uczymy byle kogo byle czego. A później niech absolwent sam się doszkala.

Nowoczesny pracodawca nie potrzebuje „uogólnionego" absolwenta technikum np. elektrycznego. Na stanowisku **X** będzie mu potrzebny fachowiec, który ma uprawnienia 6kV (może być to zarówno absolwent zawodówki, jak i inżynier). Z kolei na stanowisku **Y** zatrudni kierowcę z prawem jazdy na ciągniki siodłowe. Kandydat na kierowcę TIR-a może mieć wykształcenie podstawowe, ale – z braku laku – może to być w ostateczności magister psychologii, a nawet docent, byle tylko wykazał się właściwym prawem jazdy.

Dziś w ogłoszeniach pracodawcy wyraźnie piszą, jakich uprawnień wymagają od kandydatów do pracy. Jeżeli ów kandydat nie przedłoży – wyszczególnionej w ogłoszeniu – kopii np. certyfikatu językowego lub innego wymaganego uprawnienia, to jego podanie w ogóle nie będzie rozpatrywane! Powiedzą: „braki formalne".

Chlubimy się, że dziś studiować może każdy. Młode pokolenie Polaków należy do najwyżej wykształconych na świecie. Dlaczego więc z takim trudem podnosimy różne wskaźniki ekonomiczne? Czyżby rozwój gospodarczy kraju nie zależał od poziomu wykształcenia obywateli? Otóż zależy jak najbardziej, ale od dostosowania tego wykształcenia do potrzeb gospodarki! Co mamy z tego, że filozof z doktoratem pracuje jako taksówkarz? Nic. Nic poza stratą iluś lat na daremną – finansowaną z naszych podatków – naukę.

Obok zamieszczam rysunek pokazujący, że pracodawcy wymagają praktycznych uprawnień zawodowych (poziomych), a system edukacyjny zorientowany jest na teoretyczne uprawnienia naukowe (pionowe), które mało interesują pracodawców.

Cudze nie jest lepsze

Rozwiązanie problemu sterowania kształceniem zawodowym pojawiło się w Polsce w roku 1992 w postaci projektu, a w roku 1996 już jako w pełni skomputeryzowana metodologia. Przypomnę te sukcesy i zaniechania, bo płynie z nich ogólniejsza nauka.

Otóż w roku 1992 minister pracy i polityki socjalnej Jerzy Kropiwnicki ogłosił konkurs na modelowe rozwiązania w dziedzinie promocji zatrudnienia i przeciwdziałania bezrobociu. W konkursie tym zwyciężyło opracowanie, sygnowane przez wart uwagi, niecodzienny zestaw instytucji: Rejonową Radę Zatrudnienia w Gliwicach, Zakład Elektroniki Biomedycznej Politechniki Śląskiej, Instytut Elektroniki Wydziału Automatyki i Informatyki oraz biura pracy w Gliwicach i Zabrzu.

Ten pionierski projekt, sporządzony pod kierunkiem dra Bohdana Łukaszewicza, zapowiadał stosowanie metody, pozwalającej m.in. identyfikować **zawody przyszłości**. Po pozytywnych recenzjach ministerstwa projekt został skiero-

wany do zastosowania w skali kraju z możliwością wykorzystania środków pomocowych w kwocie 1,5 mln $. Następni ministrowie nie kontynuowali jednak tej inicjatywy, omawiane opracowanie zostało zarchiwizowane, a środki przekierowano na „mądrzejsze" cele.

Jednocześnie odsunięto od udziału w organizacji rynku pracy w Polsce rodzimą naukę na rzecz masowego angażowania ekspertów zagranicznych: głównie z Niemiec, Francji, Hiszpanii, Anglii i Szwecji. Jak dziś wiemy – ci „eksperci" rozpoznawali możliwości przejęć zakładów, a nie poprawy ich działania; interesowali się bardziej nabyciem nieruchomości niż problematyką polskiego rynku pracy, a w dziedzinie dostosowania kształcenia zawodowego do spodziewanych potrzeb: nie zrobili nic.

Dokonania zachodnich „ekspertów", monitorujących polską gospodarkę po roku 1986, do tej pory nie zostały poddane analizie i ocenie. Tak jakby obawiano się oczywistego wniosku, że niezwykle wysoko opłacane pozorowanie pracy przez tych „ekspertów" nie przyniosło naszemu krajowi korzyści. Ułatwiliśmy zachodniemu kapitałowi infiltrację, pozyskanie cennych informacji, a później, nie znając jeszcze mechanizmów rynkowych, popełnialiśmy liczne błędy, by nie rzec: zbrodnie przeciwko polskiej gospodarce.

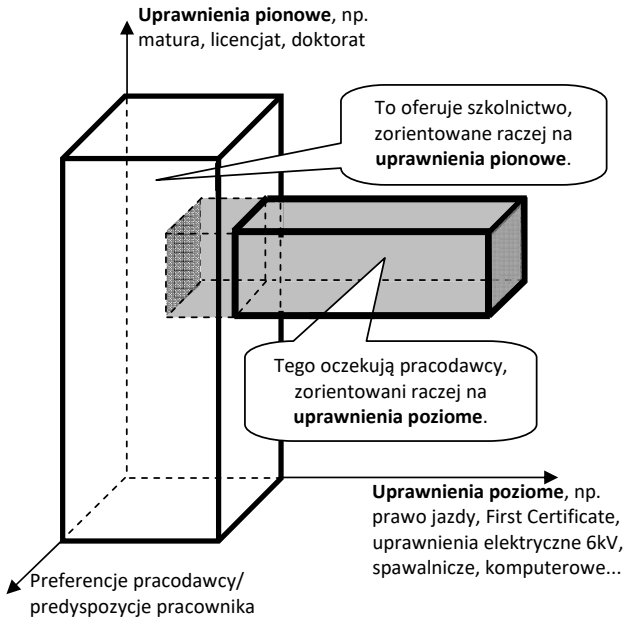

Uprawnienia pionowe i poziome (oraz predyspozycje/preferencje) wyznaczają przestrzeń porozumienia między systemem edukacji i potrzebami pracodawców, umożliwiając pionowe i poziome dostosowanie nadawanych kwalifikacji do prognoz zatrudnieniowych.

MODiOZ

Zasadnicze elementy wspomnianego projektu z roku 1992, wobec zaniechania współpracy przez ministerstwo, wykorzystano przy tworzeniu pierwszej w Polsce placówki samorządowej, ukierunkowanej na problem powiązania edukacji zawodowej i zatrudnienia w środowisku lokalnym.

Międzygminny Ośrodek Doradztwa i Orientacji Zawodowej Gliwic, Zabrza, Knurowa i Pyskowic (**MODiOZ**) powstał **w roku 1993** dzięki zawiązaniu szerokiej koalicji lokalnych samorządów przy wsparciu wojewody śląskiego i rektora Politechniki Śląskiej. Była to placówka eksperymentalna, zorientowana na wytestowanie nowych metod analizy rynku pracy wraz z utworzeniem kompleksowego systemu informacji. Dyrektorem MODiOZ-u został dr B. Łukaszewicz.

Po trzech latach działalności, w tym po wykonaniu ekspertyz znacząco wspierających pozyskanie fabryki General Motors (epokowe wydarzenie dla Śląska, opisane w pierwszym polskim praktycznym podręczniku pozyskiwania inwestycji przez gminy pt. ***Jak złowić Opla***, Warszawa 1996) pracownicy MODiOZ otrzymali z Rządowego Centrum Studiów Strategicznych zlecenie na przeprowadzenie wielostronnych analiz związku edukacji z zatrudnieniem w skali kraju, zakończone po kilku latach publikacją książki pt. ***Analiza dorobku metodologicznego oraz efektywności praktycznej monitoringu rynku pracy według zawodów, stosowanego w różnych ośrodkach kraju***, Warszawa 2002.

Pierwsze wyniki tych badań i analiz prezentowane były w Sejmie już w roku 1996, a następnie – na wielu konferencjach. Aktywność MODiOZ została dwukrotnie odnotowana przez „Financial Times" (1998) i wielokrotnie przez media polskie. Niezależnie od tego pracownicy Ośrodka przeprowadzili kompleksowe szkolenia dla przedstawicieli instytucji rynku pracy w kraju, w tym np. dla wszystkich tego typu instytucji województwa mazowieckiego, dla Łodzi, Legnicy, Jeleniej Góry, Szczecinka, Sosnowca, Piotrkowa Trybunalskiego i in.

Dorobek tego samorządowego Ośrodka (zlikwidowanego w roku 2000) nie całkiem poszedł na marne, bo w roku 2006 metodologia wytestowana w Gliwicach stała się obowiązującym w Polsce standardem na mocy z trudem wdrażanej ustawy z 20 kwietnia 2004 r. *o promocji zatrudnienia i instytucjach rynku pracy*.

Obserwatoria

W XXI wieku przy wojewódzkich urzędach pracy powoli powstawały obserwatoria rynku pracy, które jednak – ze względu na brak krajowej koordynacji – nie stały się jednostkami sztabowymi, pomagającymi w podejmowaniu **decyzji o kierunkach kształcenia**. Przeciwnie. Poszerzono sprawozdawczość o publikowane drukiem i w internecie barometry tych zawodów, które w poprzednim roku / kwartale / miesiącu były deficytowe lub nadwyżkowe. Barometry prezentują wiedzę o prehistorii problemu. W resorcie edukacji nikt ich nigdy poważnie nie traktował.

Na koniec – paradoks typowy dla III RP. Otóż udzielone MODiOZ-owi w latach 1998–2002 zlecenie Rządowego Centrum Studiów Strategicznych (na sporządzenie ekspertyz dotyczących koordynacji kształcenia zawodowego z potrzebami gospodarki, jak również na przeprowadzenie monitoringu rynku pracy wg zawodów deficytowych i nadwyżkowych) nie zostało wsparte przez śląską administrację samorządową, mimo że było to pierwsze tego typu opracowanie w całej powojennej historii Polski. Natomiast identyczna propozycja RCSS, skierowana do władz woj. małopolskiego, uzyskała pełną aprobatę, a w rezultacie – odpowiednie środki na wdrażanie monitoringu zostały przekierowane do Wojewódzkiego Urzędu Pracy w Krakowie ze szkodą dla Śląska.

Nie znaczy to, że krakowianie skorzystali z wypracowanej na Śląsku metodologii. Jak dowiadujemy się z internetowej strony Małopolskiego Obserwatorium Rozwoju Regionalnego: *Metodologię badania wypracowano w Szwecji w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku w ramach szerszego systemu prognozowania zmian na rynku pracy. W 2007 roku Barometr zawodów zaadaptowali pracownicy publicznych służb zatrudnienia z południowo-zachodniej Finlandii. Do Polski Barometr trafił za sprawą Wojewódzkiego Urzędu Pracy w Krakowie. W 2009 roku pracownicy Małopolskiego Obserwatorium Rynku Pracy i Edukacji poznali założenia badania podczas wizyty studyjnej w Turku, w Finlandii. W tym samym roku przeprowadzono pilotaż w sześciu powiatach Małopolski, a następnie rozszerzono Barometr na cały region. Od 2015 roku badanie odbywa się we wszystkich powiatach kraju.*

Tu przypomina się komputer K-202 inżyniera Jacka Karpińskiego. Mieliśmy dobre nie tylko projekty, ale i gotowe rozwiązania. Mogliśmy wyznaczać światowe trendy. Niestety – polskie pomysły nie są cenione przez Polaków. Zniszczmy więc własne i kupmy cudze! Dopóki ten PRL-owski paradygmat będzie triumfował, dopóty Polska będzie przegrywać. Osiągniemy bardzo wiele, ale nie to, co trzeba. ■

Sven Lindqvist „Wytępić całe to bydło”

MARIAN SWORZEŃ

Rozpocznę od tytułu – to słowa Kurtza, bohatera Conradowego „Jądra ciemności”, wypowiedziane w środku Afryki. Joseph Conrad jest jednym z patronów tej książki, często i z szacunkiem przywoływanym. Autor – jak Conrad – zmierza do serca Czarnego Kontynentu. Podobnie, choć inaczej: nie parowcem, ale autobusem, nie w XIX, a XX wieku, nie od strony oceanu, lecz z północy, przez Saharę.

Afrykańska podróż, w której stadiach (przesiadki, zatrzymania, noclegi) uczestniczymy jako czytelnicy, jest przede wszystkim drogą przez zło, które Europa przyniosła temu kontynentowi. Owszem, czasem idziemy z autorem po ulicach algierskich miasteczek, ale to są tylko przerwy w snutej przez niego dramatycznej opowieści. Nieraz może nam się zdawać, że w swoich oskarżeniach idzie za daleko (na przykład wtedy, gdy uznaje nazizm za kontynuację europejskiej myśli imperialnej), to jednak sprawia, że lektura nie zostawia nas obojętnymi. Gdy pierwszy raz czytałem tę książkę, za zakładkę służył mi wtedy wycinek z gazety z czerwca 2020 roku z artykułem o burzeniu pomników kolonizatorów. Tekst był opatrzony zdjęciem posągu belgijskiego króla Leopolda II (*notabene* Conrad przemierzył Kongo w czasie jego panowania). Oczy władcy były zamalowane krwawoczerwoną farbą, a na jego piersi widniał wielki napis „Pardon”. Uważam to za najkrótszy komentarz do „Jądra ciemności” Conrada i do książki Lindqvista.

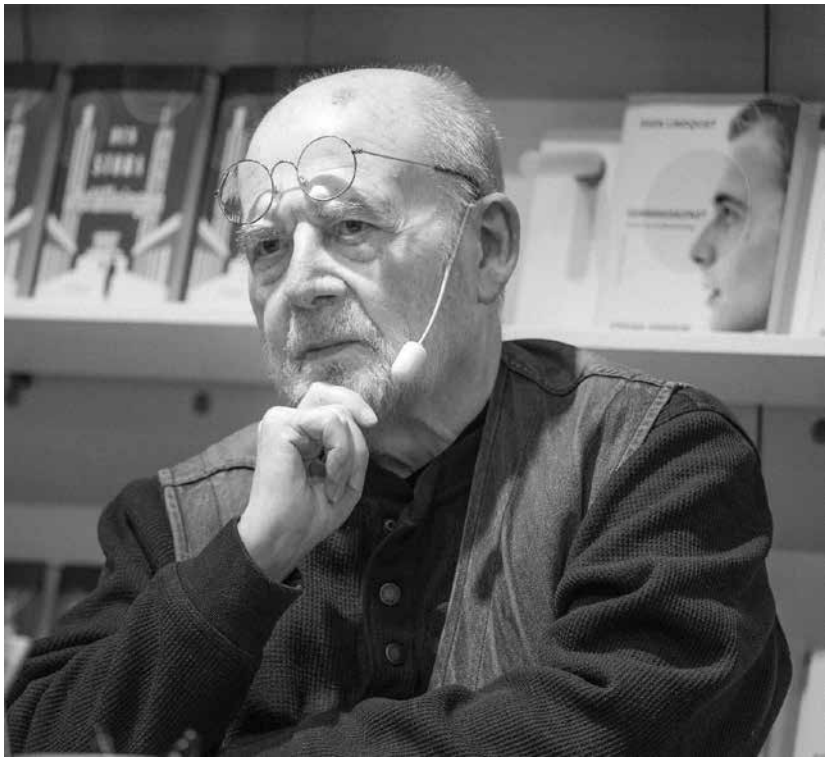

Sven Lindqvist, 2018 r. Fot. Frankie Fouganthin

Sven Lindqvist, urodzony w roku 1932, był szwedzkim dziennikarzem, autorem kilkudziesięciu książek, z których tylko dwie są dostępne w Polsce – prócz omawianej, jest jeszcze „Terra Nullius” o procederze przymusowego zabierania dzieci rdzennym mieszkańcom Australii (jest też wspólne wydanie obu książek zatytułowane „Podbój”). Syn nauczyciela, urodzony w Sztokholmie, z wykształcenia filozof, przez krótki czas pracował w dyplomacji (Chiny). Podróżował po całym świecie. Prócz reportaży wydał również książki z esejami i aforyzmami. Zmarł przed dwoma laty.

Książka Lindqvista nie jest bynajmniej przewodnikiem dla miłośników safari czy plażowania w Zanzibarze – jej lektura skłania raczej do wsparcia fundacji działających na rzecz Afryki. Od strony literackiej jest świetnie skonstruowana – podzielona na około 170 krótkich podrozdziałów, przeplata rozważania o przeszłości ze scenami z drogi (czytelnik jest świadkiem autorskich zapisów dokonywanych na bieżąco). Owe podróżne notatki czynione są na komputerze, nie na współczesnym laptopie, ale na sprzęcie z początku lat 90. (dość powiedzieć, że podczas jednej z przesiadek autor poprosił posiadacza taczki do pomocy w transporcie sprzętu z hotelu). Lindqvist nie tylko pisze, ale i śni – w książce znajduje się kilka zapisów jego sennych obrazów (żaden nie jest sielankowy). Przy relacji historycznej jest precyzyjny, oszczędny w słowach, wręcz małomówny, zaś w podsumowaniach – dosadny. Lindqvist prowadzi nas przez kolejne etapy pomysłów europejskich, które – każdy z osobna – splatały bicz na grzbiety ludów zamieszkujących Afrykę. Nikogo nie rozgrzesza, chociaż nie zapomina o rozpaczliwych głosach opamiętania, od duchownych po ludzi pióra. Najmocniejszą winą obarcza Anglosasów, twórców światowego imperium; po nich idą Francuzi, Portugalczycy i Belgowie. Wskazuje również na inne ekscesy Europejczyków, z których doświadczenia przenieśli później na Czarny Ląd – przykładem jest doszczętne wyniszczenie ludności Tasmanii dokonane przez angielskich kolonizatorów w pierwszych dziesięcioleciach XIX wieku. Nie sposób zapomnieć jedną z najostrzejszych konkluzji zawartych w książce, wedle której ówczesnej Europie najbardziej udawał się eksport... przemocy.

Lindqvist przedstawia również kolonialne „zapóźnienie” Niemiec, które – z najróżniejszych powodów – znalazły się na samym końcu listy państw mających swoje tereny w Afryce. Skutkiem tego były próby „nadrobienia” owego

braku, a to przez szukanie wolnych obszarów (obarczone ryzykiem konfliktu z sąsiadami), a to przyspieszanie podboju z nieuniknionymi ofiarami wśród ludności tubylczej (przykład: wytępienie Hererów na południu kontynentu).

Jednym z *leitmotivów* wywodu Lindqvista jest przywoływanie wielkich teorii XIX wieku, m.in. autorstwa Cuviera i Darwina, które – wskazując na nieustanność walki różnych struktur przyrodniczych – zapowiadały kres istnienia jakiejś klasy organizmów żywych, od zwierząt po ludzi. Skutkiem tychże poglądów teorii było ugruntowanie przekonania, że słabe musi ustąpić mocniejszemu i ulec anihilacji, która w odniesieniu do ludzi nazywa się eksterminacją. Nie darmo jedną z lektur Hitlera w więzieniu, gdy szykował się do pisania „Mein Kampf", była książka Friedricha Ratzela zatytułowana „Antropogeografia", zawierająca m.in. katalog „ras doskonalszych" i „ludów prymitywnych"…

W tym miejscu kończę ogólną prezentację książki, by dochować wierności zasadzie mego cyklu – wyszukiwania śląskich przebłysków. Są aż dwa! Jeden w tekście autorskim, drugi w przypisach tłumaczki, zaś oba dotyczą osoby „stąd". Lindqvist, w scenie uratowania Emina Paszy, pisze, że ów ocalony w oczach Stanleya „okazał się nie żadnym arystokratycznym paszą, lecz upartym Żydem ze Śląska". Tłumaczka dodała, że był to Eduard Schnitzer, „urodzony w Opolu niemiecki Żyd; lekarz, podróżnik, znawca Afryki; od 1878 roku gubernator prowincji Ekwatoria w Sudanie". Czas więc na przedstawienie jego sylwetki...

Byłem w błędzie sądząc, że to postać nieznana. Prawda jest taka, że to ja wiedziałem niewiele. Jest mnóstwo materiału – biografie, hasła w niemieckich encyklopediach, artykuły, porządne opracowania dostępne w sieci. Nie mówiąc już o tym, że Enim Pasza, czytelnie i imiennie, pojawia się w „W pustyni i w puszczy", bowiem jego urzędowanie w Afryce przypadło na czasy powstania Mahdiego, o którym w książce Sienkiewicza wielokrotnie mowa.

Isaac Eduard Schnitzer urodził się w Opolu w roku 1840 w rodzinie żydowskiej. Jego ojciec Louis, kupiec, zmarł młodo. Wtedy matka, Paulina z domu Schweitzer, po przeprowadzce do Nysy, wyszła ponownie za mąż, a ponieważ jej drugi małżonek był protestantem – przyjęła chrzest wraz z dziećmi. Eduard, po ukończeniu nauki w nyskiej szkole Carolinum (*notabene* katolickiej), podjął studia medyczne we Wrocławiu. To, że był członkiem studenckiej korporacji, jest odnotowane w papierach (należał do *Arminii*). Kolejne miejsca studiów to Berlin i Królewiec. Z uwagi

EMIN PASHA

na przedłużające się czekanie na egzamin państwowy, zezwalający na otwarcie praktyki w Niemczech, zdecydował się na opuszczenie kraju. Nie wybrał Rosji, gdzie prawie każdy doktor był Niemcem, ale ruszył na południe, przez Wiedeń i Triest do Konstantynopola. Tam nie dotarł, gdyż po drodze osiadł w innej części Państwa Ottomańskiego, w Czarnogórze – sprawdził się jako lekarz portowy odpowiadający za sprawy kwarantanny, otrzymał stopień oficerski. W roku 1870 towarzyszył miejscowemu gubernatorowi Ismailowi Paszy w jego licznych podróżach. Po śmierci tego dostojnika w roku 1873, wraz z jego małżonką i dziećmi przybył do Nysy. Był to z pewnością związek uczuciowy, choć zakończony dalece trywialnie – kobieta uciekła od niego, zabierając z sobą kosztowności. W roku 1875 Schnitzer jest już w Kairze, skąd rusza w kierunku Chartumu. Tam podejmuje praktykę lekarską, ze zbiorów z wypraw tworzy kolekcje roślinne i zwierzęce. Przechodzi też na islam, przyjmując imię Mehemet. Przełomowym zdarzeniem było jednak objęcie przezeń w roku 1878 urzędu gubernatora prowincji Ekwatoria – jego poprzednikiem był generał Gordon (znany nam z opowieści Sienkiewicza). Otrzymał tytuł beja, ustawiający go wysoko w hierarchii – był człowiekiem numer jeden w swojej krainie, daleko odległej od Kairu. Po wybuchu powstania Mahdiego w roku 1881, jego prowincja została całkowicie odcięta od reszty Egiptu. Po kilku latach postanowiono go odszukać, zaś sprawa dotarcia do Emina Paszy stała się gorącym tematem dla gazet w Anglii i Francji, a w Rzeszy zorganizowano zbiórkę pieniędzy na ekspedycję. Ostatecznie po Emina wyprawił się słynny podróżnik Stanley (książka Lindqvista dokładnie opisuje to przedsięwzięcie ratownicze zakończone nad Jeziorem Alberta). Kiedy świętowano spotkanie, doszło do nieszczęścia – Emin, spadłszy z balkonu, potrzaskał głowę i wymagał długiej kuracji (był już w tym czasie żonaty – z małżonką, z pochodzenia Abisynką, miał córkę Feridę). Po wyzdrowieniu, pomimo różnych ofert, postanowił nie opuszczać prowincji. O tak, był uparty...

Jesienią 1892 roku – podczas wyprawy badawczej – zginął z rąk arabskich handlarzy niewolników. Miejsce jego pochówku nie jest znane. Żyje jednak nadal w Afryce, chociaż na swój sposób – jeden z miejscowych gatunków węży nosi jego imię. ■

Sven Lindqvist, „Wytępić całe to bydło". Tłum. Milena Haykowska. Wydawnictwo WAB, Warszawa 2009, str. 242.

O Śląsku: str. **63, 241.**

fot. arch.

Profesor Beata Nowacka

MARIAN KISIEL

Beata Nowacka jest historykiem literatury. Więcej nawet: jest historykiem literatury w tradycyjnym rozumieniu tego słowa, choć coraz częściej zbacza w stronę kulturoznawstwa czy też kulturowej wersji literaturoznawstwa. Jako historyk literatury jest w większej mierze badaczką recepcji niż interpretatorką sensów niejawnych. Tak dała się poznać w rozprawie doktorskiej, której późniejsze dwa wydania (*Magiczne dziennikarstwo. Ryszard Kapuściński w oczach krytyków* – 2004, 2006), otworzyły jej drogę do nowych publikacji. Recepcję badaczka rozumie jednak nie tyle w ujęciu komunikacyjnym Roberta Escarpita (dzieło jako „twórcza zdrada", proces i aparat), nie tyle (choć częściej) w kontekście estetyki recepcji i oddziaływania Hansa Roberta Jaussa (zderzenie, akceptacja lub przekroczenie horyzontu lektury), ile jako uważne śledzenie myśli cudzej i umiejętne jej przenoszenie na płaszczyznę poznawczą. Mówiąc wprost, recepcja dzieła jest dla badaczki rodzajem świadomości estetycznej, na którą składają się cudze głosy. Badacz recepcji z owego „głosów zbierania" wyprowadza sądy natury ogólnej. Jest referentem, a następnie rewidentem estetyki oddziaływania. W *Magicznym dziennikarstwie* przeczytamy: „Właśnie estetyka recepcji wydaje się nieocenionym narzędziem przy próbie opisu fenomenu Ryszarda Kapuścińskiego. Wszak wyjątkowość jego pisarstwa nie wyczerpuje się w interesującej fabule ani nawet w charakterystycznym stylu czy trafnych metaforach rzeczywistości. Jest również sprawą recepcji".

Książka podzielona została na dwie części: pierwsza dotyczy poetyki prozy reportażowej autora *Buszu po polsku*, druga zajmuje się „modelami lektury" tej prozy. Taka strukturyzacja materiału jest zgodna z tytułem rozprawy: najpierw wchodzimy w krąg poetyki, później recepcji. Gdyby jednak odwrócić zaproponowany porządek lektury, zauważymy, że w „części recepcyjnej" autorka z pełną świadomością odnosi swoje spostrzeżenia również do poetyki, a w „części poetologicznej" antycypuje późniejsze ustalenia badawcze. Ten zaplot poetyki i recepcji pozwala uznać, że znajdujemy się wciąż w tym samym obszarze zagadnień; wirtualny odbiorca wpisany w tekst prozy reportażowej oraz odbiorca ze swoim horyzontem oczekiwań – spotykają się w jednolicie zakreślonym „kole tematycznym", który został przez Beatę Nowacką nazwany „figurą granicy" i jest badany pod kątem także „przekraczania granic".

Część pierwszą autorka potraktowała jako „wprowadzenie do poetyki" twórczości Ryszarda Kapuścińskiego, a nie jako wypowiedź poetologiczną *sensu stricto*. Nie znajdziemy tutaj zatem – z punktu widzenia tradycyjnie rozumianej teorii literatury – rozważań nad czasem, przestrzenią, modelami narracji itd. Ten wzorzec poszukiwań teoretycznych odrzuciła bez żalu, uznając go za nieprzystający do analizowanej twórczości. Można by tę arbitralność uznać za zbyt pochopną. Warto jednak zapytać i o to, czy ustalenia podobnego typu, jakkolwiek zasadne i ważne, rzeczywiście dobrze komponowałyby się z częścią drugą rozprawy, w której Beata Nowacka, śledząc obecność Kapuścińskiego w świadomości literackiej czytelnika polskiego i obcego, pyta o reguły organizacji świata przedstawionego. Mówiąc inaczej: czy rudymentarne wnioski teoretyczne wchodziłyby w ścisłą zależność z rozważaniami o charakterze komunikacyjnym. Przyjmuję racje badaczki. Wydaje się, że związek taki byłby luźny, a sama praca nieuchronnie wprowadzałaby dwa oddzielne toki myślowe, z oczywistą szkodą dla całości rozważań. Dobrze zatem, że owo „wprowadzenie do poetyki" ma charakter w większej mierze interpretacyjny niż kodyfikacyjny. W ten sposób całość nabiera dynamiki, staje się głosem w dyskusji nad dorobkiem autora *Wojny futbolowej*, a także pokazuje ten dorobek jako terytorium stale zmiennych napięć interpretacyjnych.

Część dotycząca poetyki podzielona została na dwa rozdziały: pierwszy ma charakter genologiczny, drugi interpretacyjny. Pointa rozważań gatunkowych jest następująca: „Ryszard Kapuściński jest pisarzem. […]

Ale ani na moment nie przestał być reporterem, bo […] literackość nie jest jedynym walorem jego książek. […] Ryszard Kapuściński nie przekroczył granicy między dziennikarstwem i literaturą. On ją unieważnił". Pointa dociekań nad „figurą granicy" brzmi natomiast tak: „Ryszard Kapuściński pokazuje, że może ona [granica] funkcjonować w wielu, przeciwstawnych sobie kontekstach. Relatywizm granicy polega na tym, że jest przestrzenią, która jednocześnie dzieli i łączy. Wszystko zależy od tego jak się rozłożą akcenty. Tak pomyślany układ zamykający się w sferze dwu, biegunowo innych ujęć, pokazanych na przykładzie konkretu (np. szczelnie odrutowanych granic Imperium) i symbolu (a więc – drzewa, postrzeganego tu jako wzorcowy przykład znoszenia wszelkich barier, szczególnie tych międzyludzkich) daje się ujrzeć również w perspektywie globalnej".

Akcentuję te dwie pointy – nie bez ukrytej intencji. Otóż w *Magicznym dziennikarstwie* gatunek literacki, przez który – wedle dawnego spostrzeżenia Kennetha Burke'a – piszący przyjmuje bądź odrzuca świat, mówi mu „tak" lub „nie", i „figura granicy" (przecież także kategoria wewnątrztekstowa, kategoria poetyki), „pojęcie dające się ujrzeć w perspektywie otwarcia, spotkania, wymiany i dialogu, nie zaś kategoria akcentująca obcość i hermetyczność oddzielonych nią światów", łączą się z sobą bardzo wyraźnie. Kapuściński w wyborze gatunku chce powiedzieć światu „tak", a „figura granicy", znosząca przedziały między obliczami i terytoriami świata, pomaga mu w tym znakomicie. Nie potrzeba było dalej idących rozważań poetologicznych, aby uchwycić tę koronną cechę pisarstwa autora *Hebanu*.

W tej części rozprawy pojawiło się kilka nowych i dobrze omówionych wątków. Wskażę na jeden, najważniejszy, mianowicie na ten, w którym badaczka koryguje przynależność pisarza do nurtu tzw. „nowego dziennikarstwa". We *Wstępie* Beata Nowacka najpierw pisze tak: „wpływ «nowego dziennikarstwa» na twórczość Ryszarda Kapuścińskiego jest – wbrew temu co się powszechnie sądzi – znikomy i jako taki niczego nowego do refleksji nad twórczością autora *Hebanu* nie wnosi" później w rozdziale genologicznym: „Lokalizacja tego pisarstwa w obrębie «nowego dziennikarstwa», choć niejednokrotnie sugerowana nawet przez samego Kapuścińskiego, nie może być jednak przyjmowana bez zastrzeżeń i absolutnie nie daje odpowiedzi na pytanie o miejsce tej twórczości na mapie gatunków literackich". Po rzetelnym przypomnieniu technik pisarskich „nowego dziennikarstwa", takich jak: literackość reportażu, chronologia akcji, realistyczność dialogu, trzecioosobowa narracja czy dbałość o konkret, autorka powiada: „Niektóre z przedstawionych technik dałoby się bez trudu odnaleźć w pisarstwie Kapuścińskiego", ale zaraz pokazuje na czym polega zwodniczość podobnego pokrewieństwa: „Można powiedzieć, że cechą łączącą te dwa typy dziennikarstwa jest ich ciążenie ku literaturze. Na tym jednak to podobieństwo się kończy […]. Literackość forsowana przez *The New Journalism* ma raczej charakter zewnętrzny. Sprowadza się do stosowania technik literackich, m.in. dialogów, narracji trzecioosobowej, opisu szczegółu. Literackość utworów Kapuścińskiego ma zupełnie inny wymiar: określony przez bogactwo kontekstów, uniwersalne przesłanie, ponadczasowość i wielość interpretacji. Innymi słowy, autor *Szachinszacha* – inaczej niż przedstawiciele «nowego dziennikarstwa» – skłania się ku temu, co jest istotą literatury".

W części drugiej autorka uważnie śledzi recepcję całego bez mała dorobku Ryszarda Kapuścińskiego, a więc od pierwszego znaczącego reportażu gazetowego *To też jest prawda o Nowej Hucie* (1955) po książkową edycję *Hebanu* (1998). Metodologicznym uzasadnieniem tego rozdziału jest studium Hansa Roberta Jaussa *Literaturgeschichte als Provokation der Literaturwissenschaft* (1967, w polskim przekładzie Ryszarda Handkego), w którym po raz pierwszy w literaturoznawstwie światowym podjęto – w obrębie historycznego procesu rozumienia literatury – propozycję połączenia odbioru czytelniczego ze społecznymi i komunikacyjnymi funkcjami dzieła sztuki słowa. Beata Nowacka w sposób możliwie wierny postulaty niemieckiego uczonego przyłożyła do twórczości autora *Cesarza*. Napisała: „Przedstawienie recepcji książek Kapuścińskiego – jako fenomenu na skalę światową – to temat, który od dawna domagał się opisu. Fakt, że taka próba […] nie została wcześniej podjęta, wynika ze słusznego, jak sądzę, przekonania, że opracowanie takiego tematu jest zadaniem karkołomnym i praktycznie niewykonalnym".

Opierając się na bogatym stanie badań (polskim i anglojęzycznym), Autorka w sposób modelowy wykreśliła ważniejsze wektory recepcji dzieła Ryszarda Kapuścińskiego. Zainteresował ją, oczywiście, krajowy i zagraniczny wariant tej recepcji, lecz, w istocie rzeczy, zapytała o co innego: o stopień lekturowej wzajemności, która jest niezależna od miejsca, w jakim dana lektura ma miejsce. Mówiąc inaczej: Beacie Nowackiej chodziło o wyznaczenie takiej „średniej lekturowej", która wchodziłaby w ścisły związek zarówno z problematyką, jak też poetyką utworu. Albo jeszcze inaczej: o ustalenie wspólnego horyzontu oczekiwań czytelniczych i wspólnej dla niego przestrzeni komunikacyjnej.

Opisowi recepcyjnemu zostało zatem poddanych, oprócz debiutanckiego reportażu *To też jest prawda o Nowej Hucie* (1955), dziesięć książek Ryszarda Kapuścińskiego: *Busz po polsku* (1962), *Kirgiz schodzi z konia* (1968), *Chrystus z karabinem na ramieniu* (1975), *Jeszcze dzień życia* (1976), *Wojna futbolowa* (1978), *Cesarz* (1978), *Szachinszach* (1982), *Lapidarium* (1990, 1995, 1997), *Imperium* (1993) oraz *Heban* (1998). Każdy z podrozdziałów tej części jest właściwie osobnym szkicem, dobrze udokumentowanym, precyzyjnie ważącym racje różnych stron dialogu krytycznego. Czynność badawcza nie należała tu do najprostszych; ostatecznie, nie chodziło tutaj o zwykłe zdanie sprawy z lektury rozmaitych tekstów (ważnych i błahych), lecz o takie uchwycenie głównego wątku myśli krytycznej, który można by uznać za kategorię wewnątrztekstową (więc: kategorię poetyki).

Beacie Nowackiej, jak się zdaje, udało się – przynajmniej w znacznej mierze – tak poszeregować dostępny jej materiał, by rys interpretacyjny stawał się zarazem rysem metodologicznym, a w konsekwencji – wiernie rekonstruował ów, niedostępny potomnym, kształt odbioru dzieła *in illo temporis*. I co ważne: by uświadamiał mieszkańcom czasu przeszłego, że w swoich przeczuciach otwierali także takie drzwi do nowych domów, o których im się wtedy nie śniło. Dlatego trzeba wybaczyć autorce jej „retorykę skromnościową", gdy napisała w zakończeniu swej pracy: „Uważna lektura ponad siedmiuset konkretnych tekstów krytycznych, zebranych z dziesiątków czasopism pozwoliła na stworzenie pewnego wzorca lekturowego, w ramach którego dają się ujrzeć reportaże Kapuścińskiego. Trzeba jednak mieć świadomość, że przedstawione tu modele lektury, to jednak arbitralnie prze-

prowadzony wybór kilku wzorców interpretacyjnych wobec nieskończonej liczby możliwych. Zastosowanie takiej ułamkowej perspektywy jest więc na pewno wadą całego przedsięwzięcia, jednakże ma ono również pewną zaletę: pozwala ujrzeć wielowymiarowość reportaży, które w zależności od miejsca, czasu, ale i zdolności interpretacyjnych czytelnika, zyskują nowe odczytania".

Skromność autorki, wyrażająca się w przywołaniu „ułamkowej perspektywy […] całego przedsięwzięcia", łączy się tutaj z przekonaniem, że istnieje jakaś wiarygodna metoda opisu wszystkich interpretacji poszczególnych, albo inaczej: że badaczowi powinna udać się próba wypośrodkowania sądów kreślonych z rozmaitych pozycji krytycznych i światopoglądowych. Otóż ten przesąd powinniśmy tutaj uchylić. Takiej metody nie ma, a nawet gdyby istniała, byłaby nadzwyczaj nudna. To dobrze, że badacz kieruje swój wzrok ku tym najlepszym, charakterystycznym, typowym bądź reprezentatywnym odczytaniom tekstu; gdyby chciał wszystkie jednakowo kwalifikować – jego perspektywa poznawcza musiałaby ulec zachwianiu, a on sam pewnie nie byłby zdolny do wypowiedzenia sądu własnego. Dlatego to „szlachetne ubezpieczenie" potraktować trzeba jako marzenie o wzorcu idealnym, którego – jak dobrze wiemy – nie ma i nigdy nie było. Nie trzeba być skromnym, gdy tak wiele się zrobiło dla ukazania rozmaitych sposobów funkcjonowania pisarstwa Ryszarda Kapuścińskiego w społecznym modelu odbioru jego tekstów.

Późniejsze badania Beaty Nowackiej także koncentrowały się zasadniczo na pisarstwie Kapuścińskiego. Myślę tutaj o książkach: *Ryszard Kapuściński. Biografia pisarza* (Kraków 2008, wespół z Zygmuntem Ziątkiem; później wiele tłumaczeń na języki obce), *Cesarz* Ryszarda Kapuścińskiego (Wrocław 2012, BN I, 315), *Literatura non-fiction. Czytanie Kapuścińskiego po Domosławskim* (Katowice 2013, wespół z Zygmuntem Ziątkiem). Badania te zostały jednak poszerzone o twórczość Melchiora Wańkowicza i refleksję nad geopoetyką, tj. problematyką literatury i przestrzeni.

Są to studia, by tak rzec, niejednorodne. Niejednorodność wyraża się w tym, że zamiast zbiorów jednoczących różne studia, mamy do czynienia z pracami rozproszonymi w różnych zbiorach. W moim przekonaniu ów niejednorodny zestaw prac broni się zarówno intelektualnym pomysłem, jak i literaturoznawczą techniką wykonania, która każdorazowo jest świetna. Autorka z wielką swobodą, kompetencją i elokwencją porusza się po polskim reportażu XX wieku, odnajdując w nim to, co najciekawsze: tożsamość miejsca, piękno krajobrazu, osobniczość ludzi – i, co najciekawsze: idiolekt reportera, który nie chce być wyłącznie odtwórcą rzeczywistości obserwowanej, ale także jej – w sposób naturalny – twórcą. Warto chyba zaznaczyć zasadniczą różnicę w ujmowaniu pisarstwa Wańkowicza i Kapuścińskiego. Pierwszy jest retorem i kreacjonistą, drugi – stylizatorem i realistą. Obaj mierzą się nie tylko z *mimesis* jako filozofią przedstawienia, a także z poetyką doświadczenia – przestrzeni i człowieka (obcego, swojego, nowego). Obaj są pisarzami „żywiołów", ale u każdego z nich inaczej to się przejawia.

Beata Nowacka ową „poetykę żywiołów" szczególnie eksponuje u Wańkowicza. Autor *Ziela na kraterze* nie jest przez nią widziany przez poetykę dzieła osobniczego, ale w ujęciach konfrontatywnych. Wańkowicz jako reporter ustawiany zatem będzie zawsze „wobec": Józefa Samulskiego (wątek kanadyjski), Henryka Sienkiewicza (wątek amerykański) Octavia Paza (wątek meksykański). Jeżeli będzie mowa o antropologicznej problematyce domu, zakorzenienia czy wykorzenienia, badaczka sięgnie do myśli Simone Weil; jeżeli zastanawiać się będzie nad sensem sztuki, z pomocą przyjdzie jej Antoni Kępiński. Tym, co najistotniejsze w pisarstwie naukowym Beaty Nowackiej, jest to, że każdorazowo mamy do czynienia z porządną polonistyczną robotą. Żadnych tu nie ma ucieczek od problematyzowania, żadnego zwolnienia od dokładnego, całościowego ujęcia zagadnienia.

Melchior Wańkowicz jest widziany przez badaczkę przede wszystkim jako reporter, którego interesowały „losy Polaków na tle przemian historii". To prawda, ale dodać trzeba, że pisarstwo to obfituje w szczególnego rodzaju – jak przeczytamy w jednym z artykułów – „sensorium". Mierząc się z doświadczeniem egzystencji, wchłania w siebie także egzotykę miejsc i ludzi. Jeżeli Wańkowicz poznaje obce przestrzenie, to doświadczenie inności zawsze będzie u niego konfrontowane z polskością lub rodzimością. Inaczej niż u Ryszarda Kapuścińskiego, dla którego doświadczanie inności jest podstawą do ujęć kulturowych, panoramicznych obrazów, paraboli.

Nie chcę dalej przywoływać prac Beaty Nowackiej o Kapuścińskim, chcę natomiast na koniec zwrócić uwagę na te istotne cechy jej warsztatu naukowego, które uczyniły z niej autorytet badawczy, jeśli chodzi o dzieło i biografię Kapuścińskiego. Otóż uczona w badaniach recepcyjnych nie posiłkuje się plotką, by wydobyć jakiś sens; nie sięga do niesprawdzonej informacji, by uzasadnić efektowną tezę interpretacyjną. Wychowanka szkoły polonistycznej, gdzie fakt literacki jest ważniejszy od domniemania – w śladach obecności, znaku recepcyjnym, poszukuje odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Reportaż jest gatunkiem najlepiej uwidoczniającym kulturowe zgodności i wykluczenia, dlatego też nie dziwi, że autorka *Magicznego dziennikarstwa* bardziej zmierza w stronę kulturowej teorii/historii literatury, że odnajduje się w propozycjach metodologicznych właściwych geopoetyce. Innej drogi chyba, rzeczywiście, nie ma przed sobą.

Widać to także w warsztacie edytorskim Beaty Nowackiej. Dzisiaj pewnie już nie jest tak, jak kiedyś, ale opracowanie tekstu w Bibliotece Narodowej uchodziło za ważne osiągnięcie naukowe, osiągnięcie pozycji, wejście do rankingu uczonych niepoślednich. Badaczka opracowała *Cesarza* – ale z jakim smakiem, *charme'em* i elokwencją! Najpierw spojrzała na biografię pisarza (horyzonty Herodota, Conrada i Malinowskiego), następnie – na dzieło samo od strony stylu, tematów i powinowactw. Te „horyzonty", czyli przyjęcie strony, postawy czy filozofii właściwej owym antropologom dawnego świata, dobrze odpowiadają wizerunkowi Kapuścińskiego. Tym, co w jakimś sensie wyróżnia publikację Nowackiej, jest to, że wciąż mówi ona o trudnych sprawach językiem niebywale prostym i żywym. Szczególnie warto zaakcentować fakt, iż pisząc o Kapuścińskim jako „tłumaczu innych kultur", umiejętnie pokazuje to na kilku płaszczyznach jednocześnie: autorefleksji pisarskiej, świadomości estetycznej (recepcji) oraz problematyki utworu. Interpretacja biegnie śladem innych, ale dopiero ze zderzenia wiedzy powszechnej, przeniesienia jej na rzeczywistość przedstawień, usytuowania w odpowiednim kontekście społecznym, historycznym i kulturowym daje zupełnie nową wartość poznawczą. Tak odkrywa się pełnia oglądu utworu.

Literackiego i kulturowego. ■

fot. filmoteka.bs.katowice.pl

Prof. Maria Pawłowiczowa

Dwoje „księgolubów”

KATARZYNA SZKARADNIK

„W domu Państwa byłam po raz drugi wraz ze studentami podczas wakacji, gdy pracowaliśmy na obozie naukowym” – przypominała prof. Maria Pawłowiczowa Józefowi Pilchowi, pisząc do niego 14 marca 1987 r. „Pan był wówczas chory, w sanatorium (?), z żoną nagraliśmy wywiad o bibliofilstwie. Studenci nawet zadali pytanie, czy to łatwo być żoną »księgoluba« – było wtedy dużo śmiechu”. Zważywszy, że w bieżącym roku minęło pięć lat od śmierci autorki listu – zasłużonej wykładowczyni w Instytucie Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej Uniwersytetu Śląskiego – warto nakreślić jej sylwetkę w kontekście przyjaźni z adresatem oraz tematów ich korespondencyjnych pogawędek.

Urodzona koło Stanisławowa w 1923 r., wojnę spędziła w Mielcu, ucząc się do matury na tajnych kompletach i angażując w konspirację spod znaku AK. Po ukończeniu technikum księgarskiego prowadziła księgarnie w Bielsku i Krakowie, następnie podjęła studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Katowicach, a od 1972 r. pracowała na Uniwersytecie Śląskim; udzielała się też m.in. w Śląskim Towarzystwie Naukowo-Literackim i w oddziale Polskiego Towarzystwa Bibliologicznego. Naczelną domenę jej zainteresowań stanowiły dzieje polskiej kultury literackiej na Śląsku Górnym i Cieszyńskim od XVII w. do końca I wojny światowej. W szczególności zaś, jak to wyczerpująco ujęła Irena Socha w biogramie w „Śląskich Miscellaneach” (1994, t. 7), Pawłowiczowa „badała i opisywała polskie księgozbiory na Śląsku – prywatne, publiczne, związkowe, szkolne, kościelne i zakonne, pokazując bogactwo, oryginalność i różnorodność kultury regionu jako integralnej części polskiego dziedzictwa kulturalnego, a przede wszystkim wielość jej inspiracji intelektualnych i duchowych, także różnowierczych i obcojęzycznych”.

Z Józefem Pilchem (1913–1995) – humanistą samoukiem, bibliofilem, historykiem amatorem, pamiętnikarzem, biografem, działaczem spółdzielczym i kulturalnym związanym z Ustroniem – połączyły ją właśnie zainteresowania regionalistyczne. Jak zasygnalizowałam, można tu chyba nie na wyrost mówić o przyjaźni, mimo że autor *Polskich pierwodruków cieszyńskich* odczuwał respekt wobec osób z tytułami naukowymi i miał kompleks autodydakty oraz mimo że epistolarne ślady ich zażyłości są nieliczne. W domowym archiwum Pilchów na Gojach zachowało się pięć listów od Pawłowiczowej; pochodzą one z okresu 1987–1988, z wyjątkiem liściku z 1994 r. towarzyszącego zaproszeniu na sesję naukową pt. „Książka polska na Śląsku w latach 1922–1945”. W zbiorze tym można znaleźć także cztery karty świąteczno-okolicznościowe do regionalnego historyka, a dodatkowo list do wdowy po nim (napisany w 1997 r.) z pytaniem o losy jego księgozbioru. *Notabene*, wśród korespondencji oficjalnej przetrwał list z 1980 r. od Adama Jarosza, nawiązujący do wzmiankowanej tu już wizyty; kierownik Zakładu Bibliotekoznawstwa UŚ dziękował w nim Helenie Pilch „za umożliwienie członkom obozu naukowego zapoznania się z gromadzonym księgozbiorem”. Przy okazji trzeba napomknąć o wiadomościach od kilkorga magistrantów Pawłowiczowej, którzy za jej radą konsultowali się z ustrońskim koneserem białych kruków i korzystali z jego biblioteki. Do owego grona należała np. Agnieszka Koszowska, przygotowująca rozprawę o serii publikacji z zakresu wiedzy ezoterycznej, wydanych w międzywojniu w Wiśle i Cieszynie.

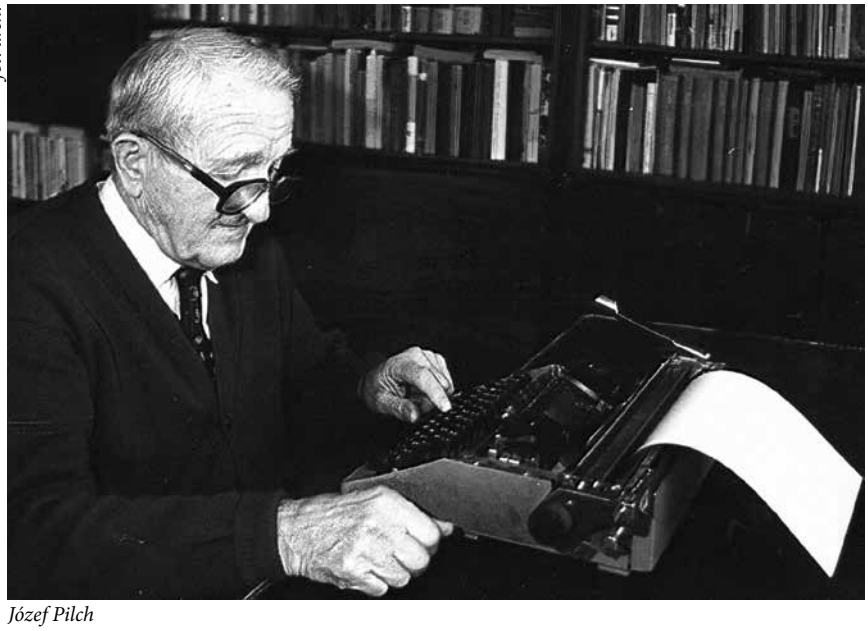

fot. arch.

Józef Pilch

O tym, jak katowicka badaczka ceniła dorobek samouka z przysiółka Goje, świadczyć może urywek listu z marca 1988 r.: „Dziękuję serdecznie za pamięć i przesłaną książkę o »Sile«. Przeczytałam ją jednym tchem, jest ona tak pasjonująca. Zapełnił Pan »białą plamę« na pamięci walki narodowej oraz na mapie kulturalnej Śląska Cieszyńskiego”. Chodzi o Robotnicze Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe „Siła”, założone z inicjatywy Tadeusza Regera, lidera Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej na Śląsku Cieszyńskim. Pilch z entuzjazmem udzielał się w tej młodzieżowej organizacji, występował w jej chórze i zespole teatralnym, a ukończywszy kurs, sam reżyserował sztuki; przede wszystkim zaś to dzięki

niej rozwinął w sobie czytelniczą namiętność i pęd do samokształcenia. Swój dług wdzięczności spłacił opracowaniem *Z dziejów Robotniczego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego „Siła" na Śląsku Cieszyńskim (1908–1939)*, opublikowanym przez Wydawnictwo Instytutu Śląskiego w Opolu.

Bliżej warto się przyjrzeć dwóm wiadomościom od Pawłowiczowej, które rzucają światło na portrety obojga bibliofilów. W przytoczonym już liście z 14 marca 1987 r. nadawczyni donosiła: „Serdecznie dziękuję za przemiły list i zainteresowanie się moją książką o Śląsku Cieszyńskim. Niestety, niski nakład spowodował wiele kłopotów. Dla Państwa nabyła moja córka ten tytuł w Krakowie. […] W Cieszynie ukazała się już ciekawa recenzja dra Tadeusza Kani. […] wynika z niej, że nikogo swą książką nie uraziłam, natomiast […] »dorobiłam« 100 lat zapomnianej już historii kultury. Zwykle bowiem podobne rozważania zaczynają się od Wiosny Ludów. […] Książkę moją Państwu przesyłam w prezencie. I miło mi, że będzie miała ona takich Czytelników!!". Mowa o monografii *Książka polska i biblioteka na Śląsku Cieszyńskim w latach 1740–1920*, na podstawie której autorka otrzymała habilitację i o której wymieniony socjolog zawyrokował na łamach „Głosu Ziemi Cieszyńskiej": „Jako kompendium wiedzy o drukarniach, księgarniach, wydawnictwach, bibliotekach, stowarzyszeniach pracujących z książką i o technice jej wytwarzania w Cieszyńskiem praca ta zadowala przede wszystkim kompetentnych znawców problemu".

Dalej Pawłowiczowa wprowadziła osobistą retrospekcję: „Miło mi, że wspomina Pan w swym liście mój pobyt w Ustroniu z »Ludwiczkiem«. Tak, to były niezapomniane chwile". Przywołaną postacią jest jeden z najbliższych przyjaciół Pilcha, Ludwik Brożek – bibliotekarz, muzealnik i bibliograf, zaliczany do najznakomitszych ekspertów z zakresu kultury i piśmiennictwa Śląska Cieszyńskiego. W latach 30. pełnił on funkcje m.in. współredaktora „Zarania Śląskiego" oraz adiunkta w Bibliotece Sejmu Śląskiego w Katowicach, po wojnie był kustoszem muzeum w Cieszynie i kierownikiem Oddziału Zabytkowego Biblioteki Śląskiej. Tamtą wizytę z 1975 r. Pilch odnotował na gorąco w dzienniku: „Odwiedził nas Brożek z dr Marią Pawłowiczową z Katowic. […] potrafił bez przerwy biegać około szaf bibliotecznych, przyklękać do niższych półek, wyciągać, szybko przesuwać kartki, wyrywkowo czytać, i tak od godz. 15 do 18 – i nie zmęczył się".

Z kolei nadawczyni snuła w liście reminiscencje: „Penetrowaliście wówczas swoje »skarby« – książki i poczt-

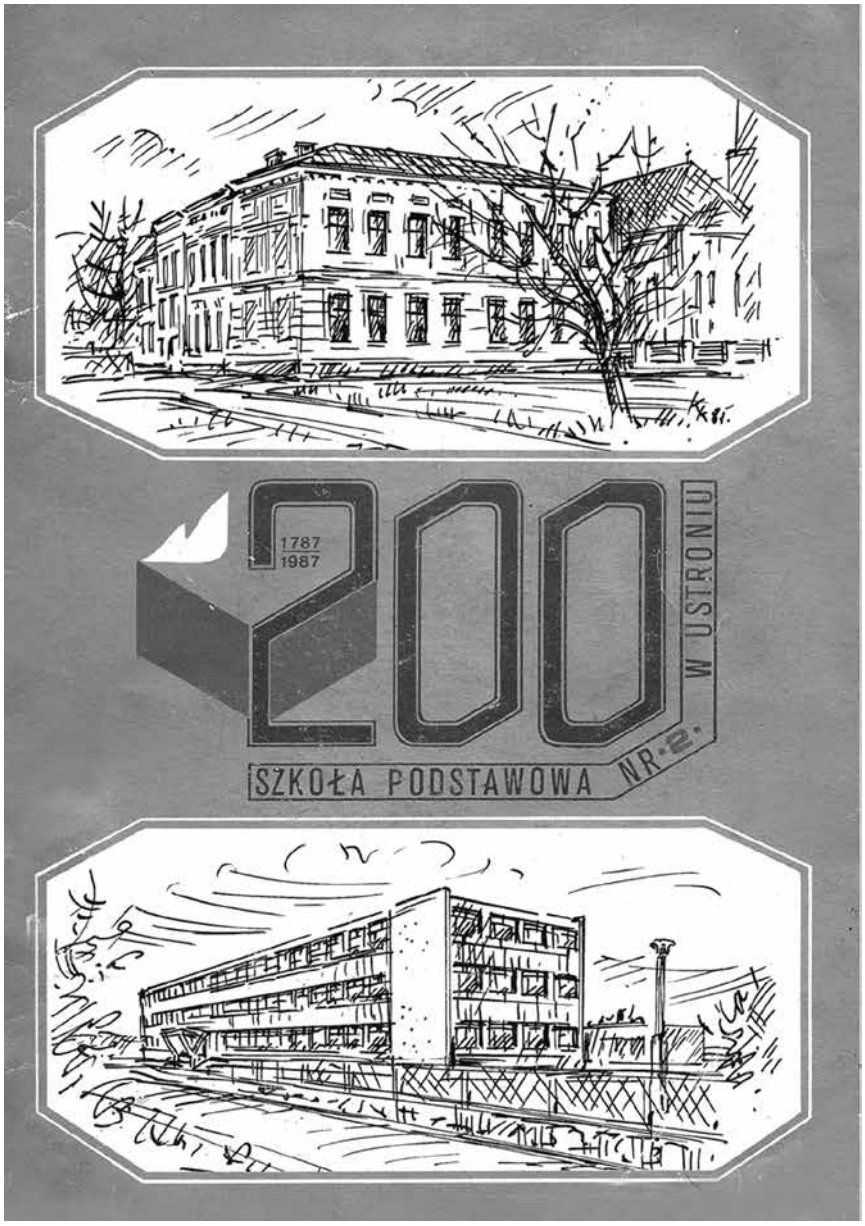

ówki. – Ukryte były w różnych zakamarkach, na półkach, w tapczanie. W pewnym momencie obydwaj leżeliście na ziemi i gorliwie targowaliście się o jakieś książki. Ponadto nie mogliście dokładnie ustalić, gdzie znajdowały się domy pokazane na pocztówkach Cieszyna. To były czasy!! Często wspominam je, a ta torba wyciągnięta przez dra Brożka była, o ile ja pamiętam, schowana w przedpokoju za drzwiami. Ażeby Pan nie podejrzewał go o jakieś niecne zamiary. Tak mi potem tłumaczył, bo widziałam, jak ją ukrywał przed wejściem do pokoju. Tak pracują prawdziwi bibliofile, ale gdzie ich teraz szukać?". Ów humorystyczny epizod, do którego nawiązywała Pawłowiczowa, Pilch 12 lat wcześniej przedstawił w dziennikowej relacji następująco: „Znalazł [Brożek] 7 książek, na których mu zależało – jeden pamiętnik z lat 1914–1939, a reszta rozprawy filozoficzne, jedna wydana w r. 1873 w Lipsku. Wyczułem, że chciałby je posiadać, więc powiedziałem, że […] mu ofiaruję. Biorę do ręki wspomniane egzemplarze, aby je zapakować, a wtedy wyciąga z kieszeni poskładaną torbę kartonową ze słowami: »Nie trzeba, ja mam«. Huknęliśmy wszyscy śmiechem. »Skąd wiedziałeś, że ja ci dam jakieś książki?« – pytam, a on odpowiada: »Przy odwiedzinach [u] bibliofila torba jest zawsze potrzebna«". Nadawczyni listu powróciła jeszcze do tamtej sytuacji w zakończeniu: „Równocześnie zapytuję metodą »Ludwiczka«, który chodził z torbą, czy nie można gdzieś zdobyć wśród Cieszyniaków korespondencji P. Stalmacha wydanej przez Homolę (1969) lub *Z dziejów cieszyńskiego drukarstwa*, red. A. Gładysz (1982), czy też o Macierzy [Szkolnej] jako »bastionie polskości« (1985) – naturalnie, za zwrotem kosztów! Te luki w moim zbiorze cieszynianów powodują liczne perturbacje, zwłaszcza gdy chodzi o lokalizację przypisów".

O ile treść omówionej wiadomości ogniskowała się wokół monogra-

fii Pawłowiczowej i tytułów przez nią poszukiwanych, o tyle rok później, w Wielkanoc 1988 r., przedmiotem jej korespondencji z Pilchem stała się pozycja *200 lat Szkoły Podstawowej nr 2 (obecnie im. Jerzego Michejdy) w Ustroniu (1787–1987)*, którą opracował adresat wspólnie z Alojzym Waszkiem. „Serdecznie dziękuję za cenną książkę i wspaniały list. Szkołą w Ustroniu interesowałam się ze względu na jej ucznia Gajdzicę oraz Polskie Kółko Pedagogiczne tam założone przez nauczycieli" – komunikowała bibliotekoznawczyni. Miała na myśli, oczywiście, Jurę Gajdzicę z Małej Cisownicy – pierwszego znanego polskiego chłopa-pamiętnikarza, posiadacza ekslibrisu i jednego z protoplastów plebejskich „księgolubów" na Śląsku Cieszyńskim. Z kolei wzmiankowana organizacja powstała w 1888 r. z inicjatywy Jerzego Kubisza i Jerzego Michejdy w celu szerzenia świadomości narodowej, języka polskiego w oświacie i historii Polski w programie nauczania, a po ośmiu latach została przekształcona w Polskie Towarzystwo Pedagogiczne, które przed I wojną światową zrzeszało ponad 500 członków w pięciu kołach.

Pawłowiczowa dzieliła się ze współautorem okolicznościowej książeczki wrażeniami z jej lektury. „Z nadesłanej publikacji dowiedziałam się wielu nowych rzeczy, poznałam zasłużonych […]. Okazuje się, że prof. Adam Lipowczan, absolwent szkoły Waszej, jest kolegą mego męża, i mogę mu pogratulować, iż z tak zacnego »gniazda« wyszedł. Sądzę, że nauczyciel Paweł Lipowczan był jego ojcem". Tu wypada dodać, że pierwszy z wymienionych – specjalista w zakresie bhp i inżynierii środowiska – podobnie jak prof. Kazimierz Pawłowicz należał do pracowników naukowych Głównego Instytutu Górnictwa. Drugi, wuj Adama, był pedagogiem, działaczem społecznym i narodowym, w latach 30. kierownikiem szkoły jubilatki, ponadto m.in. prezesem koła Macierzy Szkolnej i członkiem zarządu powiatowego PTT „Beskid Śląski", a zginął w obozie w Dachau. Pilch z wielką czcią i sympatią wspominał Pawła Lipowczana jako wychowawcę swojej klasy i sporządził jego biogram, zamieszczony w *Śląskim słowniku biograficznym* (t. 3).

Potwierdzenie sentymentu bibliofila z Gojów do przywołanej placówki stanowi niespodziewanie zachowany w jego archiwum domowym, pośród nielicznych innych kopii maszynopisów, brulion wiadomości do Pawłowiczowej z 17 kwietnia 1988 r. – odpowiedź właśnie na jej list z Wielkanocy. „Cieszę się, że moja skromna próbka badań dziejów Szkoły Podstawowej nr 2 w Ustroniu przypadła Pani do gustu. Trochę pracy, a jeszcze więcej serca do niej włożyłem" – wyznawał nadawca. „Nic dziwnego. Była to przecież jedyna szkoła, do jakiej w swoim życiu uczęszczałem, żegnałem ją z płaczem. Dalsze okruchy wiedzy zbierałem tylko jako samouk czy też za pośrednictwem kursów zaocznych". Pilch nie mógł kształcić się dalej, gdyż jako najstarszy syn ubogiej wdowy musiał zacząć zarabiać na utrzymanie rodziny, mimo że wykazywał zapał i duży potencjał. Nawiązując do dokumentu opublikowanego w książeczce, Pawłowiczowa informowała: „[P]odobało mi się świadectwo Pana – wnuk podziwiał same piątki i pyta, jak Pan je »produkował«". Adresat wyjaśniał więc babci zainteresowanego: „Uczęszczałem od pierwszej aż do siódmej klasy z obecnym wybitnym uczonym prof. Janem Szczepańskim, próbowałem rywalizować z nim i to zmuszało do nauki. Mówiąc prawdę, to Janek zdolnością, pamięcią górował nade mną. Zdarzało się [jednak] niekiedy, że udało mi się go doścignąć".

Choć bibliofilskim zwyczajem badaczka odwdzięczała się dziejopisowi własnymi opracowaniami, nie chciała przyjąć za darmo owego jubileuszowego druku. „[Z]wróciłam się z prośbą o sprzedanie mi jednego egzemplarza książki do szkoły w Ustroniu. Dostałam odpowiedź, że mam przysłać 255 zł – co rychło uczynię. A nadesłaną książkę będę mogła Panu zwrócić, aby Pan nie musiał o nią prosić, ani też próbować »wycyganić« od tak zasłużonej placówki. Czy odpowiada Panu mój plan?". Rzecz jasna, Pilch zaoponował: „Przesłanego egzemplarza proszę nie zwracać. Kiedy powiedziałem kierownikowi, że swój podarowałem jednej pani z Katowic, sprzedał mi zaraz dwa. Dowiedziałem się, że mają jeszcze 70 egz[emplarzy], które trzymają tylko dla specjalnych gości. Poza tym mają wystarczyć na następne dwusetlecie".

Tak czy owak, „jako skromny rewanż za pamięć i życzliwość" Pawłowiczowa wysłała przyjacielowi „kilka dawniejszych już nadbitek moich prac. Nowych nie mam – wspomnienie o prof. Zarembie zawarte w »Zaraniu Śląskim«, z. 1/2, 1985, zapewne Państwo posiadają". Trzeba nadmienić, że Jan Kazimierz Zaremba, pierwszy prorektor WSP w Katowicach, potem dyrektor Instytutu Filologii Polskiej UŚ, kierował pracami nad bibliografią *Śląski Korbut*, do której nadawczyni listu przygotowała liczne hasła, sprawowała ponadto funkcję sekretarza jej redakcji. „Zwracam też uwagę – sygnalizowała dalej – że mój artykuł o stypendium imienia J.I. Kraszewskiego udzielanym cieszyńskiej młodzieży znajduje się w »Zaraniu Śląskim« (IV/VI) 1974, nr 2 – jest to uzupełnienie nadbitek, które przesyłam". Tu odsłania się dodatkowa spójnia Pawłowiczowej z subregionem, gdzie mieszkał jej korespondent: stopień doktora uzyskała na podstawie rozprawy pt. *Rola J.I. Kraszewskiego w ruchu narodowym na Śląsku Cieszyńskim (1848–1920)*. Również później uczestniczyła w ruchu kulturalnym Cieszyna, w związku z czym dwójka „księgolubów" spotykała się nie tylko za pośrednictwem epistolografii, lecz także osobiście. W lutym 1993 r. badaczka przyjechała do Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa w Ustroniu na uroczystość 80-lecia urodzin Pilcha i odczytała list gratulacyjny w imieniu Instytutu Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej UŚ.

Niekiedy treść krążącej między nimi korespondencji bywała bardziej zaskakująca; np. w kwietniu 1987 r. Pawłowiczowa wyznawała: „Z dużą radością przeczytałam też list długi i wyczerpujący, obrazujący życie Państwa. Miło słyszeć pochwały kobiecej pracy. A niesubordynacja owczych matek ubawiła całą moją rodzinę, z wnukami włącznie. Wierzę jednak, że Pan ma z tym wiele kłopotu". W domostwie Pilchów na Gojach – stałym punkcie na mapie wojaży śląskich bibliofilów – katowicka naukowczyni pojawiła się, oprócz „służbowego" wypadu ze studentami oraz wizyty w towarzystwie Brożka, również w 1990 r. Zanotowała wtedy w księdze odwiedzin: „Z całego serca dziękuję za gościnę; kontakt z ogromną wiedzą gospodarza przynosi jak zwykle samą radość; a pozwala dom ten odetchnąć atmosferą tajemniczego ducha zielonej ziemi cieszyńskiej, pięknej i kulturalnej". Co ciekawe, znajduje się tam także wpis Pawłowiczowej z owego pierwszego pobytu w 1975 r., zakończony życzeniem: „Opuszczam dom ustrońskiego bibliofila z nadzieją, że tu kiedyś powrócę". Obok niego widnieje wymowna adnotacja: „Dzięki Bogu, powróciłam po 15 latach". ■

Tekst opracowano na podstawie tomu *„W atmosferze ksiąg, gór i bliskich dusz". Wybór korespondencji Józefa Pilcha z lat 1936–1995*, opublikowanego pod koniec 2020 r. z okazji ćwierćwiecza śmierci ustrońskiego bibliofila. Można tam znaleźć również listy m.in. Jana Wiktora, Wilhelma Szewczyka, Jana Miodka, Jana Szczepańskiego, Ryszarda Gabrysia, Alojzego Targa, Marii Wardasówny, Leona Marszałka czy Władysława Oszeldy. Osoby zainteresowane tą pozycją redaktorka zachęca do kontaktu: katka.szkaradnik@gmail.com

KSIĄŻKI NADESŁANE

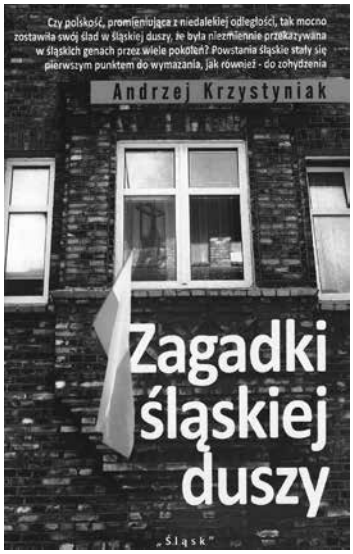

Andrzej Krzystyniak, *Zagadki śląskiej duszy*. Wydawca: "Śląsk" Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2021.

Maciej Malinowski, *Polszczyzna, głuptasie! Dylematy poprawnościowe i ciekawostki*. Wydawca: "Śląsk" Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2021.

Aleksandra Kuzior, Dariusz Krawczyk, *Wybrane aspekty komunikacji i zarządzania w turbulentnym środowisku*. Wydawca: "Śląsk" Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2021.

Stefan Pastuszewski, *Krótka historia literatury w Bydgoszczy*. Wydawca: Instytut Wydawniczy "Świadectwo", Bydgoszcz 2020.

Jerzy Ciurlok, *Mała wielka księga drogi*. Wydawca: Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2021.

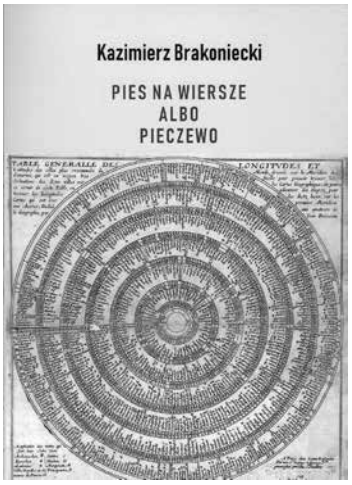

Kazimierz Brakoniecki, *Pies na wiersze albo pieczewo*. Wydawca: Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2021.

Rafał Jaworski, *Miasto i rubieże słowa*. Wydawca: Wydawnictwo św. Macieja Apostoła, Lubliniec 2021.

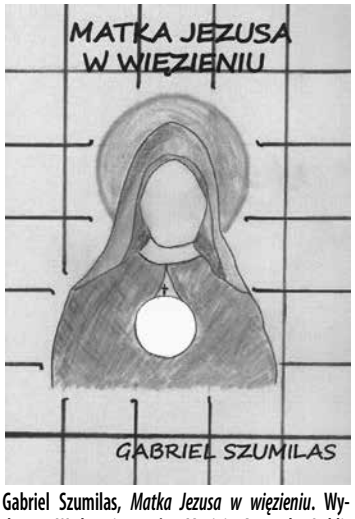

Gabriel Szumilas, *Matka Jezusa w więzieniu*. Wydawca: Wydawnictwo św. Macieja Apostoła, Lubliniec 2020.

Twarz Boga Ojca. Antologia literacka. Wydawca: Wydawnictwo św. Macieja Apostoła, Lubliniec 2021.

Trójkąt Trzech Cesarzy na starej pocztówce ze zbiorów Stanisława Czekalskiego

Magia trójstyków

EDWARD WIECZOREK

Podobno trójstyki są modne (tak przynajmniej wyczytałem w jednym z opracowań na temat turystyki). Skoro tak, to nie wypada nic innego, jak udać się do dwóch trójstyków w naszym województwie: tego historycznego – zbiegu granic imperiów: rosyjskiego, austro-węgierskiego i niemieckiego – i tego współczesnego – zbiegu granic Słowacji, Republiki Czeskiej i Polski.

Turystyka przygraniczna

Granice od niepamiętnych czasów w mniejszym lub większym stopniu dzieliły państwa i ludzi. W czasach odległych były one raczej pojęciem abstrakcyjnym, dopiero w XIX i XX w. granice coraz bardziej się formalizowały i tym samym coraz częściej dzieliły. Po II wojnie światowej granice były szczególnie pilnie strzeżone. Nie inaczej było w Polsce. Jeszcze w latach pięćdziesiątych XX wieku poruszanie się w strefie nadgranicznej bez stosownego papierka (np. delegacji znakarza szlaków turystycznych itp.) było karalne, a zwłaszcza robienie zdjęć w promieniu 300 metrów od linii granicznej. Stąd też dotarcie, a nawet przekroczenie magicznej linii granicy było marzeniem niejednego turysty. Granica stanowiła „zakazany owoc", a wiadomo, że takie owoce najlepiej smakują. Turyści prowadzili prawdziwą „ciuciubabkę" z Wojskami Ochrony Pogranicza na bieszczadzkim Kremenarosie – trójstyku granic ZSRR, Czechosłowacji i Polski.

Potem zliberalizowano przepisy i jeśli szlak biegł wzdłuż granicy, bez problemu (z wyjątkiem przepisów okresu stanu wojennego) można się było nim poruszać.

Już po zmianach ustrojowych w latach dziewięćdziesiątych XX w. zwiększono możliwość przekraczania granicy z Czechami i Słowacją na tzw. przejściach turystycznych, usytuowanych na szlakach – głównie w górach, zaś wejście Polski do strefy Schengen umożliwiło przekraczanie granicy strefy w dowolnym miejscu. Mimo to granice mają jakąś szczególną magię. W mediach społecznościowych roi się od zdjęć na tle tablic i słupków granicznych (choć jeszcze dziś przekroczenie granicy wschodniej grozi karą 500 zł grzywny).

Interesującym zajęciem stało się też poszukiwanie w terenie śladów granic już nieistniejących. Dotyczy to głównie dawnych znaków i budowli granicznych. Szczególnie łatwo można to zaobserwować na dawnej granicy polsko-niemieckiej w centralnej części aglomeracji górnośląskiej czy granicy prusko-austriackiej w powiecie pszczyńskim (Pawłowice). W górach często spotyka się słupy dawnej granicy niemiecko-czechosłowackiej, na których D jak Deutschland przerobiono na brzuszek litery P jak Polska (np. w Błędnych Skałach w Górach Stołowych), lub granicy niemiecko-słowackiej z czasów II wojny światowej (np. na południowym stoku Policy w masywie Babiej Góry).

Podobnie intrygujące są trójstyki granic.

Czy nowa moda?

Choć trójstyki to „modny" produkt turystyczny, ogranicza się w Polsce jednak do 6 miejsc.

TRÓJSTYKI GRANIC W POLSCE

Bołcie (gmina Wiżajny) – Federacja Rosyjska, Litwa i Polska

Stanowisko (gmina Giby) – Litwa, Białoruś i Polska

Orchówek (gmina Włodawa) – Białoruś, Ukraina i Polska

Kremenaros (Krzemieniec 1221 m n.p.m. gmina Lutowiska) – Ukraina, Słowacja i Polska

Trzycatek (gmina Istebna) – Słowacja, Czechy i Polska

Porajów (gmina Bogatynia) – Czechy, Niemcy i Polska

Trójkąt Trzech Cesarzy na starej pocztówce ze zbiorów Stanisława Czekalskiego

Naukowcy zajmujący się turystyką uważają, że punkty styku granic trzech państw – tzw. trójstyki – stają się coraz większą atrakcją turystyczną. Wykorzystuje się ich potencjał i zaczynają one być zarówno atrakcjami, jak i produktami turystycznymi. Są też miejscem spotkań kulturalnych i innych eventów (Marek Więckowski „Turystyka na obszarach przygranicznych Polski"). Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze ustanowiło nawet w 2012 r. kolarską odznakę krajoznawczą „Trójstyki granic Polski".

Jednak atrakcyjność turystyczna styku trzech granic to nie specjalność XXI wieku, lecz zaszłość jeszcze z XIX w., kiedy rodziła się turystyka. Jednym z miejsc, odwiedzanych przez ówczesnych turystów był Trójkąt Trzech Cesarzy u zbiegu Białej i Czarnej Przemszy w obecnym województwie śląskim.

Trójkąt, który nie jest trójkątem

Z geograficznego punktu widzenia Trójkąt Trzech Cesarzy to tylko niewielki punkt na mapie fizycznej Polski, połączenie dwóch rzek: Białej i Czarnej Przemszy w jedną Przemszę. Jednak historia sprawiła, że tu, pod Mysłowicami i Sosnowcem, spotkały się granice trzech europejskich

fot. Edward Wieczorek

Zbieg Czarnej (z lewej) i Białej (z prawej) Przemszy

mocarstw: Imperium Rosyjskiego, Austro-Węgier i Niemiec. Powszechnie uważa się, że miejsce to było stykiem trzech zaborów, ale wyjaśnijmy, że Śląsk, należący do Prus, nie stanowił zaboru. Owo miejsce połączenia obu Przemsz nazwano „Trójkątem Trzech Krajów", a po 1873 r. – „Trójkątem Trzech Cesarzy" (choć z dosłownego tłumaczenia wynika bardziej nazwa: Kąt lub Zakątek Trzech Cesarzy).

Historia tego miejsca zaczęła się po Kongresie Wiedeńskim, kiedy na Czarnej Przemszy i Białej Przemszy spotkały się granice Prus, Królestwa Polskiego (zwanego popularnie Kongresówką) oraz Rzeczypospolitej Krakowskiej. Kiedy w 1846 r. zlikwidowano Rzeczpospolitą Krakowską, jej teren włączono do austriackiego kraju koronnego Galicja i Lodomeria. W ten sposób nasz Trójkąt stał się Trójkątem Trzech Mocarstw (po 1871 r., kiedy Niemcy stały się cesarstwem – Trzech Cesarstw).

Niedługo po tym nad Przemszę przebiegła linia kolejowa z Mysłowic do Krakowa i coraz więcej podróżnych mogło z okien pociągu zobaczyć ów styk Białej i Czarnej Przemszy, jedyne chyba w Europie miejsce, gdzie stykały się trzy potężne imperia.

Jak informuje Alfred Sulik w „Historii Mysłowic do 1922 roku": *w latach 1880–1914 Mysłowice gościły każdego roku 3–8 tysięcy turystów, którzy przyjeżdżali pociągami z Górnego i Dolnego Śląska, z Berlina, ale również z Francji, Szwajcarii, Belgii i Holandii, co potwierdziły zachowane do dziś wysyłane z Mysłowic kartki pocztowe.*

Atrakcją pruskiej strony Trójkąta były liczne restauracje (np. „Restaurant Drei-Kaiserreich-Ecke" na kilkaset gości, gdzie przygrywała orkiestra, występowały chóry, odbywały się przedstawienia teatralne, urządzano walki zapaśnicze i bokserskie, a także organizowano gry i konkursy. Z przystani mysłowickiej można było popłynąć stateczkiem do Dziećkowic, a nawet do Krakowa przez Czernichowice. Zainteresowani mogli za okazaniem paszportu przekroczyć granicę pomiędzy Prusami i Rosją, a już bez paszportu – granicę między Prusami i Austro-Węgrami.

Nasze trójstyki dawniej i dziś

Dwa trójstyki w województwie śląskim – ten historyczny, o którym już pisałem wyżej, i ten obecny na styku granic Słowacji, Republiki Czeskiej i Polski w Jaworzynce, na tzw. Trzycatku – miały różne dzieje. Różna też była motywacja ich odwiedzania.

Trójkąt Trzech Cesarzy był miejscem-symbolem. W sytuacji braku suwerenności stawał się nieoficjalnym symbolem narodowym, integrującym rozdzielone społeczeństwo. A symbolika ta była niezwykle czytelna – w jednym miejscu mieć w zasięgu wzroku „całą Polskę", zwłaszcza ze zbudowanej w 1907 r. po mysłowickiej stronie Trójkąta wieży widokowej, poświęconej Bismarckowi.

Atrakcyjność Trójkąta Trzech Cesarzy znikła, kiedy po 1922 r. Mysłowice stały się częścią Rzeczypospolitej (tereny Galicji i Kongresówki stały się częścią Rzeczypospolitej już w 1918 r.). Został wówczas Trójkąt symbolem rozdarcia, o którym starano się szybko zapomnieć. W 1934 r. z polecenia Wojewody Śląskiego Michała Grażyńskiego zburzono wieżę Bismarcka w sąsiedztwie „Trójkąta".

Nowym życiem „Trójkąt Trzech Cesarzy" zaczął żyć po wejściu Polski do Unii Europejskiej. W 2007 r. odsłonięto z inicjatywy sosnowieckiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego po sosnowieckiej stronie Trójkąta Obelisk Pamięci poświęcony podziałowi Europy i jej zjednoczeniu. W tym miejscu kończą się sosnowieckie spływy kajakowe Białą Przemszą, rajdy piesze i rowerowe.

I choć „Trójkąt" leży na zapomnianych dziś peryferiach Sosnowca i Mysłowic, tchnie jakąś magią, zmusza do refleksji i zadumy nad naszą skomplikowaną historią.

Drugi trójstyk w województwie śląskim znajduje się w sąsiedztwie Trzycatka w Jaworzynce w gminie Istebna. Powstał on w 1993 r., po rozpadzie Czechosłowacji. Sam punkt zbiegu trzech granic znajduje się w głębokim na 8 m i szerokim na 34 m jarze strumienia, nad którym do niedawna można było przejść niewielkim drewnianym mostkiem. Co ciekawe, wspomniany strumień ma aż trzy nazwy: polską – Wawrzaczowy Potok, czeską – Kubankowski Potok i słowacką – Potok Goryłow. Jest to jedyne miejsce w Polsce, gdzie na styku trzech granic postawiono trzy słupy (ponoć powodem takiego „potrojenia" jest fakt, iż zbieg granic znajduje się w korycie rzeki). Obeliski na Trójstyku postawiono w 1995 roku. Mają one 240 cm wysokości i ważą ponad 800 kg.

Tu ciekawostka: nazwa Trzycatek pochodzi od urzędu celnego między Węgrami a Księstwem Cieszyńskim i pobieranego w nim cła od towarów, wynoszącego trzydziestą część wartości (po słowacku tricet).

Trójstyk beskidzki to także granica trzech wsi: polskiej Jaworzynki, słowackiego Ciernego i Herczawy w Republice Czeskiej. Co ciekawe, po podziale śląska cieszyńskiego w 1920 r. Herczawa (Hrčava) została włączona do Polski jako część Jaworzynki, jednak na prośbę mieszkańców, Liga Narodów w 1924 r. przyznała ją Czechosłowacji.

Trójstyk leży w bardzo ładnym miejscu, wśród niewysokich wzniesień południowej części Beskidu Śląskiego, w bezpośrednim sąsiedztwie głównego wododziału europejskiego, który biegnie od Wawrzaczów Gronia (687 m n.p.m.) nad Trzycatkiem do Ochodzitej (894 m n.p.m.) nad Koniakowem.

Od polskiej strony wiedzie tutaj wygodny chodnik, a wokół tego miejsca ustawiono ławeczki i altanki. Od niedawna w pobliżu trójstyku po stronie czeskiej funkcjonuje punkt gastronomiczny, w którym można płacić złotówkami. Od 2009 r. z inicjatywy biskupa żylińskiego Tomasza Galisa w sobotę po 15 sierpnia organizowane są spotkania modlitewne trzech narodów. W roku 2016 wykonano na potrzeby tych nabożeństw drewniany polowy ołtarz autorstwa Władysława Wawrzacza i Pawła Jałowiczora.

Dojście z Jaworzynki do punktu zetknięcia się trzech granic zajmuje ok. 10–15 min. szlakiem zielonym. W rejonie tym przebiega kilka szlaków turystycznych, umożliwiających spacer po okolicy. Żółty szlak (czeski), prowadzący początkowo wzdłuż granicy czesko-słowackiej, w mniej więcej 45 min. doprowadzi nas do wioski Herczawa, skąd w podobnym czasie dotrzeć można przez przysiółek Łupienie do centrum Jaworzynki. ■

fot. Edward Wieczorek

Właściwy trójstyk granic Słowacji, Czech i Polski w korycie potoku

fot. Edward Wieczorek

Okolice Trzycatka

fot. Edward Wieczorek

Tzw. triplexy na beskidzkim Trójstyku

Popularny widok na Żywiecczyźnie – niemiecki bunkier z 1945 roku na tle gór. Obiekt na fotografii to jeden z wielu tego typu schronów w rejonie Radziechowego-Wieprza

Jedna z wielu wybudowanych w naszym regionie pod koniec wojny przeszkód przeciwczołgowych, tzw. zęby smoka. Znajduje się w połowie drogi między stacjami PKP Czechowice-Dziedzice Południowe i Bielsko Biała Komorowice

Ślad po uderzeniu odłamka lub pocisku z działka, widoczny na żeliwnym ogrodzeniu kościoła pw. św. Jacka w Bytomiu Rozbarku od strony ul. Witczaka

Ślady walk ze stycznia 1945 w centrum Katowic – ostrzelany dom przy ul. Rybnickiej 14 (elewacja od strony południowej), uszkodzony najprawdopodobniej podczas radzieckiego ostrzału lotniczego obiektów lotniska na Muchowcu

Czechosłowacki przedwojenny schron bojowy w miejscowości Chotebuz pod Cieszynem – jeden z kilku obiektów w tym rejonie, przystosowany do niemieckich potrzeb wiosną 1945 roku. Obiektem opiekuje się grupa pasjonatów

Unikatowe stanowiska dla broni przeciwlotniczej, przystosowane do osadzenia na wagonach kolejowych – grupa zalegająca w Katowicach Piotrowicach

Szlakami reliktów ostatnich tygodni wojny

Betonowe smoki szczerzą kły

TOMASZ BIENEK

W tym roku rocznica zakończenia II wojny światowej przeszła raczej bez większego echa, przyćmiona doniesieniami na temat stadiów pandemii i skuteczności szczepionek na covid. Na swój sposób o dacie tej nie zapomnieli lokalni miłośnicy historii i dawnej wojskowości, którzy wiosną zawsze ruszają w teren, wykorzystując moment, gdy rozmaite pozostałości ostatnich momentów wojny znów ukazują się spod topniejącego śniegu – i przez moment pozostają widoczne, jeszcze wciąż nie ukryte przez budzącą się dopiero do życia, z każdym rokiem bardziej rozbuchaną roślinność.

Pomimo upływu 76 lat od kapitulacji hitlerowskich Niemiec, wciąż zaskakująca jest skala wojennych pozostałości i reliktów w naszym regionie. Ślady uderzeń kul, napisy na murach domów, czy wreszcie fortyfikacje z przełomu 1944 i 1945 roku występują tutaj w wielkiej liczbie i bez większych kłopotów można znaleźć je nawet w centrum Katowic, Chorzowa czy Bytomia, jednak by zobaczyć prawdziwe unikaty trzeba wybrać się na przedmieścia. Jednym z takich miejsc są nieużytki w rejonie dawnych zakładów kolejowych w Katowicach Piotrowicach. Zalegają tu masywne betonowe stanowiska strzeleckie dla karabinów maszynowych i działek przeciwlotniczych, które pod koniec wojny hitlerowcy ustawiali w bezpośrednim sąsiedztwie ważnych obiektów kolejowych, celem wzmocnienia lokalnej obrony przeciwlotniczej. Te prefabrykowane obiekty, nazywane potocznie bunkrami, wobec nadchodzącego frontu zaczęto ustawiać na platformach kolejowych i w węglarkach, tworzących pociągi będące improwizowanymi, ruchomymi bateriami przeciwlotniczymi. Koncepcja ich użycia po dziś dzień jest mało znana, zachowało się też niewiele zdjęć dokumentalnych takich pociągów – tych kilka znanych wykonali w kwietniu 1945 roku Amerykanie, którzy w zachodnich Niemczech znaleźli na jakiejś stacji porzucony pociąg tego typu i, widać zaskoczeni nietypowym składem, uwiecznili go na fotografiach. O obecności takich pociągów w 1945 roku na Górnym Śląsku mało wiadomo i zagadkę stanowi też to, czy zalegające w piotrowickim lesie betonowe kolosy to stanowiska, których Niemcy nie zdążyli już zamontować na wagonach kolejowych i porzucili wobec nadciągających oddziałów sowieckich, czy też może jest to relikt pierwszych miesięcy powojennych, gdy do warsztatów kolejowych trafiał tabor ze zdobytych pociągów przeciwlotniczych, a polscy kolejarze przywracali wagony do ich pierwotnej, pokojowej roli poprzez demontaż betonowych nadbudówek, które, zrzucone obok torowiska, zalegają tam do dziś. Nie zmienia to faktu, iż obiekty tego typu są przedmiotem wielu dyskusji i dociekań także na wielu obcojęzycznych internetowych forach poświęconych sztuce fortyfikacyjnej.

Nie jest to jedyne ciekawe miejsce związane z przechodzącym w 1945 roku przez nasz region frontem. Pamiętać przy tym należy, iż o ile przemysłowa, centralna cześć Górnego Śląska została przez wojska sowieckie zajęta na przełomie stycznia i lutego, to obszary położone bardziej na południe, jeszcze dosłownie do ostatnich dni wojny były sceną walk. Same daty wejścia radzieckich oddziałów do miast na południu województwa mówią same za siebie: Żywiec zajęto 5 kwietnia, Zwardoń i Skoczów 1 maja 1945, a Cieszyn – 3 maja (dzień po upadku Belina). Nie powinna więc zaskakiwać różnorodność pozostałości po różnych niemieckich fortyfikacjach, tworzących do samego końca wojny linie obronne w tym rejonie. Do najbardziej atrakcyjnych wizualnie, poza samymi schronami bojowymi, należą różnego typu przeszkody przeciwpancerne, wśród nich także rozpoznawalne ze względu na charakterystyczny kształt i działającą na wyobraźnię nazwę betonowe stożki, zwane w literaturze tematu „zębami smoka". Zapory te zachowały się w okolicach Bielska i na Żywiecczyźnie, można je odszukać w rejonie wsi Leśna pod Żywcem i na pograniczu Czechowic-Dziedzic i Bielska Białej, a wiele kolejnych czeka zapewne wciąż na odnalezienie, choć w ostatnich latach bezpowrotnemu zniszczeniu uległy egzemplarze spod Zwardonia i Lalików, unicestwione w związku z budową drogi ekspresowej S-1.

To właśnie malownicze tereny górskie Beskidu Śląskiego, Małego i Żywieckiego – choć mało kojarzą się z fortyfikacjami, są w istocie skansenem budowli tego typu. Wędrując górskimi szlakami w okolicy Soszowa, Stożka, czy Magurki Wilkowickiej wystarczy zejść ze ścieżki, by dostrzec zapadające się w ziemi rowy strzeleckie i pozostałości ziemianek, a w niższych partiach gór – betonowe bunkry. Popularne są zwłaszcza w rejonie Radziechowego-Wieprza, Twardorzeczki czy Pietrzykowic Żywieckich, gdzie omijane przez rolnicze maszyny tkwią wśród pól, ale odnaleźć można je także po polskiej i słowackiej stronie w rejonie Zwardonia. Wszystkie te budowle wchodziły w skład linii obronnych, budowanych pośpiesznie przez Niemców pod koniec 1944 roku. W większości to odlewane na miejscu „od sztancy" betonowe stanowiska ogniowe dla jednego lub dwóch żołnierzy, ale są wyjątki – pod Bielskiem wznoszono schrony bojowe, w których Niemcy montowali w roli obrotowych kopuł wieże zdjęte ze zdobytych i zniszczonych radzieckich czołgów KW-1. Samych wież już nie ma, ale można zobaczyć przynajmniej jeden ze schronów przystosowanych pod jej montaż.

Osobną grupę reliktów ostatnich tygodni II wojny światowej, stanowią w naszym regionie wprost namacalne ślady walk – ubytki w elewacjach budynków, będące bezpośrednim efektem wymiany ognia. Nadal, w 2021 roku, wciąż można wśród starej zabudowy zauważyć miejsca gdzie uderzyły kule lub odłamki.

Wobec rozpaczliwych prób obrony przed nadchodzącą Armią Czerwoną Niemcy w miarę możliwości próbowali adaptować do swoich potrzeb i wymogów chwili zdobyte w 1939 roku obiekty fortyfikacyjne – czego dowodem są przedwojenne polskie schrony pod Bielskiem, wykorzystane bojowo zimą 1945, oraz czechosłowackie schrony na Zaolziu, m.in. w rejonie Chotebuza (Kocobędza) odległego o kilka kilometrów od Cieszyna. Użycie tych ostatnich uniemożliwił już koniec wojny, choć niektóre z nich zostały przez hitlerowskich saperów lekko przebudowane.

Dziś zarastające dziką roślinnością, pokryte mchem betonowe struktury to już tylko niegroźne relikty, zaskakujące czasem swą obecnością nieobeznanego z historią turystę czy wędrowca. Wciąż przypominają jednak o tragicznych wydarzeniach sprzed prawie 80 lat. Towarzyszą im ogromne cmentarze wojenne, na których pochowano sowieckich żołnierzy poległych przy przełamywaniu tych linii. Do największych należą te w Bielsku-Białej (spoczywa tam ok. 10 tysięcy poległych) oraz w Pszczynie, gdzie pochowano 12 tysięcy żołnierzy, niosących zamiast upragnionej wolności inną postać okupacji. ■

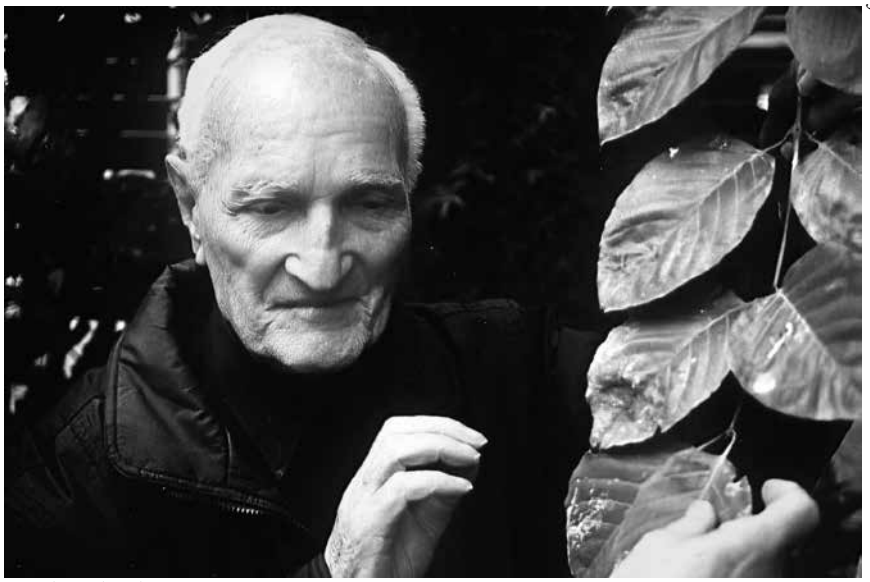
fot. arch.

O. Edmund Szeliga

Wilkakora

Uzdrawiające zioła O. Edmunda Szeligi

STEFAN GIERLOTKA

Dumą Śląska są jego synowie, zwłaszcza Ci, którzy swą pracą i osiągnięciami zapamiętani zostali na całym świecie. Jednym z zasłużonych dla leczenia chorób nowotworowych jest śląski misjonarz salezjanin O. Edmund Szeliga.

Urodził się 10 listopada 1911 roku w Czułowie koło Tych. Ukończył szkołę powszechną w rodzinnych Tychach, a następnie liceum salezjańskie w Oświęcimiu. W wieku 12 lat usłyszał prorocze słowa od odwiedzającego szkołę włoskiego biskupa, który wskazując na niego powiedział: będziesz misjonarzem w Ameryce Południowej. I tak się stało. Po ukończeniu liceum wstąpił do salezjańskiego nowicjatu w Czerwińsku. W zakonie został skierowany na studia filozoficzne w Uniwersytecie Jagiellońskim.

W roku 1930 wyraził gotowość wyjazdu na misję salezjańską do Peru. Podróż morska z Genui do Callao w Peru, trwała 36 dni. W peruwiańskim Zgromadzeniu Księży Salezjanów został skierowany do pracy misyjnej w Cusco. Po opanowaniu języka hiszpańskiego pracował jako nauczyciel matematyki. Podczas pobytu w Cusco, nauczył się języka keczua, którym porozumiewa się większość Indian peruwiańskich.

Po pięciu latach pracy w Peru został wysłany do Włoch, w celu odbycia wyższych studiów teologicznych, gdzie 2 lipca 1939 otrzymał święcenia kapłańskie.

Po powrocie do Peru rozpoczął pracę z mieszkańcami peruwiańskiej dżungli. Odbył podróż wzdłuż doliny rzeki Urubamba, w okolicach Machu Picchu do krainy niepoznanej wcześniej przez białych. Nikt spośród białych tak daleko w dżunglę wcześniej się nie zagłębił. Po dwóch tygodniach marszu dotarł do szczepu Pirów. W indiańskich wioskach przyjęto go z nieukrywanym zainteresowaniem, ale i z powściągliwością. Po kilku miesiącach pobytu zdobył serdeczność i zaufanie oraz nauczył się ich języka. Dla księdza salezjańskiego misja wśród mieszkańców to nie tylko krzewienie wiary, ale przede wszystkim krzewienie nauki. Nie próbował ich nawracać na wiarę chrześcijańską, lecz uczył rolnictwa i budowy domów. W zamian oni dzielili się z nim tajnikami wiedzy o amazońskich ziołach, które znali od tysiącleci.

Jego zainteresowanie ziołami pojawiło się już w dzieciństwie i było rodzinne. Wspominał, jak cała rodzina udawała się do lasu w poszukiwaniu ziół oraz owoców leśnych. Jako młodzieniec nauczył się rozpoznawać poszczególne rośliny od matki i babci. W domu nauczył się sporządzać ziołowe napary. Były to znakomite początki z ziołami, które przekształciły się w pasję. Wtedy jeszcze nie wiedział, że zostanie jednym z największych naukowców naszych czasów z zakresu fitoterapii.

Podczas pracy misyjnej na terytorium plemienia Pirów zetknął się z tradycyjną medycyną indiańską. Pewnego razu do dżungli ludzie przynieśli nieprzytomnego 14-letniego chłopca, którego ukąsiła jadowita żmija andyjska. Takie ukąszenie było uznawane za śmiertelne. Przyniesiono go w agonii i złożono u stóp Indian, aby chłopcu pomogli. Wówczas Indianie rozpierzchli się do dżungli po zioło, z którego sporządzili wywar i wlewali chłopcu do ust, jako eliksir. Po kilku godzinach chłopiec otworzył oczy i dalej było już coraz lepiej. Po następnych kilku godzinach chłopiec wstał, jakby nic się nie stało i poszedł do domu. Dla Ojca Szeligii było to zadziwiające zjawisko, co oni mu dali, że jego organizm pokonał śmiertelny jad. Zafascynowany przypadkiem uzdrowienia chłopca po ukąszeniu przez jadowitą żmiję z większą ciekawością przyswajał zawiłości tej tajemnej wiedzy. Przez okres 40 lat przebywania wśród Indian peruwiańskich społeczności Piros, Machiguengas, Huachipaeris, zdobył wiedzę o leczniczych właściwościach andyjskich roślin i poznał sposoby ich roślinnej terapii. Jego naukowe zainteresowanie skupiło się głownie wokół pnącza wilkakora –*Vilcacora Uncaria Tomentosa*.

Kiedy odwiedzał braci w Cuzco, ściągał z Limy książki i atlasy przyrodnicze, akademickie podręczniki medyczne i chemiczne, by w dżungli móc oddawać się gruntownym studiom. Tak rozwijał się wielki znawca andyjskich ziół, który stał się niekwestionowanym światowym autorytetem w tej dziedzinie.

Poznawane zioła i rośliny lecznicze oddawał do badań laboratoryjnych na Uniwersytecie San Marcos w Limie. To właśnie w laboratoriach tej uczelni ustalono skład chemiczny wilkakory. W 1962 roku, na prośbę ojca Szeligi, zioło wszechstronnie zbadali Włosi na Uniwersytecie Neapolitańskim. W następnym roku wilkakora została przebadana przez Amerykanów na Uniwersytecie w Miami. Świat nie dowierzał doniesieniom, że amazońskie pnącze wilkakora, zawiera tak silne alkaloidy i glikozydy. Dalsze badania wilkakory podjęli biochemicy z Anglii, Niemiec, Węgier i Australii.

Od 1965 roku ojciec Szeliga rozpoczął oficjalnie leczyć preparatami z andyjskich roślin różne schorzenia, z którymi borykała się medycyna. Głównie leczył chorych na raka, którzy byli oporni na chemioterapię lub radioterapię.

W 1983 roku O. Szeliga był inicjatorem utworzenia w Limie Peruwiańskiego Instytutu Fitoterapii Andyjskiej (IPIFA). Kierował pracami założonego instytutu, w którym zatrudniał lekarzy i innych specjalistów. Przebadał naukowo około 6 tysięcy spośród 100 tysięcy roślin jakie rosną w Amazonii. Opracował wiele kuracji z roślin

amazońskich dla terapii nowotworowej. Oprócz pnącza wilkakory w terapii stosował zioła tahuari, sangre de drago, graviola, manayupa, hercampuri oraz flor de arena. Wiele światowych instytutów farmakologicznych współpracowało z nim nad wykorzystaniem roślin andyjskich w leczeniu najbardziej niebezpiecznych schorzeń jak rak, sepsa czy AIDS. Wielu pacjentów na całym świecie nadal korzysta z peruwiańskich roślin, chociaż zdobycie tych roślin jest obecnie bardzo trudne.

O. Szeliga był nauczycielem wielu lekarzy, którzy dzisiaj są profesorami medycyny, ekspertami w WHO. Wyróżniała go nieomylna intuicja i dogłębne zrozumienie świata roślin. Był wrażliwy na ludzkie cierpienie. Nie było dla Niego ważne wyznanie, kolor skóry, czy zasoby materialne. Leczył możnych tego świata, ale przede wszystkim biednych. Współpracował z amerykańskim uniwersytetem w Portoryko nad stworzeniem szczepionki przeciw AIDS. W prowadzonych przez niego kartotekach, w których zapisywał kuracje ziołowe, do końca 2002 roku odnotowano 35 tysiące przypadków wyleczeń, głównie z chorób nowotworowych.

Pod koniec 1999 roku, mając 88 lat odwiedził swoją ojczyznę. Za zasługi został odznaczony przez Prezydenta Polski Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Prof. dr hab. Manuel Fernandez Ibarguen ze Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) wysunął Jego kandydaturę do Pokojowej Nagrody Nobla, lecz nie doczekał się jej. Zmarł 3 września 2005 w Peru w wieku 94 lat. Został pochowany na cmentarzu El Angel w Limie.

Kiedy w 2003 roku odwiedziłem O. Szeligę w Limie, byłem pod wielkim wrażeniem jego osobowości. Opowiedział mi historię swojej pasji z ziołolecznictwem. Jako Ślązak z urodzenia, zadał mi pytanie, czy jeszcze na Śląsku jest rodzinny zwyczaj chodzenia do lasu zbierać zioła lecznicze.

Wspomniał, że Anglicy w Indiach złożyli plantację pnącza peruwiańskiej wilkakory w celach fitoterapii chorób nowotworowych. O. Szeliga był sceptyczny do tej biznesowej plantacji. Uważał, że o właściwościach leczniczych ziół andyjskich i amazońskich decyduje nie tylko sama roślina, ale ważną rolę odgrywa grunt, na którym wyrastała oraz bakterie które rozwijają się na liściach.

Był skromnym zakonnikiem pochodzącym ze Śląska, który nie szukał rozgłosu, ani majątku. Mimo tej skromności cały dzisiejszy świat nauki medycznej zna Jego osiągnięcia w leczeniu andyjskim pnączem wilkakora. ■

fot. arch.

Wilkakora *Uncaria Tomentosa* zwana też Czepota puszysta, czy też kocim pazurem (z hiszp. Uña de Gato) – jest to gatunek pnącza z rodziny marzanowatych rosnącego w Amazonii, wzdłuż wschodniego zbocza Andów. Liście sercowate do jajowatych, krótkoogonkowe z czerwonawym nerwem głównym i dwoma kolcami u nasady.

Roślina stosowana w lecznictwie zwiększa odporność organizmu dzięki zawartości alkaloidów oksoinodolowych. Alkaloidy oksoinodolowe wpływają na immunomodulację czyli zwiększają ilość komórek NK (*Natural Killers*). Są to naturalni „zabójcy" niszczący komórki nowotworowe, stymulujące fagocytozę czyli proces, w którym białe krwinki niszczą w organizmie szkodliwe bakterie. Vilkakora to również silny antyoksydant wzmacniający odporność organizmu i spowalniają proces starzenia.

fot. arch.

Muzeum Hutnictwa powstaje w Chorzowie

EUGENIUSZ RĄCZKA

Jesienią bieżącego roku przewidywane jest otwarcie powstającego w Chorzowie, w obiektach po dawnej Hucie Królewskiej vel Kościuszko, od lat oczekiwanego przez środowisko Muzeum Hutnictwa, którego misją jest uratowanie od zapomnienia cennych pamiątek, urządzeń technicznych i technologii, a także stałe przypominanie społeczeństwu roli i znaczenia hutnictwa przy powstawaniu wielu miast górnośląskich na przestrzeni ostatnich dwóch, trzech wieków. Muzeum, jak twierdzi jego dyrektor Adam Kowalski, będzie pod wieloma względami wyjątkowe, „przemawiać" mają do zwiedzających nie tylko eksponaty, ale również ludzie, hutnicy, których wspomnienia zarejestrowano na wielu filmach. Postanowiono też nie ograniczać się do wystaw wewnątrz budynków, ale utworzyć na całym terenie ścieżkę edukacyjno-informacyjną z licznymi urządzeniami i maszynami.

PT Czytelnicy „Śląska" przypuszczalnie nie mają świadomości, w jak dużej mierze miesięcznik przyczynił się do tego, że ta placówka muzealna powstaje. Oto kilka szczegółów:

Istniejące od blisko 70 lat Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Przemysłu Hutniczego, które wywodzi się z organizacji powstałej w 1892 roku (skupiającej inżynierów górników i hutników pochodzących z wszystkich zaborów Polski) w austriackim Leoben, a zwłaszcza jego Komisja Historyczna, bezskutecznie zabiegały o muzeum od kilku dekad. Niezmordowanym krzewicielem tej idei i autorem większości przygotowanych wystąpień był zmarły w 2016 roku przewodniczący Komisji Stefan Kmiecik. W Jego segregatorach znajdują się kopie listów, wniosków i petycji kierowanych do przedstawicieli różnych władz centralnych, lokalnych i instytucji, na które niejednokrotnie otrzymywano odpowiedź potwierdzającą słuszność wniosku, który jednak – jak tłumaczono – ze względu na „ważniejsze" przedsięwzięcia nie mógł być przyjęty do realizacji.

Działalność wspomnianej wyżej Komisji była kontynuacją prac podjętych w 1934 roku z inicjatywy Mieczysława Radwana, późniejszego profesora AGH, przez ówczesne Stowarzyszenie Hutników Polskich, które doprowadziło do powołania Muzeum Zagłębia Staropolskiego w Nowej Słupi, w Górach Świętokrzyskich, przejętego w następnych latach przez warszawskie Muzeum Techniki. Plany powstania muzeum hutnictwa zostały zniweczone przez wybuch II wojny światowej.

Starania te wznowiło po wojnie Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Przemysłu Hutniczego, które w roku 1958 utworzyło Komisję Muzeum Technicznego. Głównym jej celem były przygotowania do powstania muzeum hutnictwa. Realizacja zamierzenia stała się wkrótce nierealna ze względu na stan zasobności państwa, co w konsekwencji doprowadziło do przerwania działalności komisji i jej rozwiązania.

Dopiero powołana pod koniec lat 60. Komisja Historii i Ochrony Zabytków Hutnictwa ponowiła zabiegi o utworzenie muzeum hutnictwa, jednak przez wiele lat bezskutecznie. Nie można jednak twierdzić, że działalność ta nie owocowała. Oto kilka przykładów:

Budynki przyszłego muzeum, fot. z drona

W odpowiedzi na wniosek SITPH Ministerstwo Przemysłu Ciężkiego przyznało w 1967 roku dotację na rozbudowę Muzeum Zagłębia Starożytnego w Słupi Nowej. Udało się też przekonać dyrekcje dziewięciu hut do objęcia patronatu nad siedmioma najcenniejszymi zabytkami, polegającego na prowadzeniu i finansowaniu prac konserwatorskich. Po latach patronatem objęto już dwadzieścia obiektów hutniczych.

Komisja podejmowała kolejne starania. W 1979 r. wystąpiono do Urzędu Miasta Katowice o utworzenie skansenu hutniczego po zatrzymaniu huty cynku Uthemann w Szopienicach. Brak środków uniemożliwił realizację pomysłu. Starano się też o uzyskanie zgody na wykorzystanie budynku modelarni Gliwickich Zakładów Urządzeń Technicznych na zalążek muzeum hutnictwa, który ostatecznie przekazany został dyrekcji gliwickiego Muzeum Miejskiego.

Komisja włączyła się również w wystąpienia skierowane w początkach lat 80. do katowickich władz miejskich i wojewódzkich, które poskutkowały i wydawało się, że doprowadziły do celu. W 1983 roku utworzono Muzeum Historii Katowic z wyodrębnionym Działem Hutnictwa, przewidując w następnych latach jego przekształcenie w samodzielną placówkę. Na otwarcie muzeum przygotowano nawet ekspozycję „Z dziejów hutnictwa". Niestety katowicki Urząd Miasta postanowił w 1986 roku ograniczyć zakres działalności muzeum i z Działu Hutnictwa zrezygnował.

W 1984 roku Stefan Kmiecik uruchomił w Hucie Metali Nieżelaznych pierwsze muzeum zakładowe, tzw. „izbę tradycji", w której eksponowano m.in. historię zakładu, wyroby, stosowane technologie i narzędzia pracy. Inicjatywa ta została w następnych latach przejęta przez inne zakłady, w efekcie czego podobne muzea powstały także w hutach Batory, Bobrek, Kościuszko, Małapanew oraz w krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej.

Wydawało się, że idea powstania muzeum była bliska realizacji, gdy Komisji Historii udało się pokonać wszystkie progi potrzebne do utworzenia Fundacji im. Johna Baildona, ustanowionej aktem notarialnym z 21.11.1987 r. Głównym celem fundacji było gromadzenie funduszy na budowę muzeum, jednakże Sąd Rejonowy dla m.st. Warszawy przedstawiony wniosek odrzucił.

Warto zaznaczyć, że za całokształt aktywności w tej dziedzinie Minister Kultury i Sztuki wyróżnił Komisję Historii SITPH złotą odznaką „Za opiekę nad zabytkami".Wyróżnienie mobilizowało do dalszych wystąpień, temat poruszano też na kolejnych Zjazdach Stowarzyszenia, jednak bez widocznych skutków.

fot. Polar123

Hala elektrowni Huty Królewskiej, adaptowana na potrzeby Muzeum

Przełom w tej sprawie miał miejsce dopiero w wyniku artykułu Marka Mierzwiaka zatytułowanego „Jak gasło śląskie hutnictwo", zamieszczonego w zeszycie nr 2/2012 „Śląska" z inicjatywy ówczesnego redaktora naczelnego Tadeusza Kijonki. Autor, po konsultacji z przewodniczącym Komisji Stefanem Kmiecikiem i niżej podpisanym, opisał dzieje i losy upadającej po przeobrażeniach politycznych branży. W zakończeniu umieścił następujący akapit:

Członków Komisji Historycznej działającej w Stowarzyszeniu Inżynierów i Techników Przemysłu Hutniczego najbardziej martwi i niepokoi fakt, że tak wiele obiektów hutniczych, cennych pamiątek naszego dziedzictwa przemysłowego i kulturowego ginie bezpowrotnie i nie znaleziono dotąd sposobów na ich uratowanie. Mimo wielokrotnych prób i starań nie udało się uzyskać akceptacji władz samorządowych na utworzenie Muzeum Hutnictwa. Dodatkowym powodem niezadowolenia jest fakt, że także w budowanym, nowym Muzeum Śląskim nie przewiduje się działu związanego z przemysłem. Tego nie wybaczą nam następne pokolenia.

Wydźwięk tego artykułu był zaskakujący. Sejmik Śląski zainteresował się sprawą na tyle i w porozumieniu z prezydentem Chorzowa podjął uchwałę o utworzeniu muzeum w tym mieście. Dużą inicjatywą w jej podjęciu wykazał się radny Sejmiku Śląskiego Janusz Buzek.

Powołany został Zespół, którego zadaniem było podjęcie prac związanych z organizacją muzeum, a w jego skład weszli wiceprzewodniczący Sejmiku Śląskiego Henryk Mercik, reprezentanci Urzędu Miasta Chorzowa, tamtejszego Muzeum Miejskiego, Muzeum Górnictwa w Zabrzu oraz dwaj przedstawiciele SITPH w osobach prezesa Stowarzyszenia prof. dr hab. inż. Janusza Szpytko, któremu powierzono funkcję wiceprzewodniczącego Zespołu i Stefana Kmiecika, który bardzo się zaangażował w prace zespołu. Dążył do najciekawszego sposobu przedstawienia wiedzy o historii hutnictwa, przygotował nawet kilka koncepcji prezentacji eksponatów. Kolejnym krokiem było powołanie dyrektora powstającego muzeum, a dzięki współpracy z Muzeum Górnictwa uzyskano dotację unijną, umożliwiającą podjęcie prowadzenia prac.

Już wkrótce długoletnie marzenia staną się rzeczywistością. Warto dziś złożyć hołd tym wszystkim, którzy doprowadzili do realizacji tego – tak oczekiwanego nie tylko przez brać hutniczą – przedsięwzięcia, w tym także nieżyjącym Stefanowi Kmiecikowi i Tadeuszowi Kijonce oraz Redakcji „Śląska". ■

Wadowice, Rynek

Jestem z Galicji

ANTONI WILGUSIEWICZ

Posiadam torbę z wizerunkiem kawki (tradycyjny herb Galicji) i napisem **I am from Galicia.** Czy bycie z Galicji jest powodem do dumy? Pewnie tak, skoro raper Liroy-Marzec śpiewa *Jestem Liroy scyzoryk z Galicji* (ma na myśli Kielce, swoje miasto, które do Galicji należało niecałe 20 lat po III rozbiorze). Z Galicją związani byli Fredro, Wyspiański, Boy-Żeleński, Witkiewiczowie (ojciec i syn). Już po jej upadku urodzili się tu niedoszli nobliści – Zbigniew Herbert czy niedawno zmarły Adam Zagajewski, a związana z nią była laureatka tej nagrody Wisława Szymborska. Biorąc także pod uwagę, że z Wadowic, miasta na wskroś galicyjskiego, pochodził Karol Wojtyła – Jan Paweł II, powód do dumy jest z pewnością. Pytaniem może być natomiast, czy Galicja wciąż istnieje, czy może była tylko wytworem „radosnej twórczości" austriackich urzędników i zniknęła bezpowrotnie wraz z upadkiem monarchii, której służyli? Jej mit istnieje niezaprzeczenie, co stwierdzam, nalewając wodę mineralną Galicjanka do szklanki wyprodukowanej przez firmę Galicja. Mogę nalać też sok ukraińskiej firmy Galicja; za wschodnią granicą nazwa ta jest jeszcze bardziej popularna.

Wspomnianą torbę nabyłem podczas zwiedzania wystawy *Mit Galicji*, zorganizowanej przez krakowskie Międzynarodowe Centrum Kultury w 2014 roku (towarzyszyła jej publikacja książkowa pod tym samym tytułem). Centrum, którego *spiritus movens* jest profesor Jacek Purchla, wydaje *Bibliotekę Europy Środka,* poświęconą tej właśnie części Europy, w której centralne miejsce zajmuje wciąż, nieistniejąca formalnie od ponad 100 lat – Galicja. W ramach tej serii w 2015 roku ukazała się książka Katarzyny Kotyńskiej *Lwów. O odczytywaniu miasta na nowo,* a obecnie (2020) dzieło Larry'ego Wolffa *Idea Galicji. Historia i fantazja w kulturze politycznej Habsburgów.* Istotnie, jest to ponad 700-stronicowe dzieło amerykańskiego profesora, wydane przez Uniwersytet Stanforda i przeznaczone przede wszystkim na rynek amerykański, przetłumaczone przez Tomasza Bieronia, z posłowiem Jacka Purchli.

Książka Larry'ego Wolffa jest na tyle bogata w treści i wątki, że recenzja jej – zwłaszcza w tym miejscu – nie jest możliwa, dlatego chciałbym podzielić się kilkoma refleksjami wynikającymi z jej lektury. Książka to w pełni naukowa, bardzo obszerna, nienapisana z myślą o polskim czytelniku, ale jednak fascynująca – także dla niego. Od razu trzeba zaznaczyć, że osoby szukające podstawowej wiedzy o historii i problemach Galicji powinny sięgnąć do wciąż niezastąpionego – moim zdaniem – opracowania zmarłego w ubiegłym roku krakowskiego profesora Stanisława Grodziskiego *W Królestwie Galicji i Lodomerii*, dostępnego niestety tylko w bibliotekach i antykwariatach (wyd. Kraków 1976). Książka Wolffa nie jest bowiem dziełem tradycyjnie ujmującym historię, prezentującym podstawowe fakty, daty, pojęcia i wypływające z nich wnioski. Przeciwnie, to dzieło nowoczesnej historiografii, pokazującej dzieje idei, ich pojawianie się, modyfikację, a wreszcie zanikanie. Taką ideą była właśnie idea Galicji; stworzona jako mit przez wspomnianych urzędników na potrzeby dynastii Habsburgów, potem wcielona przez swych mieszkańców w życie, a po formalnej likwidacji monarchii, której była częścią, wciąż trwająca, a nawet odradzająca się ze zdwojoną siłą w umysłach ludzi, którzy pamiętać już jej jako bytu politycznego nie mogą.

Autor koncentruje się na idei Galicji w kulturze Polaków, Rusinów-Ukraińców oraz Żydów, choć oczywiście odgrywa ona swoją rolę i wśród innych narodowości. Swoistym paradoksem jest na przykład fakt, że ostatni polityczny twór o nazwie Galicja był dziełem Adolfa Hitlera, zresztą urodzonego jako poddany cesarza Franciszka Józefa I (Dystrykt Galizien GG).

O atrakcyjności książki dla szerszego grona czytelników stanowi w dużym stopniu baza źródłowa, którą wykorzystał autor. Nie są to, jak w klasycznej historiografii, dokumenty, dane statystyczne itp. materiały, a przede wszystkim utwory literackie, pamiętniki, relacje prasowe itp. Autorzy ich reprezentują trzy narodowości i kultury wymienione powyżej, ale są też relacje niemieckie, angielskie, rosyjskie (Izaak Babel i obraz Galicji w jego *Armii Konnej*). Z autorów polskich szeroko eksponowana jest postać Aleksandra Fredry, nie tylko jako ko-

fot. galinfo

Ukraincy w mundurach Waffen SS Galizien we Lwowie, 2018 r.

mediopisarza, ale też Polaka-Galicjanina, poczynając od służby w armii Napoleona; mało znane są na przykład działania Fredry na rzecz budowy kolei w Galicji. Jako wybitne postacie w dziejach Galicji i poza nią zapisali się też wnukowie Fredry, choć ze zgoła odmiennych pozycji – Andrzej Szeptycki jako metropolita kościoła unickiego, patron narodowego ruchu ukraińskiego i Stanisław Szeptycki, austriacki, a potem polski generał, znany na Śląsku jako ten, który pierwszy wkroczył tu na czele polskich oddziałów w czerwcu 1922 roku. Autor obficie korzysta też z dorobku Stanisława Wyspiańskiego (przede wszystkim *Wesela*, ale także dzieł plastycznych, jak słynny witraż w kościele franciszkanów), Kazimierza Przerwy-Tetmajera, Stanisława Przybyszewskiego, Tadeusza Żeleńskiego-Boya. Nie mogli nie znaleźć się tu galicyjscy konserwatyści, poczynając od Waleriana Kalinki i Józefa Szujskiego poprzez Potockich – ojca i syna po Michała Bobrzyńskiego, autora *Dziejów Polski w zarysie*, w których przedstawił swoją wizję przyczyn upadku Polski. Dwa znane cytaty: *Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy* oraz *Powiedzcie Cesarzowi, że zawsze byłem Jego wiernym sługą* – ten drugi to słowa wypowiedziane przed śmiercią przez zamordowanego przez ukraińskiego studenta w 1908 roku namiestnika Galicji Andrzeja Potockiego – to jakby kwintesencja galicyjskości, a przynajmniej najbardziej znanej jej postaci, dzięki której polskość w Galicji mogła rozwijać się bez porównania lepiej niż w zaborze rosyjskim i pruskim. Autor pokazuje też dalsze losy owego studenta, Myrosława Siczyńskiego, który po trzech latach uciekł z więzienia do Ameryki, gdzie żył aż do naturalnej śmierci w 1979 roku, pisząc listy i memoriały w duchu ukraińskiego nacjonalizmu.

Obok walki rodzącego się narodowego ruchu ukraińskiego, którego głównym promotorem na terenie Galicji stał się przybyły tu z Ukrainy rosyjskiej historyk Michał Hruszewski z dominującą pozycją Polaków (symbolem jej stał się wspomniany zamach, a kulminacją kończące polityczne dzieje Galicji walki polsko-ukraińskie o Lwów i Galicję

fot. MCK Kraków

Gadżety galicyjskie

L. Sacher-Masoch, pomnik we Lwowie, fot. arch.

Wschodnią w latach 1918/1919) wiele miejsca w książce zajmują konflikty społeczne, na czele z rabacją galicyjską. W dużej mierze były one efektem tzw. nędzy galicyjskiej, które to pojęcie upowszechnił Stanisław Szczepanowski, autor dzieła *Nędza Galicyi w cyfrach*... Odegrało ono ważną rolę w dziejach Galicji, pokazując na podstawie liczb i danych statystycznych prawdziwe oblicze Kraju (taka była oficjalna, ale i potoczna nazwa Galicji w ramach monarchii habsburskiej – jeden z 15 Krajów Koronnych części austriackiej monarchii czyli tzw. Przedlitawii), ale też rysując perspektywy jej rozwoju cywilizacyjnego i gospodarczego. Sporo miejsca w książce zajmuje też „trzecia siła" społeczeństwa galicyjskiego, czyli Żydzi. Niewątpliwie oni także ukształtowali się jako grupa odmienna od swoich pobratymców choćby z Cesarstwa Rosyjskiego, co zresztą sami podkreślali jako tzw. Galitzianerzy. Przeniosło się to do USA, gdzie wielu z nich emigrowało; jednym z najbardziej znanych był wybitny reżyser Billy Wilder, urodzony jako Samuel Wilder w Suchej Beskidzkiej. Ciekawe są spostrzeżenia Żydów wiedeńskich, zasymilowanych i zeuropeizowanych, na temat Żydów galicyjskich, często żyjących w skrajnej nędzy. Charakterystyczne jest tu przerażenie Gustawa Mahlera, dyrektora Opery Wiedeńskiej, wychrzczonego Żyda z Moraw, na widok nędzy żydowskiej ujrzanej przy okazji występów gościnnych we Lwowie. Żydzi galicyjscy byli najgorliwszymi zwolennikami Cesarza, widząc w nim obrońcę przed aktami antysemityzmu, jak też porównując swoją pozycję w państwie z sytuacją Żydów rosyjskich.

Ciekawy wątek stanowi w książce szerokie odwołanie się do postaci Leopolda Sacher-Masocha, znanego pisarza oraz jego ojca, także Leopolda, komendanta policji we Lwowie (stąd narodziny pisarza w tym mieście w 1836 roku). Anomalię seksualną spopularyzowaną jego nazwiskiem opisał w 1890 roku psychiatra Richard von Krafft-Ebing, zaś jej powstanie przypisuje się dzieciństwu pisarza przypadającemu na czasy rzezi galicyjskiej i związanych z nią okrucieństw. Obok wątku erotycznego Galicja zajmuje zresztą ważne miejsce w twórczości Masocha, który co ciekawe – pisząc po niemiecku – nigdy nie uznał się za Niemca. Postać Masocha wykorzystuje się obecnie we Lwowie dla celów komercyjnych (kawiarnia i posąg pisarza przy ulicy Serbskiej, zwykle oblegane przez turystów).

Rzecz jasna, nie z każdą tezą autora można się zgodzić (co czyni Jacek Purchla w Posłowiu), jak też – z punktu widzenia polskiego czytelnika – usprawiedliwić pewne braki. Jednym z błędów rzeczowych jest podanie daty 1940 jako daty powstania ukraińskiej Dywizji SS Galizien (nie było to wtedy możliwe, gdyż dawna Galicja była pod okupacją sowiecką – prawidłowa data to 1943). Trzeba jednak przyznać, że autor nie pominął nikogo z ważnych z naszej perspektywy Galicjan (lwowian), łącznie z Karolem Wojtyłą, który jako papież Jan Paweł II beatyfikował w 2004 roku ostatniego cesarza Karola I, co także stanowi pewien symbol trwałości mitu Galicji. Trwa on w świadomości Polaków, ale też Ukraińców, wśród których pojawiają się nawet pomysły oderwania Galicji – Hałyczyny od państwa ukraińskiego. Nie wydaje się to realne, ale pojęcie galicyjskości jest we Lwowie bardzo żywe; służy ono często zamaskowaniu polskości tego miasta, ale też podkreśleniu związków z Europą, której Galicja – w odróżnieniu od Ukrainy rosyjskiej – była niegdyś częścią. ■

fot. arch.

Autor na poczcie w Miasteczku Galicyjskim Nowy Słucz

Kwartet Nabokova: od *Daru* do *Ady*

JERZY PASZEK

Pominięto tu w tytule, oczywiście, *Lolitę* oraz *Blady płomień*. Z tych czterech wielkich powieści Vladimira Nabokova najdłużej do czytelnika szukała drogi pierwsza, która wychodziła początkowo po rosyjsku w paryskim czasopiśmie „Sowriemiennyje zapiski" w latach 1937–1938, lecz bez rozdziału czwartego, będącego prawie 100-stronicowym „utworem w utworze", czyli biografią celebryty lat 60. XIX wieku, Mikołaja Czernyszewskiego (1828–1889). Był to ulubiony pisarz Lenina (przywódca sowiecki tytuł tomu z 1902 roku *Czto diełat'?* zaczerpnął od Czernyszewskiego, który 40 lat wcześniej opublikował powieść pod identycznym nagłówkiem). Ciekawe, iż tego IV rozdziału dzieła Nabokova przed drugą wojną światową nie można było wydać ani w Moskwie, ani w Paryżu! Ukazał się on dopiero w roku 1952 w Nowym Jorku w książce Izdatielstwa imieni Czechowa. Na angielski tłumaczył tę powieść zespół: Dmitri (pierwszy rozdział), Wiera i Vladimir (dbał o rymy w wierszach!) Nabokovowie oraz Michael Scammell, który skorzystał z poprawek, jakie wprowadziła do maszynopisu przekładu (wychwytywała w lot literówki!) żona pisarza.

We wstępie do amerykańskiej edycji (*The Gift*, New York 1963; cytuję jako TG z czwartego wydania, 1979, serii „Paragon Books") autor podkreśla, że fikcja (w której redaktor Wasiljew odrzuca ten obrazoburczy życiorys) i dookolna rzeczywistość Niemiec i Francji dokładnie się wymieszały, a zarazem uzupełniły: „a pretty example of life finding itself obliged to imitate the very art it condemns" (TG, 7), co Leszek Engelking tłumaczy: „piękny przykład na to, jak życie czuje się zobowiązane naśladować właśnie tę sztukę, którą potępia" (L. Engelking: *Chwyt metafizyczny. Vladimir Nabokov – estetyka z sankcją wyższej rzeczywistości*, Łódź 2011, s. 216; syntezę tę cytuję jako LECH).

W czasach stalinowskich opublikowano w wydawnictwie „Książka i Wiedza" nie tylko *Co robić?* (Warszawa 1951 [nb. 01. 01. 1951], s. 548), ale także drugą powieść Czernyszewskiego (*Prolog*, Warszawa 1952, s. 458; oba tomy tłumaczył J. Brzęczkowski). Ważniejsze prace filozoficzne i estetyczne tego ekonomisty z zawodu pojawiały się w późniejszych latach w zacnych seriach: *Pisma filozoficzne,* tłum. W. Bieńkowska i K. Błeszyński, 2 tomy, Warszawa 1961, „Biblioteka Klasyków Filozofii"; *Pisma estetyczne i krytycznoliterackie. Wybór*, przeł. J. Walicka i T. Zabłudowski, oprac. A. Walicki, Wrocław 1964, „Biblioteka Narodowa", seria II, nr 144 (po rosyjsku w latach 1939–1950 wydano 16 tomów dzieł zebranych tego publicysty). Andrzej Walicki pisze we wstępie do tomu BN, iż filozofia Czernyszewskiego opierała się na „staromodnym, mechanistycznym materializmie", który mógł być przezwyciężony przez „materializm dialektyczny i historyczny" („Rocznik Literacki" 1964, s. 464). Nie wiem (i nawet nie chcę wiedzieć!), czy ktoś z tych znawców prozy fabularnej bądź „staromodnego" filozofowania Czernyszewskiego czytał *Dar* Nabokova i istotnie zgorszył się poniżaniem lub obnażaniem protoplasty, prawodawcy i praszczura socrealizmu w literaturze.

Patrząc z lotu ptaka na cztery omawiane powieści, mogę podziwiać konsekwencje przemyśleń i powiązań poszczególnych dzieł rosyjsko-amerykańskiego pisarza. Oto konstrukcja *Daru* i *Ady* ma zadziwiający zwornik strukturalny: w obu tych 5-częściowych narracjach jako segment czwarty pojawia się „utwór w utworze": w *Darze* jest to niefikcyjny życiorys Czernyszewskiego, w *Adzie* zaś przedostatnia część zdumiewa nas studium dotyczącym czasu, którego autorem jest jeden z trójki bohaterów, Van Veen. Nabokov w *Strong Opinions* streszcza jego wywody: „Moja koncepcja faktury czasu nieco przypomina swój obraz w części czwartej *Ady*. Teraźniejszość jest jedynie wierzchołkiem przeszłości, a przyszłość nie istnieje" (V. Nabokov: *Ada albo Żar. Kronika rodzinna*, przeł., kom. i posłowiem opatrzył L. Engelking, Warszawa 2009, s. 837). A już przed II wojną światową fikcyjny autor biografii Czernyszewskiego, Fiodor Godunow-Czerdyncew, w zmyślonym dialogu z poetą Konczejewem (aluzja do Władysława Chodasiewicza), słyszy filozoficzne dywagacje emigracyjnego twórcy: „Nasze fałszywe poczucie czasu jako swoistego wzrastania jest skutkiem naszej skończoności, która – zawsze na poziomie czasu teraźniejszego – zakłada jego nieustanne postępowanie między wodną otchłanią przeszłości a powietrzną otchłanią przyszłości. Byt więc objawia się nam jako wieczyste przechodzenie przeszłości w przyszłość" (V. Nabokov: *Dar*, przeł. E. Siemaszkiewicz, Warszawa 1995, s. 438; używam skrótu DAR). Ale nie tylko takie pokrewieństwa tematów i struktur odkrywam w wymienianych czterech arcydziełach.

W *Bladym płomieniu* przecie również mamy kompozycję fabularną opartą na opisywanym schemacie, czyli inkrustacji narracji „obcym przedmiotem" w postaci cytatu struktury, „utworu w utworze". Tu podziwiamy poemat *Blady ogień* (nb. w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka; czytany przez Nabokova 1000-wersowy rarytas był przez rodzinę pisarza przyjmowany ze łzami w oczach!), który jest nieudolnie komentowany przez niezbyt lotnego filologa. I to właśnie niesamowite pomysły interpretacyjne Kinbote'a, Jego Wysokości Karola, króla Zembli, mające wyjaśnić sens wierszy Johna Shade'a (wymyślonego poety), objętościowo zdominowały wymiary książki. A sens tego pomysłu konstrukcyjnego tkwi w tym, iż nie powinniśmy zbyt lekkomyślnie ulegać sugestiom wszelakiego autoramentu samozwańczych znawców, którzy zawłaszczają sobie cudze dzieło i jego semantykę. Taką myśl przewodnią zawiera analiza *Bladego płomienia* zawarta w moim zbiorze esejów pt. *Blask arcydzieł* (Katowice 2020).

Lolita w prezentowanym kwartecie odgrywa swoje role tak na poziomie kompozycji całości, jak i na poziomie sztuki poetyckiej. Jeśli chodzi o strukturę tej powieści, to obserwuje się tu znów „utwór w utworze" (konwencja „znalezionego rękopisu"), gdyż bohaterem jest pedofil, gloryfikujący swoją przeszłość i starający się przekonać wysoką ławę sędziowską (w domniemanym procesie sądowym), a także czytelnika o swojej niewinności; osobą podającą do druku owe zwierzenia jest doktor John Ray junior (zob. V. Nabokov: *Lolita*, przeł. M. Kłobukowski, Warszawa 1997, s. 8; to tłum. cytuję jako MK). Autor w kolejnych edycjach powieści dodawał posłowie (*Vladimir Nabokov o książce pod tytułem „Lolita"*, MK, 375–383), w którym już nie z pozycji lekarza (jak to robił John Ray), lecz krytyka i historyka literatury próbował naświetlać genezę i recepcję swojej roz-

sławionej i osławionej (czytaj: 'potępionej') libelli. Trzeba dodać, że Dmitri Nabokov naśladuje posłowie swego ojca, gdy pisze tekst pt. *O książce pod tytułem „Czarodziej"*, dodawanej do edycji tegoż opowiadania (V. Nabokov: *Czarodziej*, przeł. A. Kołyszko, Warszawa 1997, s. 71–95). Otóż rosyjski rękopis tej krótkiej fabuły powstał pod koniec 1939 roku, a wydany został, po angielsku, dopiero w roku 1986. Treść owego utworu nieco przypomina *Lolitę*, ale manuskrypt został ukryty w zaułkach autorskiej pamięci na wiele lat. Już lepiej zachowany był w niej zapewne akapit z drukowanego w Paryżu III rozdziału *Daru*, gdzie Borys Szczegolew, właściciel mieszkania, w którym sublokatorem jest Fiodor, snuje plany powieści do napisania („wytrzaśnięcia"):

„Niech pan sobie wyobrazi sytuację: starszy facet, ale ciągle szukający szczęścia, poznaje wdówkę, a ta ma córkę, jeszcze dziewczynkę – wie pan, nic się u niej na razie nie ukształtowało, ale mała porusza się tak, że można zwariować. […] Facet bez długich namysłów żeni się z wdową. Dobra jest. Mieszkają we troje. Tu można by opisywać bez końca – pokusę, nieustającą udrękę, dreszczyk, szaleńczą nadzieję. W sumie – przeliczył się. Czas płynie, pędzi, on się starzeje, ona rozkwita – wszystko na nic" (DAR, 237).

Innymi słowy, pomysł *Lolity* rodził się i kształtował dość długo, nim rozkwitł w powieści opublikowanej w 1955 roku. Narrator tego utworu, Humbert Humbert, bywa wyrafinowanym znawcą literatury francuskiej (pisze skrypt o jej historii) i utalentowanym badaczem, tropiącym w różnych tekstach najrozmaitsze gry słów. Kalamburów jest tu tak wiele, iż wystarczyło materiału do artykułu na ten temat (zob. J. Paszek, I. Skwarek: *Kalambury w „Lolicie"*, w t. zb. *Przekład artystyczny,* t. 3, red. P. Fast, Katowice 1992, s. 77–91). Otóż wszystkie cztery omawiane przeze mnie powieści Nabokova wyróżniają się i w dorobku tego pisarza, i w domenie globalnej (konkurując jedynie z *Ulissesem* oraz *Finneganowym trenem* Jamesa Joyce'a) sensownie wyzyskanymi grami słów. W III rozdziale *Daru* chodzi o to, by po cichu, za zasłoną stylu, przekazywać informację o tym, iż bohaterem tego segmentu jest właśnie Gogol, miłośnik kalamburów. W *Lolicie* akcent przeniesiony zostanie na rywalizację narratora z jego adwersarzem, pisarzem o nazwisku Quilty (tak nieodległym przecież od brzmienia wyroku, wydawanego w amerykańskich sądach przez ławę przysięgłych „Guilty!" ['winien'], gdzie głoska „q" jest równoprawnym, bezdźwięcznym odpowiednikiem dźwięcznej głoski „g"): współzawodnikom chodzi o zdobycie Lolity, a zarazem również o wykazywanie się sprytem i maskowaniem ucieczki kochanków po szerokich połaciach i wąskich drogach Ameryki Północnej, z jej zajazdami, gościńcami i motelami. Rywale korespondują ze sobą m.in. w pozostawianych w recepcjach hotelowych rebusach i zagadkach, zrozumiałych tylko dla nich.

Blady płomień przedstawia inny pojedynek: szlachetnego poety, poszukiwacza tajemnicy sztuki i życia (także tego po śmierci), z jednej strony, a z drugiej – niezrównoważonego psychicznie badacza, cudzoziemca, geja, chcącego za wszelką cenę przywłaszczyć sobie nie tylko sławę wydawcy tekstu wybitnego twórcy, ale i nieomylnego interpretatora jego dzieła (a nawet współautora tegoż!). Poemat Shade'a lśni różnorakimi grami słów (Barańczak stara się je nam przekazać, podczas gdy Robert Stiller, w innym tłumaczeniu tej powieści, poddaje się, prezentując przekład filologiczny, umieszczony obok podobizny tekstu oryginalnego). *Ada*, w której ukazano grę w skrable [scrabble] (w wersji rosyjskiej dawniej – flawita, dziś – erudit), przybliża nam bohaterów biegle mówiących po francusku, rosyjsku i angielsku (czasami też wtrącają wyrazy niemieckie!), a stąd mogących igrać nie tylko jednojęzycznymi grami słów, ale i zderzaniem, nakładaniem się odmiennych języków na siebie. O tym pisałem w esejach pt. *Spojrzenie skrablisty na „Adę" Nabokova* oraz *Jeszcze jeden rzut oka na „Adę" Nabokova* („Śląsk" 2021, nr 4 i 5).

Mikołaj Czernyszewski, fot. arch.

Przejdę teraz do wyjaśnień: Jak zasugerować grą słów ukrytego bohatera rozdziału powieści? Otóż należy najpierw na końcu rozdziału II wskazać, iż w tej chwili przechodzimy od autora *Eugeniusza Oniegina* do twórcy *Rewizora*: „Odległość między starym a nowym mieszkaniem była mniej więcej taka, jak gdzieś w Rosji od placu Puszkina do ulicy Gogola" (DAR, 186). A następnie można już zderzać ze sobą „ekstrakty" i „eks-trakty" (DAR, 190), „maski beztalencia i szczudła talentu" (DAR, 190–191), „poezję moderny" i „mordę modernizmu" (DAR, 191), przysłówek „przypochlebnie" z rzeczownikiem „czarny chleb" (DAR, 192); tworzyć „gniazda rymów, pejzaże rymów": gromy, ogromy, znikomy; nieboskłony, balkony, klony; rozświetlona, ramiona, otoczona; źrenice, krynice, nawałnice, diablice (DAR, 194–195). Gdy zaś wprowadza się uroczyście ukochaną Fiodora, Zinę [Zinajdę] Mertz, na karty powieści, to w wierszu jej poświęconym należy wykreować dwa kalambury: „Kak zwat' tiebia? Ty połu-Mniemo*zina*, połu-*mier*canje w imieni twoim" (LECH, 225). Po angielsku wyszło to tak: „What shall I call you? Half-Mnemo*syne*? There's a half-shim*mer* in your surname too" (TG, 169). Po polsku chyba niezbyt wyraziście: „Jak ci na imię? Na wpół Mnemozyne, na poły blaskiem świeci imię twoje. I dziwnie po zmroczniałym mi Berlinie z na poły widmem wędrować we dwoje" (DAR, 200). Myślę, iż Barańczak wjechałby tutaj mercedesem, by wskazać nazwisko Mertz: „na wpół mercedesa błysk – oczy twoje"! Bo „mercedysta", czyli mnich z zakonu Najświętszej Maryi Panny Łaskawej, chyba trudniej pasowałby do erotycznego kontekstu (mało kto słyszał o tym zakonie). Niektóre kalambury są trywialne: „tu trzeba reformy, a nie reform" (DAR, 230), ale bywają w narracji Fiodora nawet historiozoficzne anegdoty: gdy wiemy, iż na stacji Dno car Mikołaj II zrzekł się tronu, a „na stacji Biezdna (co znaczy przepaść)" strzelano do tłumu, to można zrozumieć kalambur-życzenie, „ażeby dalsze losy tych, co rządzili Rosją, traktować jako odległość pomiędzy stacjami Biezdna i Dno" (DAR, 259).

Wiadomo, że *Dar* pierwotnie miał mieć nagłówek *Da* (LECH, 216). Nabokov sugeruje to nawet w samym tekście powieści: „nad dachem zaś całego pawilonu na niebieskim tle nieba rysowały się stojące żółte litery – nazwa firmy samochodowej – przy czym na drugiej, na ›A‹ (szkoda, że nie na pierwszej, ›D ‹ – bo powstałaby winieta), siedział żywy drozd" (DAR, 222). Byłaby ta partykuła „da", czyli „tak", nawiązaniem nie tylko do końca *Ulissesa*, ale i zapowiedzią gier „da, da" w *Adzie*! Teraz wygląda to tak, jak gdyby 3 „r" w tytule (*Ada or Ardor*) były oddźwiękiem dodanego do „da" „r" w tytule *Dar*. Jest to mała, ukryta zagadka w moim tytule eseju! Druga, gdy mowa o kwartecie, może też oznaczać, iż prezentuję czwartą próbę zmierzenia się z matecznikami tekstu Nabokovskiego! ■

Kosą na mity

KSIĄŻKI

GRZEGORZ SZTAPLER

Śladami Szeli Piotra Korczyńskiego to opowieść z kluczem. Rabacja galicyjska, jak sugeruje tytuł, nie dominuje, przewija się zaledwie w kilku epizodach – słychać jej echa, bruszenie chłopskich kos na ciemiężących dziedziców. To także wspomnienie dziadka autora, który pytany o przynależność odpowiadał, że „jest Austriakiem i basta!", „a jak go już mocno zdenerwowałem, to opowiadał mi, jak miejscowi chłopi »polskich panów rżnęli piłami«". Przytoczona została też opowieść Władysława Chajca, ludowego rzeźbiarza, odnotowana przez etnografa Antoniego Kroha w książce *Wesołego Alleluja Polsko Ludowa*, o rabacji właśnie: „Panoczku, jak wejdziesz kiedy do gospody i zobaczysz paru chłopów, że coś mamrotają i śmieją się od ucha do ucha, a jak zobaczą obcego, to zaraz cichną i robią smutne miny, to żebyś wiedział: właśnie wspominali, jak się panów rżnęło". Tak, w karczmach szerzyła się ludowa mitologia, a sam Szela stał się mitem. W kontekście rabacji wspomnieć też trzeba o jezuicie Karolu Antoniewiczu, który – jak „Apostoł »ziemi od krwi dymiącej«" – postanowił przerwać ten „krwawy klincz nienawiści", jaki zdominował część Małopolski. Korczyński przyrównuje jego działalność do sławetnego ojca Gabriela z głośnego filmu *Misja*. „Chwalcie łąki umajone", pieśń kościelna znana wszystkim, to jego dzieło…

Korczyński nie utożsamia mitów i stereotypów. Stereotyp brzmi jak wada, coś pejoratywnego. Mit – niekoniecznie. Coś jak współczesna baśń. Nieustająca strawa sarmackiej duszy. Pisze: „Mity nie tylko krzepiły serca Polaków pod zaborami, czy okupacją, lecz także były potężną bronią… Niniejsza publikacja traktuje właśnie o potędze mitów… Nie walczy z nimi – bo zdaniem autora – legenda przygotowuje na spojrzenie prawdzie w oczy i łagodzi związany z tym dyskomfort". To ważne stwierdzenie. I dalej: „Opracowanie to pokazuje, że mit nie jest jednoznaczny ze stereotypem i że wciąż podlega ewolucji. Dowodzi jeszcze jednego: że artyści w tym kraju nierzadko równi byli wielkim wodzom, politykom i historykom, a często także przejmowali ich role" I rozprawia się Korczyński z twórczością Wajdy, Munka, Kawalerowicza, Kutza, która „miała być rozrachunkiem z polskim romantyzmem", a stała się umocnieniem polskiego mitu romantycznego.

Narracja Korczyńskiego – meandryczna, ekspresyjna, elokwentna – trudna jest do opisania. Więc tu cytat z opisu dzieła, które w PRL-u było na indeksie, filmu *Diabeł* Andrzeja Żuławskiego: „Najwięcej zdrajców Jakub [szlachcic, któremu diabeł wręcza brzytwę „na wszeteczników"] odnajduje w rodzinnym domu, gdyż jego najbliżsi bawią się hucznie na »trupie ojczyzny«, zaprzedawszy się lub porzuciwszy dawne ideały. Pogrążony w szaleństwie morduje bez zapamiętania, a diabeł wraca do lasu, by szukać kolejnych kandydatów na »powstańców« (lub »żołnierzy wyklętych«)". Nic dodać, nic ująć. A potem arcyciekawy wywód Korczyńskiego prowadzi nas do roli, jaką odegrali Polacy w historii Europy. Bynajmniej nie byliśmy Chrystusami: „Bywało jednak i tak, że i bez papieskich encyklik (!) czy nieprzychylnej propagandy austriackich, pruskich i rosyjskich dworów Polacy stawali się synonimami diabła. Taką opinię zyskaliśmy między innymi w arcykatolickiej Hiszpanii w czasie wojen napoleońskich. Zresztą Polacy dali w Hiszpanii wiele dowodów, że potrafią być równie okrutni jak »francuskie diabły«".

Porywa mnie rozdział diabelski i przyrodniczy zarazem. Cytat: „Drzewo romantyków i straceńców", „maskujące zejście do piekieł, choć często w jego pobliżu chłopi ustawiali swe świątki i Chrystusa frasobliwego". Już jestem wniebowzięty. A tytuł jest intrygujący: *Popiół i wierzby*. No i wyczarowuje Korczyński diabła Rokitę, który tu mieszka, i kreśli ze znawstwem jego osobowość. Jak wyżej – bestia nie jest bestią, lecz ów władca mokradeł dziwnie sprzeniewierza się diabelskiej misji. Dlaczego? „Może po prostu chciał ulżyć doli pańszczyźnianych chłopów i obdarzał ich bogactwem, tylko pozorując piekielne transakcje?".

I dalej pobrzmiewają echa rabacji galicyjskiej: „Wszak to chłopskie doświadczenie, że w biedzie można liczyć jeno na diabelską pomoc, także prowadziło do rebelii przeciw dworskim i kościelnym prawom". Ba, diabły komplikują polską historię, kompromitują mesjanizm romantyczny – to ich sprawka. Korczyński przekonująco argumentuje: „Wówczas duszami polskich magnatów i szlachty zawładnęły znacznie groźniejsze demony od Rokity, a nawet jego brata – przebranego w szlachecki kontusz Boruty. Straciwszy swe państwo z własnej głupoty i pychy, zaczęli wierzyć, że są wybrańcami – Chrystusem narodów, którego zaborcy krzyżują dla odkupienia świata. Romantyzm!". W ten sposób autor odkrywa prawdę, demistyfikuje stereotypy i mity, często odwołując się do filmu, historii, dziejów konkretnych ludzi.

Polecam opowieść o tym, co wynikło z zobaczenia przez trzynastolatka *Elektronicznego mordercy*, i jak potem wpłynęło to na losy całej generacji. Na młodych chłopakach Arnold wywierał wrażenie. Nawet na punkach i „dyskomułach", którzy potem zgodnie zaangażowali się w obalanie komunistycznego Skynetu, w 1989 roku. Interesujący jest ten wykład historii… A potem jeszcze konteksty kulturowe: Hendrix, Morrison, *Przypadek* Kieślowskiego. I front Korczyńskiego w niemieckiej hucie w Zagłębiu Ruhry. „I ja zamieniłem się w końcu w terminatora". Przeczytajcie. Szkoda, że każda z tych podróży trwa nie kilkadziesiąt, lecz zaledwie kilka stron.

Kogo lub co jeszcze dotyka, penetruje pióro i umysł Korczyńskiego? To *Danton* Wajdy i jego kontekst czasowy (odniesienie do stanu wojennego), *Pociąg* Kawalerowicza, *Dzieje grzechu* Borowczyka, *Wszystko na sprzedaż* Wajdy, *Pasażerka* Munka. Również poczciwe wierzby są ulubionym tematem autora. I, podobnie jak diabły polskie (sarmackie), tak jest poruszająca opowieść o artyście dziwaku, który wyrzeźbił… diabła frasobliwego. Zwał się Szczepan Mucha, którego twórczość odkryto dopiero po śmierci. „Ażeby małżonce udowodnić, że diabeł też ma uczucia, wyrzeźbił go w pozie Chrystusa frasobliwego" – pisze Korczyński. A ponieważ diabły rzeźbił namolnie, nachodziły Szczepana nabożne sąsiadki dewotki, które „pastwiły się nad jego żoną, że zaprzedał się piekłu". Cóż więc zrobił ten artysta z sieradzkiego? Otóż, postąpił bardzo praktycznie. Odwołał się do źródeł sztuki ludowej płodności. „Gajowy wyrzeźbił więc dwóch mężczyzn z potężnymi fallusami i ustawił na środku podwórka". ■

Piotr Korczyński, *Śladami Szeli – czyli diabły polskie,* Wydawnictwo RM, Warszawa 2020, 264 s.

Niepochwytna Ginczanka

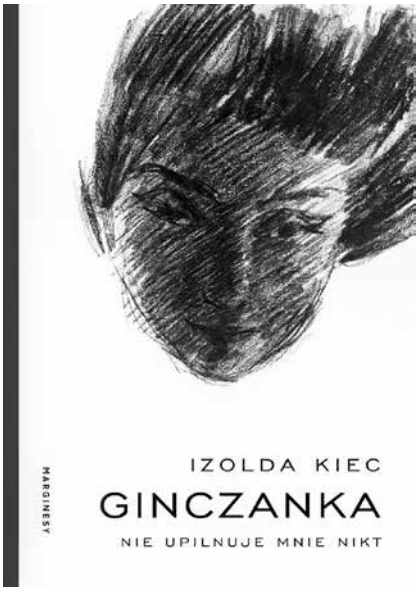

KSIĄŻKI

ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

W najnowszej książce poświęconej życiu i twórczości Zuzanny Ginczanki (Zuzanny Poliny Gincburg) Izolda Kiec podjęła próbę wyjaśnienia wszystkich wątpliwości, jakie pojawiają się, gdy mowa o ostatnich miesiącach egzystencji autorki tomu *O centaurach*. To jednak nie jedyny cel jaki postawiła sobie literaturoznawczyni od lat zajmująca się propagowaniem dorobku Ginczanki. Przede wszystkim w najnowszej książce Kiec działalność młodej poetki została ukazana na tle epoki, dzięki czemu czytelnik może zajrzeć za kulisy świata literackiej cyganerii i skonfrontować własne wyobrażenia o sukcesie z realną sytuacją popularnej poetki o niepokojącej urodzie i obco brzmiącym nazwisku, które drażniło i prowokowało do ataków.

Kiec, posiłkując się przy pracy nad książką o rówieńskiej poetce fragmentami, odpryskami, dokumentami, podkreśla konieczność spojrzenia na jej życie nie tylko przez pryzmat narodowości, która odcisnęła piętno na ostatnim etapie jej życia, a także Zagłady, której stała się ofiarą, lecz przede wszystkim przez pryzmat wierszy (także tych o charakterze satyrycznym). Tytuł biografii sugeruje wpisaną w życie, a także twórczość Ginczanki niepochwytność, wielopostaciowość, która zapobiega łatwym klasyfikacjom. Przede wszystkim zatem, twierdzi Kiec, warto przyjrzeć się z bliska nie tylko fragmentowi okupacyjnego życia poetki, lecz również jej literackiej drodze na Parnas.

Ginczanka uosabia cechy poetessy, która w męskim towarzystwie funkcjonowała jako trofeum, piękny dodatek. Jednak próba zawłaszczenia jej przez szowinistyczne środowisko literackie zakończyła się połowicznym sukcesem. Mężczyzn częściej interesowała jej magnetyczna uroda niż to, co pisała. Kiec przywołuje w biografii trzy recenzje jej jedynego tomu poetyckiego (autorstwa Artura Mandela, Henryka Domińskiego i Stefana Napierskiego), opatrując je komentarzem: „Doprawdy niewiele głosów w tej rozpoetyzowanej Polsce lat trzydziestych. Zwłaszcza że Ginczanka pisała i publikowała sporo. Ale łatwiej było – podobnie jak i dzisiaj – zachwycać się jej urodą, podziwiać wygląd aniżeli uważnie, z rozwagą i odrobiną empatii przeczytać jej wiersze. I dopiero w akcie milczenia o tej prawdziwie niezwykłej poezji widzę prawdziwą opresję obu światów – zarówno jej, jak i naszego" (s. 195).

Poza tym Kiec szczegółowo rekonstruuje konstelację nazwisk, które szczególnie często miały przyjemność przebywać w pobliżu Ginczanki (jej szczerość i bezpretensjonalność musiały ujmować literatów), a także listę jej przyjaciół. Szczególną uwagę poświęca badaczka impresariowi poetki – Julianowi Tuwimowi, który (podobnie jak w przypadku Papuszy) cenił jej talent (oraz urodę), co poświadczają anegdoty o relacjach Ginczanki i autora *Biblii cygańskiej* (Tuwim miał ją pozdrawiać łacińską sentencją: *Mens sana in corpore Sana* – co było aluzją do preferowanej przez Tuwima formy imienia Sana). Admiracja Ginczanki dla talentu Tuwima i wdzięczność za pomoc przejawiła się w szczególnej formie: „satyryczna liryczka" ujęła się za poetą, publikując odpowiedź Światopełkowi Karpińskiemu zatytułowaną *Na piszących donosy*. U podłoża relacji młodziutkiej poetki i dojrzałego poety legła jednak obustronna fascynacja, a nie romans.

Biografia Ginczanki podzielona została na trzy części i zwieńczona zakończeniem. Każda z części prezentuje osobny fragment jej życia, Kiec w niemal każdej posiłkuje się wierszami młodziutkiej poetki. Czyta je empatycznie, poszukując zaszyfrowanych fragmentów biografii. Wskazuje też na konstytutywne składniki poetyki Ginczanki. Fragmenty prezentujące dorobek poetycki autorki tomu *O centaurach* pozostawiają czytelnika z uczuciem niedosytu. Jest ich zdecydowanie zbyt mało, jednak niedosyt rekompensuje Kiec we wstępie do wydanego w 2019 roku tomu *Poezji zebranych (1931–1944)*. Wykorzystując feministyczne teorie, projektuje badaczka lekturę wierszy Ginczanki zogniskowaną na dookreśleniu „postaci kobiecości".

Archiwalne poszukiwania informacji o rodzicach poetki pozwoliły Kiec nakreślić ich dość szczegółowe biogramy. Autorka prezentuje adoratorów Ginczanki i krąg przyjaciół (m.in. Jana Śpiewaka), a także koryguje wiele anegdot, które w wielu przypadkach są fantazją osób je opowiadających. *Ginczanka. Nie upilnuje mnie nikt* to publikacja podsumowująca wieloletnie kwerendy i wymianę korespondencji Kiec z ludźmi bliskimi poetce. To fascynujące móc czytać wspomnienia osób, które pamiętały Sanę i zdecydowały się w latach 90. udzielić Kiec niezbędnych wyjaśnień, które inkrustowane w narrację biografki nadają książce szczególny walor: niedomknięcie (wynikające ze zbyt skąpej ilości informacji o ostatnich chwilach poetki) opowieści zmusza czytelnika do konfrontacji z twórczością poetki. To ona okazuje się najważniejsza, bo wynika bezpośrednio z doświadczeń Ginczanki.

Poza informacjami o debiutach prasowym i książkowym Kiec rekonstruuje lwowski okres w życiu Ginczanki. W 1940 roku poetka została przyjęta do Związku Radzieckich Pisarzy Ukrainy, przekładała wiersze ukraińskich poetów (m.in. Pawła Tyczyny), była częścią wspólnoty, której zarzucano serwilizm. Biografka polemizuje z tymi zarzutami, wskazując pokaźne grono literatów, którzy również nie uchylali się przed zadaniami propagandowymi, jakie im wyznaczono. Z okresem lwowskim wiąże się także nierozerwalnie nazwisko Zofii Chominowej (za sprawą wiersza *Non omnis moriar – moje dumne włości*), która ją zadenuncjowała i zmusiła do zmiany kryjówki. Po wojnie razem z synem Marianem stanęła przed sądem i usłyszała wyrok skazujący na cztery lata więzienia. Kiec szczegółowo rekonstruuje linię obrony Chominowej i obciążające ją zeznania świadków. Sąd nie przychylił się do prośby męża o ułaskawienie kobiety.

Kiec w roli przewodniczki po spuściźnie literackiej Ginczanki zajmuje miejsce na uboczu. Nie pretenduje do roli zasłużonej odkrywczyni poetki z Równego (choć jej działalność propagatorska budzi podziw!), poruszając się po śladach Ginczanki od momentu jej narodzin do momentu śmierci eksponuje literacki potencjał poetki i niezawinioną śmierć, która przerwała błyskawicznie rozwijającą się karierę. Jak zaznacza sama badaczka we wstępie (s. 8) osiągnęła wiek, który pozwoliłby jej na bycie matką Zuzanny. Ta fantasmagoryczna relacja przekłada się na sposób prowadzenia narracji i próbę zrozumienia co czuła zaszczuta i ścigana poetka. W książce *Ginczanka. Nie upilnuje mnie nikt* nie pada ani jeden komentarz, który sugerowałby zakończenie i definitywne domknięcie badań zarówno biografii, jak i twórczości Ginczanki. ■

Izolda Kiec, *Ginczanka. Nie upilnuje mnie nikt*, Marginesy, Warszawa 2020, s. 423.

Ku sytuacji granicznej

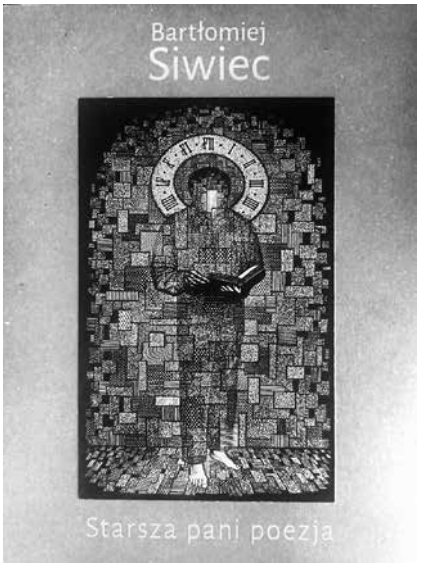

KSIĄŻKI

TOMASZ PYZIK

Starsza pani poezja rozgościła się w światoodczuwaniu Bartłomieja Siwca, który tomikiem o rzeczonym tytule zaświadcza o jej działaniu w swym polu egzystencjalnym. Wyczuwalną cechą poetyki bydgoskiego artysty jest szczerość przekazu zbudowana udostępnieniem wewnętrznego „ja", które przeżywa teraźniejszość, nie unikając retrospektywnych aluzji. Dzięki temu otrzymujemy interesujące świadectwo doświadczania świata i siebie, oglądamy album lirycznych obrazów z zaskakującym ujęciem szczegółu. Podmiot mówiący okrywa poznaniem nie tylko otaczającą go rzeczywistość, która na skutek swoiście rozumianej iluminacji twórczej jawi się inaczej niż zazwyczaj, ale także zagląda w głąb siebie.

Aspekt poznawczy twórczości Siwca, uchwycenie „innego" w sobie i koło siebie, sprawia, że jest to poezja idąca za autentycznie odczuwanym impulsem, który jest dany jednostkom cechującym się szczególną wrażliwością na przejawy bytu. Wiersz *Nagły atak poezji* przynosi opis tytułowego przeżycia, będącego właśnie doświadczeniem owładnięcia przez coś zewnętrznego, coś co wynosi zwykłe bycie w czasie i przestrzeni w stan umożliwiający objęcie świata przedstawionego holistyczną perspektywą. „Nagły atak uniesień / nad którym nie jestem w stanie zapanować" – jak dookreśla osoba mówiąca – powoduje pozornie śmieszne zdarzenie, ale także naznacza lirycznego bohatera pewnym symbolicznym piętnem, z którym idzie dalej w świat: „Wszystko trwa kilka sekund otrzepuję się / i idę dalej z lekko pomazanym czołem". Pomazaniec „starszej pani poezji" daje się prowadzić nicości, wchodzi w pewnego rodzaju trans (*Lubię zamykać oczy*), by doznać uspokojenia płynącego z rozpoznania, „[...] że wszystko / już zaplanowane" i „[...] że wszystkie karty / już dawno rozdane". Oddanie się biegowi losu oraz świadomość istnienia wpisanego w całość bytu jako takiego przekłada się na odtwarzanie znaków łączących przeszłość z teraźniejszością. Autor zawiesza ich przemijanie i ukazuje na tle pojęć, które ewokują przestwór nieskończoności.

Włączenie do obrazowania konwencji onirycznej (*Co się stało z panią Hanisch?*) ożywia, co minęło. W ten sposób podmiot ocala choćby tytułową postać oraz coś, co było pozornie błahym elementem przeszłego wyposażenia świata, czyli „magiczną foremkę, która odciska się w nicości". Poeta utrwala szczególne osoby i rekwizyty, które współtworzyły arkadię dawnych lat. Z podobnym retrospektywnym obrazowaniem spotkamy się w utworze *Ludzie się cieszą*. Werbalne przerzuty do innej rzeczywistości przebiegają u Bartłomieja Siwca w sposób nieoczywisty, zakamuflowany rzekomo realistycznym ujęciem. Twórca wykorzystuje semantyczne możliwości języka, a z prozaicznych spostrzeżeń buduje subtelną refleksję metafizyczną (*Skostniałe ręce*). Przy tym wszystkim zachowuje pokorę wobec sztuki słowa, oczekując na „atak poezji", na zamach absolutny na sobie, który obrodzi „nagłym atakiem uniesień", jakich jeszcze nie było. Jest to zatem liryka cierpliwego oczekiwania wypełniona napięciem wynikającym z potencjału tkwiącego w niepoznanym, w jeszcze nieobjawionym.

Metapoetycki wiersz *Sztuka odpuszczania słów* chyba najlepiej tłumaczy autorskie rozumienie twórczości. We fragmencie czytamy: „Poezja jest sztuką odpuszczania słów / zostawiam je sobie na czarną godzinę / tak trudno jest zgłębić sedno i strukturę / zbliżyć się w stronę tego co nieznane / mój debiut nastąpi gdy otrzymam znak / czekam cierpliwie to już wiele lat / codziennie przełamuję siebie i ciszę / co spowija góry i pustynne równiny". Przytoczone wyznanie zbliża autora do oczekiwań Adama Zagajewskiego, który w jednym z wywiadów powiedział: „[...] w poezji najbardziej mnie interesuje wiersz, którego jeszcze nie napisałem". Bartłomiej Siwiec cały czas ma coś przed sobą. Świadomość „innego" nakazuje mu trwać w gotowości, „przełamywać siebie i ciszę", być w nieustannym nasłuchu i otwarciu na „znak". W jednym z utworów zapewne taki właśnie „znak" poecie się objawia. Liryk *Pod białym bzem* to zapis myśli, które towarzyszyły odnalezieniu grobu opiekunki. Otwarcie wspomnień jest jak wejście w zakazaną przestrzeń, w obszar niedostępny zwykłemu poznaniu. Czego doświadczył poeta, gdy pisał: „[...] i wtedy poczułem / jakby mi ktoś wbił szpon / w otwarte serce"? Za metaforą tego specyficznego ukłucia i rany nim spowodowanej skrywa się z pewnością silna emocja (w tym kontekście pozostaje także wiersz *W Gdańsku*) – wzruszenie wynikłe ze szczególnego spotkania po latach. Niewątpliwie jednak jest jeszcze coś więcej, co nakazało zamienić tę chwilę w wiersz. Co takiego? Chodzi tu o uświadomienie więzi ludzkich istnień, nieprzypadkowości spotkań, celowości splotów czasu i miejsca, zdarzeń i omenów, które po latach odsłaniają nowe sensy oraz włączają podmiot poznający w odwiecznie ustalony ciąg przyczynowo-skutkowy, gdzie każdy element czemuś służy. To wszystko składa się na filozoficzne konstatacje (zob. wiersze *Mama powiedziała* oraz *Nic*), na pokorne podejście do tajemnicy bytu, która wypełnia strofy tomiku *Starsza pani poezja*.

Czym zatem jest „sztuka odpuszczania słów"? Czym jest ujęta w ten sposób poezja? Autorska definicja Bartłomieja Siwca mówi o dążeniu do redukcji werbalnych odbitek rzeczywistości, by poprzez czyste „ja" wejść w strumień nadświadomości, by doświadczyć metafizycznej sytuacji granicznej, która otworzy zrozumienie. O tym opowiada historia bohatera lirycznego utworu *Tchórz*, który przyznaje: „Ostatniego dnia pobytu w Tesalonikach / stolicy greckiej Macedonii / rozpętała się burza jakiej nie znałem / [...] Dopiero wtedy zrozumiałem / jaki żywioł musiał targać Aleksandrem / gdy stamtąd wyruszał na podbój świata".

Bartłomiej Siwiec jest poszukiwaczem tajemniczego, nieznanego żywiołu. Poczynione przez autora obserwacje świata zamieniają się w slajdy (por. wiersz *Bar in the sky*) ujmujące to co nieznane, „inne", które gdzieś pobłyskuje w dalszym planie, w głębszej warstwie znaczeniowej poetyckich obrazów (*Pole kukurydzy w Kobylnikach*). Jest to twórczość poszukująca zrozumienia i jednocześnie mająca w sobie zrozumienie. Dlatego warto wsłuchać się w to, co ma do powiedzenia „starsza pani poezja", która wybrała sobie godnego artystę do przekazu nadzwyczajnych treści. ■

Bartłomiej Siwiec, *Starsza pani poezja*, Galeria Autorska, Bydgoszcz 2020.

Co…? Psińco!

KSIĄŻKI PIOTR SKOWRONEK

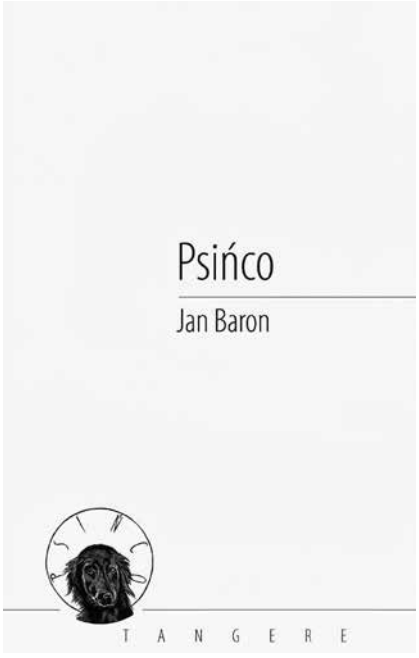

„Psińco". Prof. Aleksander Nawarecki tłumaczy je na tylnej okładce tomiku tak: „Psińco to może najpiękniejsze śląskie słowo, wykręcone jak psi figiel – tu „coś" i „nic" w jednym stoją domu". Mnie jednak, obok ontologicznego, bardziej pociąga jego aspekt więziotwórczy. Przecież zazwyczaj pojawia się ono na końcu swarliwego dyskursu, kiedy na emocjonalnie wyartykułowane i podszyte niedowierzaniem: „Co?", pada ucinające dalszy pojedynek: „Psińco!". W przypadku tomiku Jana Barona dialog jeszcze się spiętrza, bo owo fundamentalne pytanie zadają nie tylko czytelnicy, ale pada ono także z wnętrza książki. Jego ostatnim akordem, w którym epilog i inwokacja zamieniają się miejscami jest wiersz zatytułowany *Godka*, w którym czytamy: „Przyjdź do mnie, mowo, której się zaparłem/ na krakowskiej polonistyce albo jeszcze wcześniej,/ kiedy w sklepie zawołałem: mamo, język!// Przyjdź do mnie, godko, twoje słowa są coraz słabszym/ ciałem babki Marty. Tam już nic nie ma, tylko serce".

Byłaby więc trzecia poetycka próba Jana Barona rekonstrukcją uprzednio „wydziedziczonej" śląskiej tożsamości? Podobną podjął w tym samym czasie inny trzydziestolatek Zbigniew Rokita, poszukując swojego „ja" w reportersko-eseistycznej książce *Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku*. Mimo uprawy odmiennego rodzaju literackiego ich światy w samej esencji wydają się tożsame. Baron i Rokita prowadzą dialog z tymi, z których powstali, uważnie przyglądając się jednemu z podstawowych budulców jaźni – językowi. Autor *Psińco* jakby wsłuchał się w słowa autora *Klechd pszczyńskich* Alojzego Lyski, który w *Kajś* napominał: „Język jest fundamentem naszej tożsamości! Jeśli my pozwolimy językowi śląskiemu umrzeć, to nas nie ma. Zbierajcie słowa, zachowajcie ich jak najwięcej!". Baron kolekcjonuje zatem dawne cząstki śląskiej mowy. Ogląda je, bada, jak osobliwe klejnoty. Mierzy się z nimi. Zeskrobuje patynę. Jak zauważa Nawarecki: „Pamięć poety rozpalają pojedyncze słowa: szola, gadzina, tomata, maszkyty, więc modli się żarliwie – „przyjdź do mnie godko." A jednak pisze i milknie po polsku.

Nieco inaczej rzecz wygląda spoza śląskiej perspektywy. Piotr Wojciechowski mówi o *Psińco*: „to wspaniała, dojrzała poezja, szorstka, oszczędna w słowach, wymagająca od czytelnika, ale w jakiś sposób (…) on chce zdobyć Polskę dla śląskości. Chce mieć śląską godkę na równych prawach jako narzędzie ekspresji, nie odchodząc od literackiej polszczyzny".

Zostawmy jednak na boku „kompulsywne układanie słów", a skupmy się na przywołanej relacyjności. Jeżeli alter ego autora zasiedla krainę *Psińco,* a to bezsłowne założenie zwykle sprawdza się w poezji współczesnej, to najsilniejsza więź łączy go z dziadkiem, który wciela się także w „(nie)świętych obcowanie", począwszy od pierwszego wiersza: „Kilka razy sprawdza alarm, by mieć gwarancje, że jutro wstanie,/ a wystarczy poprosić dziadka Jerzego, nie żyje od lat;/ ostatnio przychodzi za wcześnie, przysiada na łóżku/ i niby przypadkiem opiera łokieć na grdyce śpiącego;/ zmarły, grdyka, figury kryjące wstyd jak rządek tomów wierszy/ (…)". Powraca zatem „wstydliwa przypadłość" z anonsu tomu, bo też i grdyka, nie tylko jak chciał Herbert „nieszczęsny podbródek", wiele zdradza. Trzy początkowe utwory – każdemu za tytuł musi wystarczyć incipit (!) – wpisują w poetycki świat najtrudniejsze (chociaż to niedobre słowo) obrazy genealogii poetyckiego „ja". Już ów sam grecki wyraz łączy w sobie „ród" i „słowo", nomen omen będące tworzywem liryki, którą można rozumieć w kategoriach wsobnego przymusu czy powinności korespondującej w jakimś wymiarze z fatum. Wspomniana oszczędność słów i szorstkość są tu gardą wobec dławiących uczuć, bo jak opisać losy brata bliźniaka mamy? Na początek suche fakty muszą wystarczyć, zanim pojawi się ogień: „Był styczeń,/ dziadek Jerzy położył syna na parapecie za oknem/ w pudełku po butach jak w wiklinowym koszu, łódce/ spływającej do dołu w zamarzłej ziemi, gdzie kryje się/ szola, opadająca szybem w otchłań, czyli psińco". Innym elementem poetyki Barona, pozwalającym zmierzyć się ze wspomnieniem śmierci dziadka (nie nazwanej jednak expressis verbis) jest estetyka skrajnie mimetyczna, bliska weryzmowi: „matka biegnie/ do automatu, wikary w przedpokoju klęczy tam,/ gdzie stało wiadro z fekaliami i podejrzliwie przygląda się/ siostrze". Taki zabieg odwrócenia uwagi pozwala na odkrycie wreszcie „ja": „Wyjrzałem na sień, by zobaczyć wynoszonego/ jak dziecko" i wzmacnia kontrast pomiędzy dziecięcą brutalnością wspomnienia, które zawieszone w czasie trwa, a przesłaniem/nadzieją „trybu warunkowego", zamykającego wiersz: „Jeśli Bóg jest jego matką. Trzeba ją zawołać".

Nienazwany, podobnie jak początkowy tryptyk, wiersz „czwarty" opowiada „świat" i „ja", chyba po równo, jeszcze innym językiem poetyckim. W nim na plan pierwszy wysuwają się spersonifikowane, pisane z dużej litery „Stany": „Zadowolenie", „Satysfakcja", „Panny Żałobne" i „Poezja", w których migotliwym cieniu pozostają tropy związane z biografią poety, dla którego ona sama: „…to ministrantka, która do kadzielnicy dosypuje tytoń".

Często utwory wypełnia mniej lub bardzie rozbudowana narracja czy opis, które zawsze organizują ważne wydarzenie, choćby mówić o nim żartem, jak wierszu *Operacja Piołun*, który otrzymał swój tytuł po filmie z Jamesem Bondem. Nim wnuk zagrywa kasetę z dziadkiem z komunii nie wiedząc, „że to dziadek Jerzy był prawdziwym agentem". Czasem słów jest zaledwie kilka, jak w wierszu *Delikatesy*, gdzie jeden wers: „Wiemy, czym żywisz pogardę". Prowokuje do wymownego milczenia. Migawki poetyckiej wrażliwości, obok „historii" rodzinnych, których jest zdecydowanie najwięcej, odkrywają świat rozmaitych konfuzji, zdziwień, namysłów wyrażonych skondensowanym a prostym i świeżym językiem. W nim *Poszetka w brustaszy* będzie znakiem naiwnego, dziecięcego egalitaryzmu, wiersz zatytułowany *Całe życie* nawiąże dialog ze słynnym „motylim snem" Chuang Tzu. Baron drąży codzienność, także tę powtarzaną po wielokroć w słowach bliskich, nadając jej wymiar metafizycznego namysłu niepozbawionego jednak delikatnego humoru. Patrząc na przedmioty, chwile i słowa niejako od podszewki, podejmując grę z czytelnikiem. Psi los Reksa, kończy eschatologiczna perspektywa z oryginalną suplikacją: „Boże, daj każdemu takie/ niebo/ jakiego chce, babce – raj z Najświętszą Panienką i świętym/ Antonikiem/ łaskoczącym w nos Dziecinę liliją, a mnie słodycz na h, hnic, czyli psińco." ■

Jan Baron, *Psińco,* Convivo, Warszawa 2020, s. 38.

Ktokolwiek zna, ktokolwiek czytał. Powstańcze archiwalia

JAN MALICKI

Dzisiaj przedstawiam Państwu do lektury nietypowy dokument. A właściwie cały ich zbiór, zapewne niewydany w całości, choć ślady jego recepcji znajdujemy w różnych miejscach. Również i w miesięczniku „Śląsk"; choćby w artykule „Zanim wybuchło III powstanie: z rozmów Wojciecha Korfantego, Komisarza Plebiscytowego na Górnym Śląsku, z premierem Wincentym Witosem (Śląsk, 1996 nr 5, s. 6)". Można powiedzieć: temat zawsze aktualny, bo wiążący się z obchodzoną wszem i wobec rocznicą wybuchu III Powstania Śląskiego. Obchodzoną zresztą w sposób najróżniejszy; od poważnych i dostojnych konferencji naukowych, poprzez mniej lub bardziej popularne; dalej – dyskusje i seminaria, powtarzające utrwalone w rozmaitych środowiskach analizy, interpretacje prawdziwych, dopełnianych lub wyobrażanych sobie jedynie zdarzeń. Tych wielkich, przeobrażających w przeszłości rzeczywistość śląską, i tych epizodycznych, wówczas wyolbrzymianych, podlanych patriotycznym lub antypatriotycznym wobec Polski sosem ideologicznym. I to różnych opcji, ugrupowań społecznych, ideologii partyjnej, zawsze jednak sądów uproszczonych i zmonumentalizowanych, których cele są co prawda zakamuflowane, acz wyraziste. W perspektywie bliższej, usytuowanej na osi: my to prawda, oni to kłamstwo, a dopiero w przyszłości objawimy… no właśnie, co? To współczesna odmiana syndromu Telimenowego biurka. Wreszcie niezliczone imprezy *glamour*, oparte na sławetnym: „mi się…", bez znajomości podstawowych faktów historycznych. Czy ów wielobarwny patchwork imprez jest nam potrzebny, czy należy je ograniczyć? Nie mam wątpliwości – są potrzebne. Co więcej – są konieczne. Budują i cementują wręcz wspólnotę lokalną, pozwalają zapomnieć o owym koszmarnym: my i oni, wraz z równie okrutnym przeciwstawieniu: Polek i Polaków; czy w lokalnej modyfikacji: Ślązacy i Ślązaczki. Ale podstawą wszelkich poczynań popularyzujących musi być autentyczna wiedza poparta dziś już dostępnymi źródłami. Broń Boże jedynie szkolnymi opracowaniami, wielokrotnie przeżuwanymi. To w rzeczy samej ocieranie się o plagiat. Uogólnienia zaś, najczęściej punktowe lub łączące owe punkty w uniwersalną całość przypominają akcje naszych himalaistów. Wszystkie ośmiotysięczniki zdobyte! Ale czy Nepal dokładnie poznany? Właśnie owa punktoza przekłada się na stosunek emocjonalny do wydarzeń, które zmieniły oblicze tej części Europy. Zatem, czy już dzisiaj możemy wskazać te źródła, które mogą dopełnić panoramę dwóch dekad, otwierających wiek XX? Od razu muszę się zastrzec; nie jestem historykiem dziejów współczesnych, ale mogę się wypowiadać, jak to wielokrotnie czyniłem, o wartości przekazów koniecznych dla poznania naukowego. To nade wszystko źródła prymarne, a więc te, które powstawały w momen-

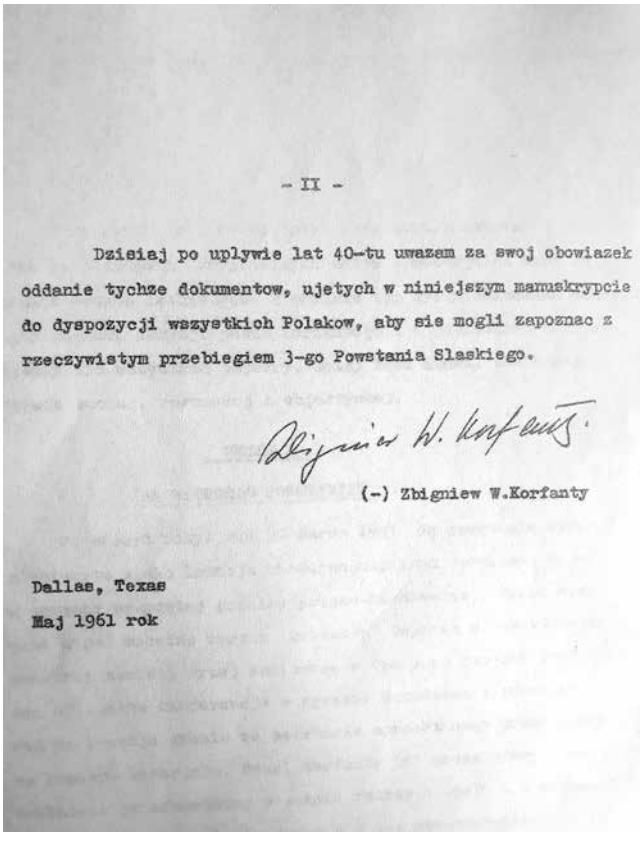

- II -

Dzisiaj po uplywie lat 40-tu uwazam za swoj obowiazek oddanie tychze dokumentow, ujetych w niniejszym manuskrypcie do dyspozycji wszystkich Polakow, aby sie mogli zapoznac z rzeczywistym przebiegiem 3-go Powstania Slaskiego.

Zbigniew W. Korfanty

(-) Zbigniew W.Korfanty

Dallas, Texas
Maj 1961 rok

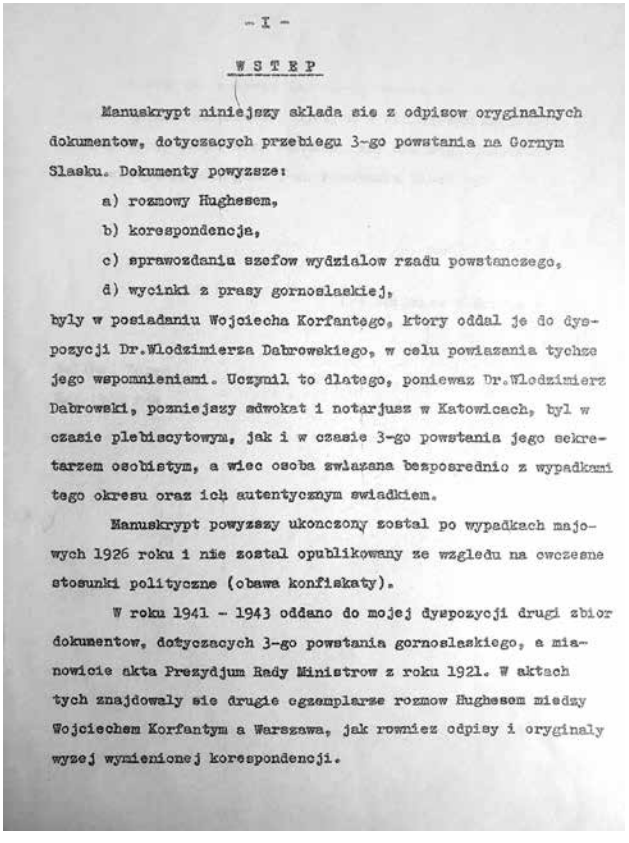

- I -

W S T E P

Manuskrypt niniejszy sklada sie z odpisow oryginalnych dokumentow, dotyczacych przebiegu 3-go powstania na Gornym Slasku. Dokumenty powyzsze:

a) rozmowy Hughesem,
b) korespondencja,
c) sprawozdania szefow wydzialow rzadu powstanczego,
d) wycinki z prasy gornoslaskiej,

byly w posiadaniu Wojciecha Korfantego, ktory oddal je do dyspozycji Dr.Wlodzimierza Dabrowskiego, w celu powiazania tychze jego wspomnieniami. Uczynil to dlatego, ponieważ Dr.Wlodzimierz Dabrowski, poznniejszy adwokat i notarjusz w Katowicach, byl w czasie plebiscytowym, jak i w czasie 3-go powstania jego sekretarzem osobistym, a wiec osoba zwiazana bezposrednio z wypadkami tego okresu oraz ich autentycznym swiadkiem.

Manuskrypt powyzszy ukonczony zostal po wypadkach majowych 1926 roku i nie zostal opublikowany ze wzgledu na owczesne stosunki polityczne (obawa konfiskaty).

W roku 1941 - 1943 oddano do mojej dyspozycji drugi zbior dokumentow, dotyczacych 3-go powstania gornoslaskiego, a mianowicie akta Prezydjum Rady Ministrow z roku 1921. W aktach tych znajdowaly sie drugie egzemplarze rozmow Hughesem miedzy Wojciechem Korfantym a Warszawa, jak rowniez odpisy i oryginaly wyzej wymienionej korespondencji.

cie dziania się, tworzone przez uczestników wydarzeń lub powstałe w przeszłości, lecz dopełniające i wyjaśniające minioną współczesność. Dla mnie takim niezwykle istotnym zbiorem są przemówienia Wojciecha Korfantego w parlamencie niemieckim do roku 1918, wraz ze słynnymi wystąpieniami o języku mieszkańców Wielkopolski, Pomorza, Śląska; o wspólnocie etnicznej mieszkańców tych ziem, o wspólnym programie wszystkich posłów z koła polskiego, o konieczności włączenia ziem, w których dominuje język polski do powstającego państwa polskiego. A dla osobistych losów Wojciecha Korfantego – postulat uwolnienia Józefa Piłsudskiego z twierdzy magdeburskiej. Miałem tę wielką satysfakcję, że mogłem współuczestniczyć w tym jakże ważnym przedsięwzięciu edytorskim, dzięki senatorowi Bronisławowi Korfantemu, za co Mu raz jeszcze dziękuję.

Drugim wielkim wydarzeniem, które uzmysłowiło mi ulotność i migotliwość szacunku dla osób uczestniczących w trzech powstańczych zrywach, było wydanie czarno-białego albumu ostatnich żyjących jeszcze w latach 80. i 90. powstańców śląskich. Wszyscy w galowych mundurach oficerskich, wszak wszyscy mianowani zostali na stopień podporucznika. Jest też tam zdjęcie wielkiej legendy Śląska, Jerzego Ziętka w mundurze generała. Tytuł albumu „Jacyś ludzie", oddawał istotę upływającego czasu i pamięci o losach tych, którzy zaufali Korfantemu. Był on cytatem z wiersza Wisławy Szymborskiej, jeszcze nie noblistki, a tekst komentujący napisał Kazimierz Kutz. Jednak mój głęboki szacunek zdobył autor zdjęć, znakomity fotograf Stanisław Gadomski, uhonorowany Wielkim Splendorem Śląskiej Fotografii Prasowej. Po latach pozostające egzemplarze albumu przekazałem powstającemu w Świętochłowicach Muzeum Powstań Śląskich.

Ale był inny jeszcze zbiór, który dokumentuje nie tylko przebieg działań powstańczych, ale i składy osobowe poszczególnych jednostek, pozwalające weryfikować udział poszczególnych osób w powstaniach. To niezwykle ważne, bo pozwala konfrontować jakże gorzkie odmowy przyjęcia do stowarzyszeń grupujących uczestników powstań. Może być też kluczem do wyjaśniania odmów przyznania odznaczeń powstańczych tak przed wojną, jak i po. Co więcej, wyjaśniać owe uwłaczające, a zgryźliwe uwagi: skąd w stowarzyszeniach tych znajdowali się dziesięcioletni chłopcy. Uderza niesłychany porządek w całej dokumentacji, precyzyjne opisy zdarzeń, powstańczych podwodów, a nawet wysokość powstańczych żołdów. A niewiele brakowało, by Archiwum Powstań Śląskich uległo daleko idącej degradacji. Wiemy, że znajduje się ono w dwóch miejscach: pod Warszawą i w Instytucie im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. Ta druga część ulegała w znacznym stopniu postępującemu zniszczeniu. Na Śląsku wielkim orędownikiem ratowania nowojorskiego archiwum był prof. Edward Długajczyk, wielki znawca powstańczych dziejów, który osobiście „kolędował" do wszystkich świętych naszego województwa. Ostatecznie po podpisaniu stosownych umów z warszawskim Archiwum Państwowym materiały zakonserwowane i zdigitalizowane w Bibliotece Śląskiej udało się uratować. Niestety, oryginały wróciły do Nowego Jorku.

Podsumowując, mamy zatem wcale bogatą kolekcję materiałów źródłowych i to w zasięgu ręki. Dla mnie osobiście ważne są te, które dokumentują polityczną sytuację przedpowstaniową w parlamencie Rzeszy Niemieckiej i stanowisko polskiej frakcji parlamentarnej. Owo „pomiędzy" przedpowstaniową sytuacją Śląska przedstawianą na forum publicznym przez niemal 15 lat, a ukształtowanie się koncepcji włączenia Wielkopolski, Pomorza i Śląska do powstającego państwa polskiego, przy respektowaniu kryterium językowego. Mamy portrety ostatnich żyjących powstańców; mamy też dokumentację przebiegu działań, rozkazów i organizacji oddziałów powstańczych. Mamy też i wiele, wiele innych dokumentów, stanowiących podstawę już kilku ważnych opracowań. Doskonale zdaję sobie też sprawę z tego, że jest to zaledwie cząstka z przebogatego archiwum dostępnego jedynie po stronie polskiej. Bez dopełnienia go zbiorami niemieckimi, francuskimi, włoskimi i angielskimi nasza wiedza byłaby ulotna niczym owe ośmiotysięczniki w wiedzy o Nepalu. Istnieje jednak bardzo ciekawy dokument, który zapewne powstał w kręgu najbliższym Wojciechowi Korfantemu. Dokument, którego wartość dla poznania dziejów powstańczych może być jest bezcenna. Częściowo znana, już poznana? To jedna, być może, z czterech kopii maszynopisu noszącego oszczędny, acz jednoznaczny tytuł: „Rok 1921. Trzecie powstanie śląskie". I znaczące przesłanie:

„Dzisiaj po upływie lat 40-tu uważam za swój obowiązek oddanie tychże dokumentów, ujętych w niniejszym manuskrypcie do dyspozycji wszystkich Polaków, aby się mogli zapoznać z rzeczywistym przebiegiem 3-go Powstania Śląskiego. (-) Zbigniew W. Korfanty. Dallas, Texas, Maj 1961 rok".

Jest też uwiarygadniający autograf Zbigniewa W. Korfantego urodzonego w 1905 roku, rzeczywiście mieszkającego wówczas w Dallas. Tam też zmarł 18 lipca 1970 roku. Syn komisarza plebiscytowego we wstępie tak charakteryzuje zawartość maszynopisu:

„Manuskrypt niniejszy składa się z odpisów oryginalnych dokumentów, dotyczących przebiegu 3-go powstania na Górnym Śląsku. Dokumenty powyższe:

A. rozmowy Hughesem,

B. korespondencja,

C. sprawozdania szefów wydziałów rządu powstańczego,

D. wycinki prasy górnośląskiej,

były w posiadaniu Wojciecha Korfantego, który oddał je do dyspozycji dr. Włodzimierza Dąbrowskiego, w celu powiązania tychże jego wspomnieniami. Uczynił to dlatego, ponieważ dr Włodzimierz Dąbrowski, późniejszy adwokat i notariusz w Katowicach, był w czasie plebiscytowym, jak i w czasie 3-go powstania jego sekretarzem osobistym, a więc osoba związana bezpośrednio z wypadkami tego okresu oraz była ich autentycznym świadkiem.

Manuskrypt powyższy ukończony został po wypadkach majowych 1926 roku i nie został opublikowany ze względu na ówczesne stosunki polityczne (obawa konfiskaty).

W roku 1941–1943 oddano do mojej dyspozycji drugi zbiór dokumentów, dotyczących 3-go powstania górnośląskiego, a mianowicie akta Prezydium Rady Ministrów z roku 1921. W aktach tych znajdowały się drugie egzemplarze rozmów Hughesem (to ówczesny dalekopis już z literami – przyp. JM) między Wojciechem Korfantym a Warszawą, jak również odpisy i oryginały wyżej wymienionej korespondencji" (Wstęp, s. I).

To pasjonująca lektura; a rzeczywistość przedstawiona tak daleko odbiega od powszechnie znanych opracowań, iż właściwie trudno ją w nich odnaleźć. Jest tam i dramatyzm sytuacji, i liryzm wieczoru w sosnowieckim pałacu Dietla; wieczoru poprzedzającego wybuch powstania, i dbałość o zaopatrzenie Śląska, i głos śląskich kobiet, i niczym gra w szachy, acz nieraz przebiegła, skuteczność dyplomatyczna, wreszcie i jakże dziś odległa kultura zwyczajnej codzienności. Niestety, nie wiem, czy istnieją jakieś zależności między przedstawianym maszynopisem a opublikowanym w 1923 roku zbiorem zatytułowanym „Górny Śląsk w walce o zjednoczenie z Polską. Źródła i dokumenty z lat 1918–22". A depozytariuszem owych dokumentów był dr Włodzimierz Dąbrowski, prawnik, wicemarszałek ówczesnego województwa z lat 1930–1932 oraz 1935–1939, więzień oświęcimski, zamordowany w 1942 roku. I to w czasie, gdy do rąk Zbigniewa Korfantego w dalekim Teksasie trafił ów manuskrypt. ■

Sztuka w pandemii: obrazy Joanny Styrylskiej-Gałażyn

Wiosną 2020 r. świat się zatrzymał. Trudno było uwierzyć, że to wszystko się dzieje naprawdę. Niepokój i frustracja stały się naszą codziennością. Zamknięcie w domach oraz przeniesienie życia zawodowego i prywatnego do sieci odbiło się na naszej kondycji psychicznej i fizycznej. Wielu z nas właśnie teraz doceniło kontakt z naturą i możliwość poczucia otwartej przestrzeni wokół siebie. Przyroda również doceniła tę wymuszoną przerwę w „superaktywności" człowieka. Można zaobserwować nieśmiałe próby regeneracji natury i jej samooczyszczenia. Artyści od zawsze byli aktualnym barometrem kondycji świata oraz ludzkich nastrojów i tęsknot. Moja twórczość również ma odzwierciedlenie w tym wyjątkowym okresie. Dążenie do pewnego rodzaju wolności ducha oraz otoczenie się czymś pięknym i kojącym, stało się moim głównym celem. Dobór barw – jasnych i kontrastowych, lekkość i dynamika struktury obrazu ma wielkie dla mnie znaczenie. Malując obraz zawsze myślę o odbiorcy. Zależy mi, by stworzyć coś absolutnie kojącego, sprawiającego radość i przywracającego wewnętrzny spokój. Inspiracja przestrzenią i naturą stała się kluczem do mojego twórczego rozwoju oraz sposobem na poradzenie sobie z zaistniałą sytuacją. ■

Joanna Lola Styrylska-Gałażyn. Ur. 1980 w Katowicach. Mieszkam i pracuję w Krakowie. Jestem absolwentką Wydziału Grafiki krakowskiej ASP. Zajmuję się klasycznym malarstwem sztalugowym oraz szeroko pojętym projektowaniem graficznym. Łączę klasyczny warsztat plastyczny z cyfrowym. Maluję, ilustruję książki, projektuję plakaty i okładki. Uwielbiam naturę, roślinność, zaskakujący kolor i rytm. Kolekcjonuję archiwalne zdjęcia, stare wycinki z kolorowych czasopism i vintydżowe bibeloty. W swoich pracach często stosuję technikę collage'u, łącząc ze sobą pozornie niepasujące do siebie elementy. Lubię zestawiać ze sobą różnorodne, kontrastowe wzory. Bawię się formą i kolorem. W swoim dorobku mam wiele wystaw indywidualnych i grupowych.

Joanna Lola Styrylska-Gałażyn, Czarne dalie

Joanna Lola Styrylska-Gałażyn, Materia czasu III

Joanna Lola Styrylska-Gałażyn, Piwonie I

Joanna Lola Styrylska-Gałażyn, Czarne motyle

Miejska BIBLIOTEKA Publiczna w Sosnowcu

17. Sosnowieckie Dni Literatury

subiektywny przegląd zespołów rodem z Sosnowca

Takty i RIFFY

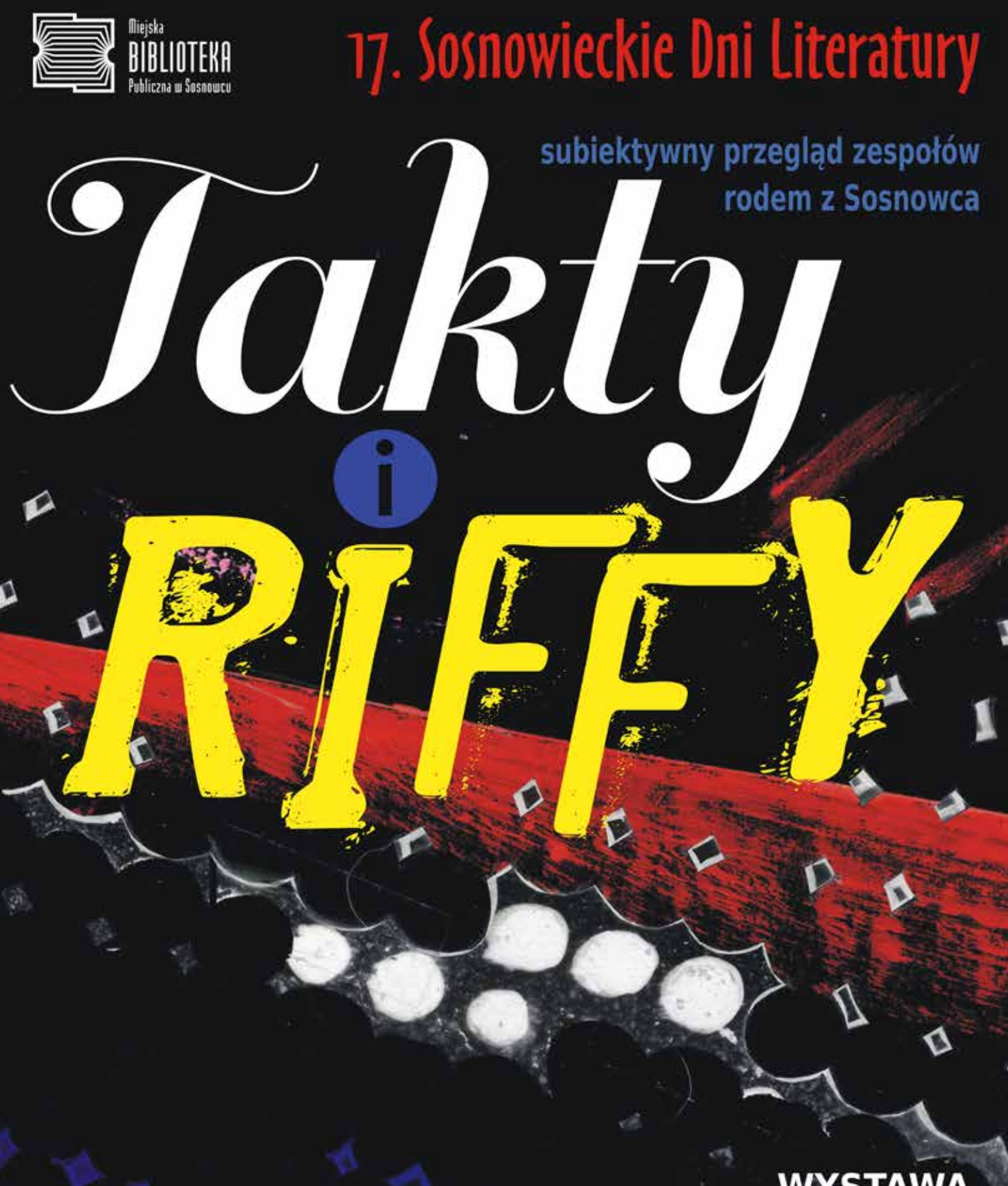

WYSTAWA

24 maja - 30 czerwca 2021

Pasaż Zagłębiowskiej Mediateki

Sosnowiec, ul. Kościelna 11

wstęp wolny

ORGANIZATOR

PATRONAT HONOROWY

WSPÓŁPRACA

PATRONAT MEDIALNY